



**Gail Ranstrom**

***Zar tropików***

# Prolog

*Londyn*

*11 sierpnia 1815*

Drugie uderzenie sprawiło, że Elise poczuła potworny ból rozsadzający czaszkę. Natychmiast się skuliła i zasłoniła głowę rękami. Wiedziała, że jakkolwiek opór jeszcze bardziej rozjuszy napastnika. Była jednak gotowa bronić resztek dumy i honoru, nie zważając na konsekwencje.

Cofnęła się i chwiejnie wstała.

- Milordzie! Uspokój się, bo zacznę krzyczeć. Roześmiał się drwiąco.

- Służący nie przyjdą ci na pomoc. Nie zaryzykują utraty posady. A ty, żalosna kreaturo, też mnie nie opuścisz, bo musiałabyś zostawić mi swego syna.

- Twojego dziedzica.

- Dziedzica! - prychnął Barrett. - Dałaś mi nędznego, ryczącego bachora. Tak to jest, jak człowiek żeni się ze smarkułą. Dam ci jednak szansę, Elise. Rozłóż nogi, a kto wie... może już cię nie uderzę.

Gdy zaczął rozpinąć spodnie, poczuła ściskanie w żołądku. Mąż miał dziki wzrok i cuchnął whisky. Gdyby jej dotknął, niechybnie by zwymiotowała. Miała już powyżej uszu jego chuci.

- Wracaj do swojej kochanki, Barrett. Niech ona cię zaspokoi. Zaryczał dziko i rzucił się w jej stronę.

- Dlaczego twój brat mnie nie ostrzegł, że jesteś taka głupia? Kupiłem cię od niego, wydałem na ciebie pieniądze, więc natychmiast spełnij swój obowiązek!

Cofając się, dotknęła plecami ściany. Nie miała już gdzie uciekać. Z sąsiedniego pokoju dobiegł słaby płacz. Odgłosy ich kłótni musiały obudzić

Williama. Elise trwożnie popatrzyła na drzwi. Guwernantka odeszła po ostatnim napadzie szału Barretta i jak do tej pory nie udało im się znaleźć nikogo na jej miejsce.

- Pozwól mi do niego pójść. Jestem mu potrzebna.

- Masz obowiązki przede wszystkim wobec mnie, Elise. Najwyższy czas, żebyś zdała sobie z tego sprawę. - Ruszył do drzwi.

Przerażona, udała się za nim.

- Zaczekaj, milordzie. Niech sobie płacze... Dam ci, czego chcesz.

- Pewnie, że dasz, ale najpierw skończę tę sprawę. - Gwałtownie otworzył drzwi, podszedł do łóżka i uniósł trzyletniego syna. - To jest twój największy skarb, madame?

- Barrett, nie! Opamiętaj się, proszę... - Zerwała z siebie peniuar, pozostając w cienkiej koszuli nocnej. - Połóż Williama do łóżka, a ja...

- I tak będę cię miał, kiedy i jak zechcę. - Wsunąwszy Williama pod ramię, ruszył do okna. - Najpierw muszę pozbyć się tego wyjca.

Boże! Zamierzał wyrzucić Williama przez okno, a był tak pijany, że nie w pełni zdawał sobie sprawę ze swoich poczynań! Chwyliła mosiężny świecznik i uderzyła męża w głowę. Pod wpływem ciosu osunął się na kolana. William spadł na dywan, zanosząc się płaczem tak rozpaczliwym, że aż dostał czkawki.

Barrett nienawistnie popatrzył na żonę. Strużka krwi ściekała z jego skroni.

- Zapłacisz mi za to! - Powoli wstał, szczęśliwie zapominając o dziecku.

Przerażona pomyślała, że William nigdy nie będzie przy nim bezpieczny. Barrett roześmiał się ohydnie i wyciągnął ku niej rozczapierzone dłonie. Nie zamierzał już egzekwować małżeńskich obowiązków... chciał ją zabić! Uciekła do sypialni, lecz pobiegł za nią i powalił mocnym ciosem. Padając, uderzyła czołem o marmurową nadstawę kominka tak mocno, że aż pociekła krew.

Oszalała z rozpacz, świadoma, że jeśli mąż ją zabije, nikt już nie obroni przed nim Williama, rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego przedmiotu.

Chwyciwszy pogrzebacz, odwróciła się gwałtownie.

Barrett wyglądał jak obłąkany, wzrok miał dziku, ślina toczyła mu się z kącików ust. Szarpnąwszy koszulę Elise, obnażył jej piersi. Bez namysłu uderzyła go pogrzebaczem w ramię, a potem w głowę. Powtórzyła cios, po chwili zrobiła to jeszcze raz, i znowu, i znowu.

Opadł na nią całym ciężarem, pozbawiając ją tchu. Z najwyższym trudem odsunęła bezwładnego męża na bok. Potem ściągnęła poły koszuli na piersiach i otarła zakrwawione czoło.

William darł się jak opętany. Potykając się, przeszła do drugiego pokoju, uniosła syna z podłogi i mocno przytuliła, a potem zaczęła go leciutko kołysać.

- Cii, Williamie, cii... Nie bój się, nie pozwolę, by ktoś cię skrzywdził.

Kiedy udało jej się uspokoić synka, położyła go do łóżka i wróciła do męża. Barrett leżał tak, jak go zostawiła, twarzą do podłogi. Przed kominkiem zobaczyła powiększającą się kałużę krwi. Zegar w odległej części domu wybił północ.

Poczuła silne mdłości. Zabiła Barretta i poniesie za to straszliwą karę! Szybko chwyciła nocnik i zwymiotowała. Zimny pot wystąpił jej na czoło. Młodszy brat Barretta, Alfred, z pewnością zabierze Williama i dopilnuje, by Elise została osadzona w więzieniu i powieszona. Alfred miał duże ambicje względem swoich synów i z pewnością marzył o tym, by to jego potomek, a nie William, odziedziczył tytuł i majątek. Jej synek pod opieką stryja na pewno nie byłby bezpieczny.

Nie mogła do tego dopuścić. Przeszła do garderoby i włożyła granatową suknię, po czym sięgnęła po walizkę, włożyła do niej najniezbędniejsze przedmioty, kilka sukni i kasetkę z biżuterią, następnie przeszła do pokoju Williama i dołożyła kilka jego ubrań. Tej nocy z portu z pewnością wypływał jakiś statek, musiała się więc na niego dostać, choćby miał ją zawieźć do samego piekła.

# Rozdział pierwszy

*Londyn*

*1 września 1820*

Reginald Hunter, szósty hrabia Lockwood, uważnie przyjrzał się podsekretarzowi stanu.

- Nie mam pojęcia, w czym mógłbym okazać się pomocny, lordzie Eastman - powiedział. - Pracuję przecież w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

- Ostatnio Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych zgodnie współpracują, zwłaszcza w Indiach Zachodnich. Wyspa St. Claire jest kolonią brytyjską i powinna znajdować się pod auspicjami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mieszka tam jednak, obok poddanych Korony, wielu przedstawicieli innych nacji, więc pojawiło się dużo zadań dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Hunt rozsiadł się w głębokim fotelu i przyjął kieliszek brandy od lokaja. Co sprawiło, że musieli spotkać się w klubie, a nie, jak zwykle, w urzędzie? Rozważał dwie możliwości. Eastman chciał go upić albo bał się podsłuchu.

Ogrzewał dłonią ciemnoczerwoną brandy.- Czy Castlereagh powiedział panu, że złożyłem dymisję? - Nie miał ochoty, by w przededniu wycofania się ze służby państwowej zapoznawano go z nowymi problemami. Uważał, że dość już się natrudził.

- Wiem o pańskiej rezygnacji, mimo wszystko mamy nadzieję, że uda się nam namówić pana do współpracy.

- Dziękuję za zaufanie, jednak mam już dość ryzykowania życia. Teraz, kiedy udało nam się zakończyć sprawę...

- ...białego handlarza niewolników. Słyszałem o tym. Został aresztowany

przed tygodniem.

- Tak. Teraz ze spokojnym sumieniem mogę zasiadać w Izbie Lordów i prowadzić spokojne życie.

- Myślę, że nawet nie zbliżył się pan jeszcze do szczytu swych możliwości, Lockwood. Zadanie, które chciałbym panu zlecić, to dla pana pestka. Z pewnością poradziłby pan sobie śpiewająco. To byłyby wręcz wakacje.

Doświadczenie mówiło Huntowi, że zadania zlecane przez rząd nigdy nie są łatwe.

- W takim razie proszę wysłać na te wakacje kogoś innego.

- To niezmiernie delikatna sprawa... wiąże się z rozpoczętym już śledztwem.

Znany jest pan z taktu i dyskrecji...

Czy to te właśnie cechy sprawiły, że angażowano go do brudnej roboty, której nikt nie chciał się podjąć, a musiała zostać wykonana? Był taktownym, dyskretnym zabójcą.

Mimo wszystko słowa Eastmana zaintrygowały go. Był już pewien, że w Ministerstwie Spraw Zagranicznych jest jakiś zdrajca. To dlatego potrzebowano człowieka o „talentach” Lockwooda.

- Czyżby jakieś przecieki na St. Claire? Eastman spochmurniał i zniżył głos do szeptu.

- Nie wiemy. Potrzebujemy kogoś z zewnątrz, a pomyśleliśmy o panu między innymi dlatego, że ma pan posiadłość na tej wyspie. Mógłby się więc tam pan pojawić, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Hunt westchnął.

- Proszę opowiedzieć mi o tej „pestce”, którą miałbym się zająć.

- Piraci.

Hunt aż się Zakrztusił z wrażenia, przyciągając uwagę nielicznych gości w klubowej bibliotece.

- I to ma być łatwe zadanie? Uważa pan, że piraci to błahostka?

- Na Morzu Karaibskim aż się od nich roi. Są wyjątkowo okrutni. Musimy ich

wydusić jak robactwo.

A więc miał „wytepić robactwo”? No tak, ilekroć potrzebowano kogoś pozbawionego sumienia, sięgano po Lockwooda.

- Skończyłem z tym, panie Eastman.

- Prosimy tylko o to, by zechciał pan zrobić użytek ze swej inteligencji. Może uda się panu odkryć, gdzie piraci mają swoją siedzibę i kto dostarcza im informacji o ruchach statków. Proszę znaleźć źródło przecieku... i zlikwidować je.

- Z pewnością piraci mają wiele kryjówek. Spodziewam się, że ministerstwo już wie, kto jest informatorem.

- Wiemy tylko, że to zdrajcy, Brytyjczycy.

Hunt przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Dlaczego wybrali St. Claire, a nie Jamajkę albo Barbados?

- Trudno powiedzieć. W każdym razie mamy już na St. Claire naszych ludzi, ale nie czynią żadnych postępów. Musimy skierować tam kogoś, kto nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Trzeba tam być, zadawać pytania, nawiązać znajomości z miejscową ludnością i z przedstawicielami władz. Dowiedzieć się, gdzie są piraci. Proszę kontaktować się z nami jedynie w ostateczności, gdy to będzie absolutnie konieczne, przekazując wiadomości tylko mnie albo mojemu asystentowi, Langfordowi.

Hunt z westchnieniem opadł na oparcie fotela. Ostatni raz odwiedzał swe plantacje na St. Claire dziesięć lat temu. Być może nadszedł czas, by udać się tam ponownie?

- To z pewnością nie potrwa długo, Lockwood - mówił dalej Eastman. - Uda się pan do gubernatora Bascombe'a i jego charge d'affaires, Doyle'a, którzy przedstawią pana komu trzeba. Pokręci się pan ze dwa tygodnie, no, może miesiąc. W tym czasie powinien pan uporać się z naszym kłopotem. Potem wróci pan do Anglii i będzie mógł odpoczywać do woli. - Hunt marzył o tym, by uciec jak najdalej od wstrętnych rządowych intryg i machinacji. Widząc jego wahanie, Eastman obrał inną

taktykę: - Ilekroć nasz statek zostanie splądrowany przez piratów albo utonie, słyhać jęki w całym Londynie. Towarzystwa ubezpieczeniowe ponoszą wielkie straty, a ceny na importowane towary galopują jak szalone.

Czując, że wplątuje się w kolejną kabałę, Hunt kiwnął głową na znak zgody.

### *Wyspa St. Claire, Indie Zachodnie*

*9 października 1820*

Podróż minęła szybko i spokojnie, jednak Hunt z wyraźnym zadowoleniem zszedł na ląd. Czekало go wiele spraw - musiał kupić konia, złożyć wizytę gubernatorowi Bascombe'owi, wynająć pokój w gospodzie i spotkać się z informatorem, a przede wszystkim zorientować się w sytuacji.

San Marco bardzo się zmieniło od czasu, gdy odwiedził je po raz ostatni, stało się światowym miastem. Na ulicach panował wielojęzyczny gwar. Mijał tawerny, sklepiki, warsztaty i stragany. Na Broad Street jego uwagę przyciągnął wdzięczny kamienny budynek. Nad wejściem znajdował się wymalowany dużymi literami szyld „Cukiernia”, a w oknie był drugi napis: „Daphne Hobbs, właścicielka”.

Postanowił zacząć swą działalność od odwiedzenia tego sklepu. W cukierniach, podobnie jak w tawernach, plotka goniła plotkę. We wnętrzu owionął go zapach, od którego ślinka napłynął mu do ust.

Usłyszał srebrzysty śmiech. Z zaplecza wyszła młoda kobieta z tacą pełną gorących ciasteczek, którą ostrożnie postawiła na ladzie. Była tak bez reszty skupiona na swym zadaniu, że Hunt miał okazję dokładnie się jej przyjrzeć.

Młoda, kusząco zaokrąglona dama o łagodnym uśmiechu prezentowała się bardzo... apetycznie. Lśniące brązowe włosy były związane na karku zieloną wstążką. Sporo przed trzydziestką, była od niego o głowę niższa, a kiedy się odwróciła, zobaczył, że jej oczy są tej samej barwy co wstążka. Rysy twarzy miały doskonałą symetrię, jakiej nie potrafiliby oddać nawet starożytni rzeźbiarze.



Zarumieniła się, widząc, że przyciągnęła jego uwagę.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała, wycierając ręce w nakrochmalony fartuch. - Jestem Daphne Hobbs.

Och, z pewnością mogłaby być przydatna w wielu sprawach. Wolał nie zastanawiać się, w jakich. Sam ton jej głosu podniecał go. - Proszę pana...?

- Przepraszam, zamyśliłem się. Chciałbym kupić jakieś ciastka.

Gdy uśmiechnęła się, jego serce mocno załomotało. Po chwili odwróciła wzrok, jakby bała się zbyt długo na niego patrzeć.

- Coś słodkiego? Mamy tarty czereśniowe i jagodowe, bułeczki z cynamonem i rodzynkami, herbatniki z cukrem, a także cytrynowe i imbirowe. Jeśli poczeka pan chwilę, będą też czekoladowe. Aha, i ciastka z ananasem, specjalność mojej pracownicy Hannah Breton

Gdy się zastanawiał, z zaplecza wyłoniła się druga kobieta. Niższa, tęższa i młodsza od Daphne Hobbs, była niemal równie urodziwa. Hunt pomyślał, że choćby ciastka w tej piekarence miały smak kredy, i tak nie brakowałoby tu kupujących.

Jakby czytając w jego myślach, podała mu na łyżeczce ciastko.

- Prezent od firmy. - Spojrzała na pracownicę. - Tak, Hannah?

- Chciałam tylko zobaczyć, czy mamy jeszcze miejsce na wystawie. -

Popatrzyła na Hunta i zniknęła na zapleczu.

Sięgnął po ciastko. Miało niebiański smak. Zauważył, że pani Hobbs uważnie mu się przygląda z ustami rozchylonymi jak do pocałunku. Och, wiele dałby za to, żeby móc dotknąć jej warg! Teraz jednak czekała na jego opinię o smakołyku.

- Pyszne. Proszę dać mi tuzin właśnie takich. Magiczna chwila minęła.

Daphne Hobbs owinięła ciastka

w papier i związała pakunek niebieską kokardą. Przyjąwszy koronę, otworzyła szufladę.

- Nie mogę wydać panu reszty. Nie ma pan drobnych?

- Przykro mi, ale nie, pani Hobbs. Proszę zatrzymać resztę.

- Nie, nie. Dał mi pan za dużo.

Gdy przerzucała w kasie monety, jego uwagę przyciągnęła złota obrączka na palcu lewej dłoni. No tak, Daphne Hobbs była mężatką. Żałował, że najpiękniejsza sprzedawczyni, jaką poznał, nie jest już panną. Gdy ich spojrzenia się spotkały, zdrząła i szybko uciekła wzrokiem.

- Pójdę rozmienić koronę. Gdyby był pan uprzejmy wstąpić nieco później, wydam panu resztę. Przybiegnie tu w podskokach!

- Zatem do zobaczenia, pani Hobbs.

Odprowadziły wzrokiem wysokiego mężczyznę, który ruszył Broad Street. Hannah wymierzyła przyjaciółce kuksańca pod zebra.

- Udało ci się zauroczyć kolejnego klienta, Daphne. Zauroczyć? Przecież to ona uległa czarowi nieznanego.

Kiedy to ostatni raz mężczyzna zrobił na niej takie wrażenie, że odjęło jej mowę? Po prostu wyszła na idiotkę.

- Powinnaś była napomknąć, że jesteś wdową - ciągnęła Hannah.

- Gdybym była nim zainteresowana... a przecież nie jestem, bo nawet nie raczył mi się przedstawić. Poza tym w moim życiu nie ma miejsca dla mężczyzny.

- Wielka szkoda. Nosisz obrączkę, by odstraszać konkurentów. Kiedy wreszcie ją zdejmiesz? Taka kobieta jak ty marnuje się w samotności. - Hannah z westchnieniem popatrzyła na ulicę. - Podobasz się mężczyznom i możesz wybierać do woli, ale ten jest wyjątkowy. Ma takie niebieskie oczy...

Nie są niebieskie, pomyślała Daphne, tylko niemal fiołkowe. Poza tym to skandal, żeby mężczyzna miał tak ciemne i długie rzęsy. Westchnęła z rozmarzeniem.

Nie oczy były jego największym atutem. Najbardziej spodobał jej się uśmiech, równe białe zęby i dołki w policzkach. Daphne zawsze zwracała uwagę na to, w jaki sposób i jak często mężczyzna się uśmiecha. Czowała się nieswojo w towarzystwie

wiecznie niezadowolonych z życia ponuraków, podejrzewała ich o zły charakter.

Hannah znów dźgnęła ją łokciem.

- Twoje westchnienie cię wydało. Skoro nie chcesz powtórnie wychodzić za mąż, to przynajmniej weź sobie kochanka. Przecież jesteś wolna.

Zadrzała. To było niemożliwe z wielu powodów. Zresztą do tej pory nie miała żadnych pokus... dopóki nie ujrzała tych urzekających oczu.

Kiedy tego ranka zobaczyła w porcie „Gulf Stream”, wiedziała, że w San Marco pojawią się obcy, którzy szybko opuszczą wyspę. Ciemnowłosego mężczyzna, który przed chwilą wyszedł z cukierni, nie był wyjątkiem. Nikt nie przybywał na St. Claire na stałe, tak jak ona.

Rozmyślenia przerwało pukanie do kuchennych drzwi. Zapewne przyjechał dostawca jaj. Hannah poszła otworzyć.

- Witam największe skarby St. Claire! - zawołał przybysz.

- Kapitan Gilbert! Gdzie pan się podziewał? - zapytała rozanielona Hannah.

- Oplynałem świat tam i z powrotem - zażartował - ale po powrocie pierwsze kroki skierowałem do was, piękne panie.

- Jak długo pan tu zabawi tym razem?

- Tydzień, może dwa. Muszę dokonać paru napraw i załadować towar, a potem wypływam do Anglii.

- W takim razie zrobimy dla pana zapasy ciastek z ananasem. - Hannah postawiła wodę na herbatę.

Daphne podeszła do kapitana, wysokiego, siwiejącego mężczyzny o ciepłym uśmiechu i jasnoniebieskich oczach.

- Cieszę się, że znów pana widzę, kapitanie Gilbert.

- Jak bardzo pani się cieszy? - zapytał z uwodzicielskim uśmiechem.

Roześmiała się. Dobrze wiedział, że lubiła jego wizyty, i to nie tylko dlatego, że zawsze przywoził kilka wydań londyńskiego „Timesa”. Był najlepszym i najuczciwszym człowiekiem, jakiego znała.- Hannah, kiedy wreszcie przyniesiesz

kapitanowi ciastko?

- Już niosę. Może miałby pan ochotę porozmawiać z panią Hobbs na dziedzińcu? Przyniosę tam herbatę.

Daphne zdjęła fartuch i wyszła za kapitanem na podwórze z tyłu domu.

Usiadł przy stoliku z kutego żelaza i położył gazety na kolanach. Daphne czuła, że kapitan ma ochotę na miłą pogawędkę. Pewnego razu wyznał jej, że bardzo mu brakuje rozmów z kobietami. Większość czasu spędzał na morzu, w męskim gronie, a jego żona zmarła wiele lat temu.

- Proszę powiedzieć, kapitanie, co pan ostatnio porabiał. Zaczekał, aż Hannah ustawi na stole imbryczek, filiżanki, cukier, śmietankę oraz porcelanowe talerzyki z plasterkami cytryny i ciastkiem ananasowym. Zdziwiona panującym przy stole milczeniem, Hannah uniosła brwi i szybko odeszła. Miała nadzieję, że przyjaciółka o wszystkim jej potem opowie.

- Ciężko pracowałem, pani Hobbs. Uczciwemu człowiekowi coraz trudniej jest związać koniec z końcem, ale jakoś sobie radzę. Zarobiłem tyle, że stać mnie na kolejną podróż. Moi agenci biorą teraz horrendalne sumy za ubezpieczenie towaru, przez co muszę drożej sprzedawać ładunek w Anglii, a to zmniejsza obroty, bo wielu rezygnuje z zakupu. Wszystko przez tych piratów... ale co mogę na to poradzić?

- Z kolei ja przepłacam za towary z Anglii. Nawet pan nie wie, jak bardzo podrożała herbata, ubrania, papier i wstążki.

- Tak, to działa w obie strony, pani Hobbs. Że też nie można temu jakoś zaradzić. Zamierzam przewieźć najbardziej poszukiwane w Londynie towary: ananasy, papużki i mahoń.

- Nie zastanawiał się pan nad tym, by wystąpić o pozwolenie na przewóz dokumentów rządowych? Nie zajmują wiele miejsca, a przyniosłyby panu dodatkowy dochód.- Staralem się o to w Londynie, ale po Morzu Karaibskim pływa wiele okrętów, które wykonują te zadania.

Daphne zmarszczyła czoło. Okręty Królewskiej Marynarki rzadko wpływały

do portu w San Marco i z pewnością nie przewoziły dokumentów z St. Claire. Postanowiła porozmawiać o tym z gubernatorem Bascombe'em.

Kapitan zjadł ciastko ananasowe, odłożył widelczyk, odstawił filiżankę na talerzyk i wstał.

- Muszę już iść, by dopatrzeć naprawy. Chcę, żeby statek był gotowy do opuszczenia portu w dniu, w którym nadejdzie transport ananasów. Sama pani wie, że łatwo się psują.

- Remont pewnie potrwa około dwóch tygodni, jak sądzę?

- Zapewne.

- Proszę nas odwiedzać, kapitanie. - Pomyślała, że w tym czasie zdąży porozmawiać z gubernatorem na temat przewozu dokumentów rządowych.

- Z największą przyjemnością. Przyniosłem kilka „Timesów”. - Z uśmiechem położył gazety na stole.

Daphne udała zaskoczenie.

- Och! Nie powinien się pan tym kłopotać, kapitanie, ale bardzo dziękuję, że pan o mnie pomyślał.

Poklepał ją po ramieniu i odszedł ścieżką. Nigdy się nie żegnał. Może to był jakiś żeglarski przesąd?

Popatrzyła na gazety. Miała mnóstwo pracy, jednak wieczorem, w domu, spokojnie sobie poczyta, delektując się zwłaszcza ploteczkami o znanych jej osobach.

## Rozdział drugi

Słońce chyliło się ku zachodowi. Daphne chciała znaleźć się w domu przed zapadnięciem ciemności. Tego dnia mieli bardzo dobry utarg, a w cukierni pozostał tylko jeden bochenek chleba, kilka bułek i trzy ciasteczka ananasowe. Postanowiła zostawić je na stole na podwórzu, skąd na pewno zostaną nocą zabrane przez dzieci z dzielnicy portowej.

Hannah zmywała w kuchni.

- Szykuj się do wyjścia, Daphne. Timmy zaraz zajedzie dwukółką.

Dom Daphne znajdował się pięć mil za miastem. Mogła tam odpocząć, nie mając jednocześnie poczucia, że żyje na odludziu. Kiedy skończyła pracę i wieszala fartuch na kołku, rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Nie odwracając się, powiedziała:

- Przepraszam, ale sklep jest już zamknięty.

- W takim razie mam szczęście.

Aż podskoczyła, słysząc głęboki baryton. To ten przystojny klient przyszedł po swoją resztę. Uśmiechnęła się.

- Dobrze, że pan wrócił. - Otworzyła kasę i wyjęła pieniądze. Zauważyła, że przybysz przygląda się jej dziwnym wzrokiem. - W czym jeszcze mogę pomóc?- Zastanawiam się, jakie inne wspaniałości mogłaby mi pani zaoferować oprócz ciastek i herbatników, pani Hobbs. Mam ochotę odebrać resztę w naturze.

Roześmiała się.

- Dostałby pan za to tyle słodczy, że mógłby się pan nabawić bólu zębów.

Niestety sprzedaliśmy już prawie wszystko, zostało tylko kilka ciastek ananasowych.

- W takim razie będę musiał tu wrócić. Proszę zachować resztę na potem.

Schowała pieniądze do kasy.

- Mieszka pan na „Gulf Stream”? Uśmiechnął się.  
- Przyjechałem na St. Claire w interesach. Postanowiła powściągnąć ciekawość.  
- Mam nadzieję, że nasza wyspa się panu spodoba, panie...  
- Hunt.  
- Panie Hunt. - Pasowało do niego to nazwisko nawiązujące do łowów. Był czujny jak drapieżnik.

- Już mi się podoba. Nie sądzę, bym codziennie bywał w mieście, jednak ilekroć tu przyjadę, odwiedzę pani piekarenkę.

Z zaplecza wyszła Hannah.

- W takim razie wdowa Hobbs i ja cieszymy się na kolejne spotkanie - powiedziała, nie starając się ukryć faktu, że podsłuchiwała rozmowę.

Hunt skłonił się z uśmiechem.

- Dziękuję, pani Breton. Dziękuję pani za wszystko. - Cała przyjemność po mojej stronie. - Spojrzała na

Daphne. - Timmy właśnie przyjechał gigiem. Powiem mu, że już idziesz.

Daphne poczuła, że płoną jej policzki. Będzie musiała natrzeć uszu Hannah, ale nie dało się już cofnąć jej słów. Była zaskoczona, że pan Hunt zapamiętał nazwisko Hannah, które usłyszał rano, choć tak naprawdę nie powinno jej to dziwić. Hunt naprawdę miał w sobie coś z łowcy, który zauważa wszystkie szczegóły.

- Jest pani bardzo młodą wdową, pani Hobbs. Serdecznie pani współczuję. - Spojrzał na jej obrączkę.

- Dziękuję - odpowiedziała po chwili wahania.

- Życzę miłego wieczoru, pani Hobbs.

Patrzyła, jak Hunt wychodzi ze sklepu i dosiada konia. Miał długie nogi o dobrze umięśnionych łydkach i szerokie ramiona. Trudno jej było oderwać od niego wzrok. Zaciekawiał ją i budził dawno zapomniane tęsknoty. Musiała być jednak bardzo ostrożna. Nieroztropnie zawarta znajomość mogła ją zaprowadzić przed

oblicze kata.

Mimo iż dochodziła północ, powietrze było duszne i parne. Jedyne lekka bryza chłodziła skórę, niosąc słodki zapach kwiatów. Hunt zdążył już zapomnieć o tutejszych upalnych nocach, cieplejszych niż najgorętsze letnie dni w Anglii. Drzwi gospody były szeroko otwarte. Zaczerpnąwszy tchu, przestąpił próg.

Podobnie jak wszystkie tawerny, „Błękitna Płetwa” była słabo oświetlona i pachniała stęchłym piwem. Przy barze był długi kontuar, w sali ustawiono też kilkanaście stolików. Hunt usiadł w rogu, zwrócony twarzą do drzwi, a plecami do ściany, jak czynił to zawsze od czasu, gdy został pchnięty nożem w gospodzie w Marsylii. Zamówił piwo.

Do środka wszedł mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w brązowe spodnie i niebieską poplamioną bluzę roboczą. Jasne długie włosy miał związane w kucyk czarną tasiemką. Ot, typowy robotnik portowy. Ujrzawszy Hunta, skinął głową; Hunt odpowiedział mu tym samym gestem. Mężczyzna podszedł do baru i zamówił piwo. Zamieniwszy kilka słów z barmanem, odstawił kufel na ladę, mówiąc, że idzie do toalety.

Hunt pomału odliczył do dziesięciu, zostawił skromny napiwek i wyszedł na ulicę, po czym okrążył budynek i udał się na podwórze tawerny. W cieniu potężnego dębu czekał już na niego Oliver Layton, tajny agent Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Layton popatrzył na tylne wyjście z gospody.

- Mamy pięć minut, Lockwood.
- Miło cię widzieć, Layton. Znalazłeś jakieś ustronne miejsce na nasze spotkania?
- Tak, na zachód od miasta, niedaleko pańskich plantacji, jest znak drogowy. Sto jardów od niego stoi opuszczona chata. Przy progu jest kamień, pod którym może pan zostawiać wiadomości. Będę je odbierał i zostawiał swoje każdego dnia o



północy. Jeśli będzie się pan chciał ze mną spotkać, znajdzie mnie pan właśnie tam.

- Dobrze. Proszę powiedzieć, co pan wie.

- Niewiele, choć siedzę tu już miesiąc. Udało mi się wkraść w łaski kilku miejscowych. Dałem do zrozumienia, że chciałbym się wzbogacić, obojętnie w jaki sposób. Może ktoś chwyci przynętę. Ma pan już jakiś plan?

- Nic konkretnego. Jutro wybieram się na przyjęcie do gubernatora Bascombe'a i jego charge d'affaires, Gavina Doyle'a. Spotkałem się z nimi dziś wieczorem. Nie wiedzą jeszcze, co mnie tu sprowadza. Eastman obawia się, że sprawa dotyczy osób na najwyższych szczeblach i prosił mnie o dyskrecję. Rano pojedę do New Albion. Już dziesięć lat nie widziałem swojej plantacji. - Hunt zamyślił się na chwilę. - O ile sobie przypominam, południowe wybrzeża wyspy są górzyste, a w morzu są silne prądy. Nie ma tam ziem uprawnych. - Co to ma wspólnego z naszym zadaniem?

- Na skałach usadowiło się niewielkie miasteczko, Blackpool. Jego mieszkańcy nie lubią obcych, a kapitan statku, którym tu przyłynąłem, zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegł tej miejsciny. Dziwne, prawda? Przecież wszędzie są jakieś towary na handel, więc statek powinien zawitać do tamtejszego portu. Dlaczego tak się nie stało? Zamierzam się tam wybrać. Może coś pan wie o Blackpool?

- Rzeczywiście, wszyscy zachowują się tak, jakby to miasteczko nie istniało. Pytałem komendanta portu o statki z Blackpool. Powiedział mi, że nie wpływają do portu w San Marco, nie ma też rejsów do Blackpool, bo „przynoszą pecha”, jak to ujął.

Hunt się roześmiał.

- Boże! I po takiej uwadze nie kusilo pana, żeby natychmiast tam się udać?

- Nie zamierzam prosić się o kłopoty. Szukamy żadnych krwi barbarzyńców, a ja jestem tylko zwykłym pracownikiem portowym.

- Przynajmniej takie pan sprawia wrażenie. Layton uśmiechnął się z

przekąsem.

- Jak na razie to najszczęśliwsza prawda, a już na pewno na tej wyspie. Mam zbierać wiadomości i unikać kłopotów, by nie zwracać na siebie uwagi.

Hunt kiwnął głową. On miał inne zadanie. Ministerstwo Spraw Zagranicznych oczekiwało, że „rozwiąże” problemy na St. Claire.

- Słyszał pan coś na temat kapitana Sieyesa albo Rodriga?
- Nic. Można odnieść wrażenie, że w San Marco nikt nie wie o piratach.
- Ludzie nie mogą być aż tak ślepi i głusi.

## *Rozdział trzeci*

Następnego ranka Hunt wyruszył do New Albion, swej plantacji w zachodniej części wyspy. Droga wiodła wśród bujnej roślinności chroniącej przed słońcem. Mimo wczesnej pory panował nieznośny upał. W dole rozpościerał się ocean; zza ściany namorzynów i cyprysów dobiegał szum fal i skrzek barwnopiórych ptaków trzymany w klatkach na wybrzeżu przed drogą do Londynu, gdzie stawały się ozdobą salonów.

Pomyślał o czarującej wdowie Hobbs. Dzięki życzliwości jej przyjaciółki dowiedział się, że pani Hobbs jest stanu wolnego, przypuszczał jednak, że nie byłaby zainteresowana dzieleniem z nim życia. Jako kobieta samodzielna nie potrzebowała mężczyzny takiego jak on, cóż bowiem mógł jej zaoferować? W najlepszym wypadku miłe chwile bez zobowiązań.

Kiedy dowiedział się, że gubernator Bascombe zamierza wydać przyjęcie na jego cześć, zasugerował, by wysłano zaproszenie do pani Daphne Hobbs. Gubernator uśmiechnął się tajemniczo, a potem powiedział, że pani Hobbs nie uczestniczy w

życiu towarzyskim St. Claire.

Wszystko wskazywało na to, że dama nie jest zainteresowana szukaniem męża, choć z taką urodą i sposobem bycia musiała budzić zainteresowanie wielu dżentelmenów. Lubił kobiety o mocnym charakterze. Jeśli istotnie pani Hobbs unikała spotkań towarzyskich, pozostawało mu częste odwiedzanie cukierni.

U końca drogi zobaczył żelazną bramę z napisem New Albion. Minał ją i przejechał jeszcze ćwierć mili po terenie posiadłości.

Zdumiał się na widok swego domu. Nie pamiętał, że jest utrzymany w aż tak typowo brytyjskim stylu. Kamienną jednopiętrową budowlę o dużych oknach oplatała tropikalna roślinność. Za domem ujrzał ustawione półkolem schludne chaty, a za nimi stodołę i stajnie. Zsiadł z konia przed szerokimi schodami wiodącymi do drzwi.

Niski mężczyzna z bujnym wąsem i zaczesanych do tyłu włosach wyszedł mu na powitanie.

- Lord Lockwood? Jack Prichard, pański zarządca. Mam nadzieję, że miał pan dobrą podróż.

Hunt skinął głową i podał Prichardowi dłoń.

- Po tym, co słyszałem, najważniejsze, że minęła spokojnie. Zarządca się roześmiał.

- Tak, nigdy nie wiadomo, kiedy nadciągnie huragan. Hunt popatrzył w kierunku chat.

- Mieszka tam służba?

- A także robotnicy. Są teraz na plantacji. Dostarczono już pańskie bagaże. Poleciałem zostawić je w holu. Sam pan zadecyduje, dokąd mamy je przenieść. Najchłodniejszy pokój jest na piętrze, chyba że woli pan zatrzymać się w domku gościnnym.

- Gdzie on jest? - Pragnął dyskrecji i spokoju, więc takie rozwiązanie najbardziej mu odpowiadało.

Prichard wskazał ścieżkę prowadzącą przez ogród w stronę plaży.- Niedaleko. Trzeba pójść tą ścieżką. - Przywołał sługę, który zarzucił jeden z kufrów Hunta na ramię i udał się za nimi.

Musieli przejść spory kawałek, lecz cel wędrówki był wart wysiłku. Kiedy Hunt otworzył drzwi rozległego, wniesionego na palach parterowego budynku z gankiem, oniemiał z wrażenia. Chociaż dom był otoczony drzewami, z frontowych okien roztaczał się wspaniały widok na ocean.

Kiedy Prichard otworzył sięgające od sufitu do podłogi okna, pomieszczenie owionęły podmuchy morskiej bryzy. Na błyszczącym parkiecie z mahoni, częściowo przykrytym perskim dywanem, stały niskie ratanowe fotele z miękkimi poduchami.

Hunt przewiesił surdut przez oparcie krzesła i przeszedł do drugiego pokoju. Znajdowało się w nim potężne łoże ze świeżo wykrochmaloną pościelą, osłonięte ażurowymi draperiami. W ścianę dzielącą pokoje wbudowano kominek używany w chłodniejszych miesiącach. Hunt z zadowoleniem stwierdził, że będzie mógł tu wspaniale wypocząć.

- Mam przydzielić panu garderobianego, lordzie Lockwood? - spytał Prichard.
- Żadnych sług. - Nie życzył sobie świadków swych poczynań.

Daphne wygładziła fioletową spódnicę sukni. W ubiegłym roku dała ją, wraz z kilkoma innymi, do przeróbki, gdy odwiedzała Williama w szkole w Charlestonie. Teraz postanowiła tylko lekko zmarszczyć ją w talii.

Otrzymawszy zaproszenie na jutrzejsze przyjęcie wydawane przez gubernatora Bascombe'a na cześć lorda Lockwooda, pomyślała, że los daje jej doskonałą okazję do odwdzięczenia się kapitanowi Gilbertowi za jego życzliwość. Miała nadzieję, że uda jej się zamienić na osobności słówko z gubernatorem i wyprosić dla kapitana zezwolenie na przewóz dokumentów rządowych.

Czuła mocniejsze bicie serca na myśl o spotkaniu z panem Huntem. Wiedziała,

że to niebezpieczne. Powinna trzymać się z dala od tego mężczyzny. Ich znajomość mogła sprowadzić na nią nieszczęście. Gdyby nabrał choć cienia podejrzeń co do przeszłości „pani Hobbs”, cały dorobek jej życia na wyspie ległby w gruzach.

Nie mogła pozwolić sobie na tak wielkie ryzyko i ulec pokusie. Mimo to po chwili wahania ściągnęła obrączkę z palca i włożyła do koszyka na robótki.

Dokonawszy paru drobnych przeróbek sukni, odłożyła ją na łóżko, po czym wstała i przeciągnęła się. Od przyjazdu na St. Claire prowadziła spokojne życie, teraz jednak nie mogła usiedzieć na miejscu. Znajdowała zapomnienie w ciężkiej pracy, lecz zdarzało się, że dopadały ją ponure rozmyślenia.

Usłyszała ciche szcęknięcie drzwi. To Olivia musiała po coś wrócić. Gospodyni zawsze przygotowywała jej kolację przed powrotem do swego domku przy bramie posiadłości.

- Olivia?! - zawołała. - Zapomniałaś czegoś? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, poczuła ciarki. - Olivia? - Sięgnęła po nożyczki. - Mam pistolet!

- *Si*, i gotowa go pani użyć.

- Och, to ty... - Zobaczyła wysoką, urodziwą i bardzo pewną siebie Hiszpankę z długimi włosami opadającymi aż po pas.

Gospodyni uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- By naprawdę kogoś powstrzymać, *querida*, musiałyby pani wykazać się większą stanowczością. Gdybym była złodziejem, znalazłaby się pani w niewesołej sytuacji.

Daphne odłożyła nożyczki.

- Dlaczego mi nie odpowiedziałaś? - Chciałam się przekonać, co pani robi. Martwię się, kiedy zostaje tu pani sama.

Daphne z trudem skryła poirytowanie. Olivia miała szlachetne zamiary, jednak czasami wystawiała jej cierpliwość na ciężką próbę.

- Wcześniej doskonale sobie bez ciebie radziłam.

- *Sil* - Olivia się roześmiała. - To dlaczego przyjechała pani na St. Claire?

Dlatego, że tak doskonale sobie pani radziła?

To, że Olivia jest ciekawska i nietaktowna, nie było dla Daphne żadną nowiną. Na szczęście nie zwierzała się ani jej, ani nikomu innemu ze swych tajemnic.

- Przypuszczam, że znalazłam się tu z tego samego powodu co ty, Olivio. Gospodyni wzruszyła ramionami.

- Ech, ci mężczyźni. Wszystko przez nich. Wróciłam tu, bo zapomniałam położyć list od panicza Williama w widocznym miejscu. Jest na pani biurku.

Daphne natychmiast podeszła do sekretarzyka. Zrobiło jej się cieplej na sercu na widok cienkiego liściku zaadresowanego dziecinnym pismem.

- Pozwól, że zaraz go przeczytam.

- Już idę, *querida*. W takim razie do jutra.

- Do jutra. - Daphne z westchnieniem usiadła w fotelu. Szybko przebiegła wzrokiem list, po czym przeczytała go po raz drugi, tym razem uważniej.

Jej syn czuł się dobrze. Pisał o nowych kolegach i o lekcjach. Zdał już egzaminy i otrzymał dobre oceny. Od Bożego Narodzenia urósł dwa cale. Dyrektor szkoły i jego żona zaprosili go na święta, jednak prosił o pozwolenie na przyjazd do domu. Tęsknił za nią i za St. Claire i obiecywał, że nie sprawi jej kłopotu.

Jaki kłopot miał na myśli? Zrobiło *jej* się przykro, że coś podobnego w ogóle przyszło mu do głowy. Nigdy nie był dla niej żadnym kłopotem. Oddałaby wszystko, by cieszyć się jego obecnością w domu. Serce krajało jej się na myśl o rozłące, jednak nie mogli mieszkać razem na St. Claire. Gdyby została zdemaskowana, groziłoby mu wielkie niebezpieczeństwo. Pomyślała jednak, że tym razem zaryzykuje i pozwoli mu przyjechać do domu na święta.

Wyjęła papeterię i napisała krótki list pełen ciepłych słów i zapewnień, że wkrótce się zobaczą. Złożywszy kartkę, zapieczętowała ją i położyła na stoliku w holu, by nazajutrz wysłać list w paczce na sąsiednią wyspę, skąd trafi do Charlestonu. Musiała zachować najwyższą ostrożność.

Dźwięki muzyki unosiły się w rozgrzanym powietrzu. W wielkiej sali balowej płonęły kandelabry. Gdyby nie lekka słona bryza i panująca wokół wilgoć, Hunt czułby się jak na oficjalnym obiedzie w Whitehall. Gubernator Bascombe przedstawiał go miejscowym notablom, podczas gdy charge d'affaires Doyle regulował ruchem wchodzących.

Hunt uścisnął dłoń kolejnego gościa i powiedział:

- Miło mi pana poznać, panie Goode. Chyba jesteśmy sąsiadami.

- Tak, lordzie Lockwood. Nasze posiadłości przylegają do siebie od wschodu.

Cieszę się, że pan przyjechał. Mam nadzieję, że przywoła pan do porządku swego zarządcę.

- Pricharda? - zdziwił się Hunt. - Czyżby wtargnął na teren pańskiego majątku lub przeszkodził panu w prowadzeniu interesów?

- W pewien sposób... Nie jestem w stanie utrzymać robotników. Prichard zbyt wiele płaci za pracę, więc moi ludzie przechodzą do New Albion.- A próbował pan lepiej płacić swoim ludziom, panie Goode?

- Dziwne pytanie, milordzie. Przecież w tym wszystkim chodzi o zysk. Wyższe płace to mniejsze zyski.

- No tak - wtrącił się Doyle. - Człowiek musi z czegoś żyć. Skosztował już pan przekąsek, panie Goode? Są wyborne.

- Dobra robota, Doyle - pochwalił Hunt, gdy Goode udał się do salonu.

Jasnowłose charge d'affaires wzbudzał powszechną sympatię. Bystry, szarmancki, przystojny i krzepki, z pewnością był chlubą szkolnej drużyny krykietowej i wiódł prym na potańcówkach, a teraz rozwijał swe talenty w dyplomacji.

- Pan Goode lubi wzniecać konflikty - uśmiechnął się - ale łatwo można sobie z nim poradzić.

Hunt chciał odpowiedzieć, gdy wtem jego uwagę przyciągnęła kobieta w sukni w śliwkowym kolorze. Uważnie przyjrzał się urodziwej damie. Pani Hobbs.

Bascombe mylił się, bo jednak przyszła. Czyżby zjawiała się sama? Skłonił się uprzejmie i ruszył w jej stronę.

Była odwrócona tyłem. Przez chwilę podziwiał jej łabędzią szyję i zarys ramion. Rozjaśnione słońcem włosy, upięte w klasyczny węzeł na karku, mieniły się w blasku świec. Czuł jej zapach. Tym razem nie otaczała jej woń wanilii i cukru, lecz jakiś tropikalny aromat. Oleander? Nie, gardenia. Rozkoszował się tym zapachem.

- Pani Hobbs, cieszę się, że panią spotkam. Odwróciła się. Jej suknia miała głęboki dekolt, ujawniający przedziałek między uroczymi krągłościami. Wydawało mu się, że pod jedwabiem dostrzega czarną koronkę. Boże! Czyżby miała na sobie czarną halkę? W głowie zaroilo mu się od dzikich fantazji.

- Panie Hunt - powiedziała niskim, gardłowym głosem, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, jak wielkie wywiera na nim wrażenie. - Zastanawiałam się, czy pana tu dziś spotkam.

- Podała mu dłoń gestem księżniczki.

Czyżby wciąż nie wiedziała, kim on jest, skoro zwróciła się do niego „panie Hunt”?

- Jest pani sama, pani Hobbs? Czy mogę panią prosić do walca?

Rozejrzała się po sali, zauważając gubernatora Bascombe'a, który przy ponczu rozmawiał z panem Goode'em.

- Zdąży się pani przywitać z naszym gospodarzem - dodał.

- Z przyjemnością mu panią przedstawię.

Zauważywszy niezdecydowanie na jej twarzy, pomyślał, że mu odmówi, jednak po chwili skapitulowała. Z zadowoleniem poprowadził ją na parkiet.

Uśmiechnęła się niepewnie, jakby podejmowała wielkie ryzyko.

- To tylko taniec, pani Hobbs - rzekł z uśmiechem. - Nie zjem pani - dodał, nie wiedząc, czy mówi prawdę.

Zwilżyła wargi.

- To wszystko dlatego, że od bardzo dawna nie tańczyłam, panie Hunt.



- Naprawdę? Jak długo?
- Och, taki szmat czasu, że już nawet nie pamiętam. Sześć, może siedem lat.
- Od śmierci męża?
- Wcześniej... nie prowadziliśmy bogatego życia towarzyskiego. Mój mąż nie lubił tańczyć, a nie chciał, żebym tańczyła z innymi.

Gdy jednak poddali się płynnemu wirowaniu, Hunt byłby gotów przysiąc, że jest urodzoną tancerką.

- Gdzie to było? W Londynie?- Tak. Odnoszę jednak nieodparte wrażenie, że od tego czasu minęły całe wieki.

Wydawało mu się mało prawdopodobne, by mógł jej nie zauważyć podczas któregoś z sezonów. Był już pewien, że pani Hobbs należała do londyńskiego towarzystwa, choć być może nie zajmowała zbyt wysokiej pozycji. Czyżby pojawiła się w salonach, gdy przebywał poza krajem?

- Nie zapomniała pani, jak się tańczy - powiedział, zmuszając ją do szybkiego obrotu.

Roześmiała się.

- Mam nadzieję, że nie stracę równowagi.
- Proszę zdać się na mnie, pani Hobbs. Zadbam o panią. - Powinien zajmować się swoim zadaniem, rozmawiać z ludźmi i poznawać tajemnice St. Claire, lecz w tej chwili nie miał ochoty na pogawędki o piratach. Pragnął jedynie tańczyć z panią Hobbs. - Jak długo mieszka już pani na St. Claire?

Uciekła spojrzeniem.

- Ponad pięć lat.
- Jednak mniej niż dziesięć?

Wyczuł jej niechęć do zwierzeń. Pani Hobbs wyraźnie coś ukrywała. Znał się na ludziach, niełatwo było go zwieść. Nie powinien się jednak niczemu dziwić. Większość Anglików mieszkających w Indiach Zachodnich przybyła tu, by uciec od gorzkiej lub niechlubnej przeszłości i zacząć nowe życie. Czy pani Hobbs chciała

jedynie uciec od bolesnych wdowich wspomnień?

Dostrzegł, że nie miała już na palcu obrączki. Zaintrygowało go to, podobnie jak rumieniec, który zabarwił jej policzki.

Poprowadził ją w stronę gubernatora.

- O, jest pan! - powitał go Bascombe. - Czekaliśmy na pana, Lockwood, ale teraz już rozumiem, co pana zatrzymało.- Lockwood? - powtórzyła zaskoczona pani Hobbs.

- Myślałem, że zostali już państwo sobie przedstawieni, skoro tańczyliście walca. - Bascombe popatrzył z przyganą na hrabiego. - Lordzie Lockwood, to jest pani Daphne Hobbs. Pani Hobbs, przedstawiam pani Reginalda Huntera, lorda Lockwooda.

Daphne spochmurniała. Gdyby nie obecność gości, zaproponowałaby jej, by zwracała się doń „Reginald”, „Hunt” lub „Lockwood”, lecz w żadnym wypadku nie używała jego tytułu i nie nazywała go milordem lub „sir”, co stwarzało niepotrzebny dystans. Teraz jednak musiał zachować się zgodnie z ceremoniałem.

- Hrabia Lockwood. Miło mi panią poznać, pani Hobbs. - Uniósłszy jej dłoń do ust, dostrzegł czujność we wzroku pani Hobbs.

Gdy etykietę stało się zadość, szybko odeszła, jakby była tylko jedną z wielu osób czekających na przywitanie.

W tej chwili nie mógł nic na to poradzić, jednak nie zamierzał dopuścić do tego, by go odtrąciła.

Daphne piła wino, patrząc na kurczącą się kolejkę witających się z Lockwoodem. Niepotrzebnie dała się ponieść wodzom fantazji, wyobrażając sobie flirt lub romans z „panem Huntem”. Lord Lockwood musiał obracać się w kręgach towarzyskich, od których uciekła, i z pewnością słyszał o hańbiącym ją skandalu. Przecież w salonach musiało aż huczeć od plotek na jej temat i lord Lockwood z pewnością słyszał o lady Barrett. Rzadko zdarzało się, by żona arystokraty

mordowała męża i uciekała z kraju, uwożąc z sobą jego rodzinne klejnoty oraz dziedzica tytułu i majątku.

Postanowiła opuścić przyjęcie zaraz po tym, jak uda jej się przedstawić swą prośbę gubernatorowi Bascombe'owi. Zamierzała poprosić Hannah, by obsłużyła Lockwooda, gdyby pojawił się w cukierni. Pragnęła za wszelką cenę zejść mu z oczu. Prowadziła spokojne życie między innymi dlatego, że starannie unikała takich znajomości.

W końcu Bascombe zakończył rozmowę z lordem Lockwoodem i zostawił znamienitego gościa w towarzystwie Doyle'a. Postanowiła skorzystać z nadarzającej się okazji.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziała, ujmując ramię gubernatora i prowadząc go w stronę balkonu, z którego roztaczał się widok na zatokę.

- To ja dziękuję, że zaszczyliła nas pani swą obecnością. Jak dotąd, zawsze pani odmawiała, o czym zresztą ostrzegłem Lockwooda.

- Więc zaproszenie to jego pomysł?

- Tak. Może sobie pani wyobrazić moje zaskoczenie, gdy dowiedziałem się, że nigdy nie zostaliście sobie państwo przedstawieni. No, ale szczęśliwie udało się nadrobić zaległości. Myślę, że teraz może się pani spodziewać jeszcze większego zainteresowania ze strony lorda Lockwooda.

Daphne rozejrzała się dyskretnie. Hrabia dyskutował o czymś żywo z jednym z plantatorów. To dziwne, że pomyślał o zaproszeniu jej na przyjęcie.

Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Była na balkonie sam na sam z gubernatorem i taka okazja mogła już się nie zdarzyć.

- Prawdę mówiąc, chciałam z panem porozmawiać w cztery oczy i prosić o przysługę.

- Słucham. Mam nadzieję, że będę mógł spełnić pani prośbę.

- Chodzi o mojego przyjaciela, kapitana Gilberta. Często pływa pomiędzy Londynem a St. Claire. Odwiedza te miejsca przynajmniej trzy razy w roku.

- Znam go. To uczciwy człowiek.
- Cieszę się, że jest pan o nim dobrego zdania. Pomyślałam, że mógłby przewozić dokumenty rządowe. Potrzebne byłoby tylko stosowne zezwolenie.
- W rzeczy samej... - Gubernator popatrzył na nią podejrzliwie. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do podobnych próśb ze strony kobiet, nie zamierzała jednak się poddawać.
- Obawiam się, że kapitan Gilbert nie będzie w stanie utrzymać się jedynie z transportu towarów handlowych i zrezygnuje z żeglugi. Uważam, że to jeden z najsolidniejszych przewoźników na St. Claire, dlatego moim skromnym zdaniem powinien otrzymać pozwolenie. Przywozi mi najprzedniejsze gatunki mąki i cenne przyprawy, przyjmuje też zamówienia na tkaniny i wiele innych wyrobów, które zapewne mają w domu także pan i pańska żona. Niedobrze by się stało, gdybyśmy nie mogli korzystać z jego życzliwości.
- To prawda. Hm... Myślę, że można rozważyć udzielenie mu tego zezwolenia. Obdarzyła go wdzięcznym uśmiechem.
- Jedynie król mógłby się temu sprzeciwić, a nie sądzę, by interesował się takimi sprawami.
- Obiecuję, że się nad tym zastanowię, pani Hobbs.
- O to właśnie chciałam prosić. Jestem pewna, że podejmie pan właściwą decyzję.

Gubernator Bascombe dumnie wkroczył do salonu w towarzystwie pani Hobbs. Rozmowa potoczyła się nawet lepiej, niż Daphne się spodziewała. Zaraz poprosi o podstawienie dwukółki i za godzinę powinna już być w domu. Hunt co chwila zerkał w stronę balkonu. Wreszcie gubernator i pani Hobbs powrócili na salę. Poczuli ukłucie zazdrości na myśl o tym, że pani Hobbs i Bascombe mogli... nie, to niemożliwe! Gubernator był od niej znacznie starszy, a poza tym przy dokonywaniu prezentacji traktował ją bardzo oficjalnie.

- Lockwood, wcale się panu nie dziwię! Pani Hobbs jest bardzo atrakcyjna -

stwierdził z uśmiechem Doyle, nie dostrzegając irytacji hrabiego.

- Rzadko widuje się takie piękności. Czy pani Hobbs... jest z kimś związana?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Żyje na uboczu. Może mi pan wierzyć, że gdybym tylko zwietrzył szansę, sam bym spróbował. Ma hiszpańską gospodynię i ludzie plotkują, że one... - Wymownie rozłożył ręce.

- To niemożliwe - stwierdził Hunt. Doyle znów się roześmiał.

- O, widzę, że trafiła pana strzała Amora! Mimo wszystko uważam, że to nieodpowiednia partia. Nadaje się na dyskretny romansik, mogłaby nawet zostać kochanką... ale jak wytłumaczyłby pan ludziom fakt, że lady Lockwood trudniła się handlem?

Hunt nie zamierzał się zastanawiać nad tym, co wypada a czego nie wypada. Patrzył, jak pani Hobbs wdzięcznie dyga przed gubernatorem i rusza do holu. Udawała niewinną ptaszynę. Czyżby naprawdę uważała, że uda jej się niepostrzeżenie wymknąć?

## *Rozdział czwarty*

Daphne stała u podnóża schodów, czekając, aż jej dwukółka zostanie wyprowadzona ze stajni. Słyszając dźwięki walca, westchnęła z rozmarzeniem. Była trochę zaniepokojona, że aż tak dobrze tańczyło się jej z lordem Lockwoodem.

Wspomniała rok swego debiutu w Londynie. Uwielbiała taniec i często wirowała w walcu aż do świtu. Barrett śledził każdy jej krok. Był natrętny i niestrudzony w swych zalotach. Z początku jej to pochlebiało, jednak gdy przekupił jej brata, by wyraził zgodę na małżeństwo, nie kryła oburzenia. Jako mąż lord Douglas Barrett tyranizował ją i osaczał podobnie jak w okresie konkurów.

Aż zadrzała na to wspomnienie. Przeżyła koszmarne chwile, nie chciała jednak dawać przystępu ponurym myślom, które mąciły z tak wielkim trudem zdobyty spokój.

Wiatr lekko zburzył jej fryzurę, parę zbłąkanych kosmyków łaskotało policzki. Odgarnęła je z twarzy niecierpliwym gestem.

- Jest pani zimno, pani Hobbs?

Ach, ten głęboki baryton! Nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, kto do niej podszedł. Poczula ostrzegawcze ciarki na plecach, lecz szybko przywołała uśmiech na twarz.- Lordzie Lockwood, chyba powinien być pan w salonie.

- Poznałem już wszystkich, pani Hobbs, a poza tym uważam, że teraz przebywam w najlepszym towarzystwie.

Zarumieniła się. Dlaczego wprawiał ją w takie zakłopotanie? Czy mogła ufać mężczyźnie, który wypowiada tak gładkie słówka?

- W takim razie wielka szkoda, że jadę już do domu.

- Może namówię panią na jeszcze jeden taniec? Zawahała się, lecz właśnie w tej chwili stajenny podjechał dwukółką.

- Przykro mi, lordzie Lockwood, ale to mój gig. Nellie nie lubi na mnie czekać.

- Trudno ją za to winić. - Gdy pogładził nozdrza klaczy, wtuliła pysk w jego ramię. - Piękna dziewczyna nigdy nie powinna czekać. Gdzie jest pani stangret?

- Tutaj. - Wskazała na siebie.

Na chwilę odjęło mu mowę, jednak szybko się opanował, chwycił lejce i dał monetę stajennemu.

- Przyrowadź mojego konia.

Gdy chłopak puścił się pędem, Daphne powiedziała szybko:

- Proszę nie robić sobie kłopotu z mojego powodu, lordzie Lockwood.

- W żadnym razie nie dopuszczę, by tak się pani narażała. A co będzie, jeśli

złamię się oś?

- Nie musi czuć się pan za mnie odpowiedzialny. Codziennie jeżdżę sama tymi drogami.

- Tak, ale podczas dnia. Noc kryje różne zagrożenia. Uznała, że największym zagrożeniem jest lord Lockwood.

- Naprawdę, milordzie, nie ma potrzeby...

- Nie chcę tego dłużej słuchać. Proszę pozwolić mi sobie towarzyszyć już choćby ze względu na mnie. Jak bym się czuł, gdyby coś przytrafiło się pani w drodze do domu? Gdyby na przykład zaatakowała panią banda rzezimieszków? Uznałbym, że nie jestem godzien miana dżentelmena.

Jego argumentacja w niczym nie przypominała manipulacji Barretta. Choć Lockwood mówił żartobliwym tonem, była skłonna uwierzyć, że istotnie niepokoi się o nią.

- Na St. Claire nie ma żadnych bandytów - odpowiedziała niepewnie.

- Czyżby?

Wiedziała, że na wyspie kwitnie przestępczość i że jest tu znacznie mniej bezpiecznie niż w Londynie. Przybywały tu typy wszelkiej maści, by ukryć się przed światem w nowym kraju.

Widząc jej niezdecydowanie, szybko podjął decyzję. Gdy stajenny przyprowadził konia, uwiązał go do giga i pomógł Daphne wsiąść.

- Jedziemy na wschód czy na zachód, pani Hobbs?

- Na zachód. Mam nadzieję, że nie musi pan zbaczać z drogi z mojego powodu?

- W żadnym razie, choć to bez znaczenia, pani Hobbs. - Skierował konia na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża.

Była zła na siebie, bo mimo protestów miała nadzieję, że uda mu się ją przekonać. Dlaczego pragnęła jego towarzystwa? Powinna stronić od hrabiego, licząc na to, że zapomni o niej, gdy tylko wsiądzie na statek do Londynu.

Postanowiła, że zacznie go unikać od następnego dnia i nie złamie się aż do jego wyjazdu.

- Jak długo zmierza pan zabawić na St. Claire, milordzie?

- Dłużej niż planowałem. - Uśmiechnął się znacząco. - Prosiłbym, żeby zwracała się pani do mnie w mniej oficjalny sposób: Reginald, Hunt albo Lockwood. Proszę zapomnieć o moim tytule, o ile to pani nie robi różnicy. - Dlaczego? Przecież tytuł to przywilej.

- Nie wtedy, gdy stwarza niepożądany dystans między mną a tym, czego pragnę.

- A czego... - Odchrząknęła. - W takim razie zabawi tu pan dwa tygodnie... czy dłużej?

Roześmiał się, wyraźnie rozbawiony jej zakłopotaniem.

- Co najmniej dwa tygodnie, może miesiąc.

Zapatrzyła się na drogę, na dziwne nocne cienie, zastanawiając się, jak powinna się zachować. Lord Lockwood był nieznośnym flirciarzem, jednak nie pozostawała obojętna na jego chłopięcy urok i po raz pierwszy od dawna czuła dreszczyk podniecenia.

- Co sprowadziło panią na St. Claire, pani Hobbs?

- Fregata, lordzie Lockwood.

Uśmiechnął się, lecz nie indagował dalej. Postanowił przypomnieć jej o swym życzeniu.

- Lockwood. Reginald. Reggie. Hunter. Hunt. Ma pani spory wybór.

Głęboko zaczerpnęła tchu. Imię Reginald jakoś nie pasowało do niego, a forma Hunt wydawała się jej zbyt poufała.

- A co pana tu sprowadza, Lockwood?

Milczał przez dłuższą chwilę. Zdała sobie sprawę, że i on skrywa jakąś tajemnicę.

- Zastanawiam się, czy mam sprzedać swą plantację.



- Przynosi duży dochód?
- Średni. Wszystko zależy od kaprysów pogody.
- Tak jak w przypadku większości tutejszych mieszkańców, oprócz tych, którzy żyją z morza i z handlu, ale St. Claire to mała wyspa, więc i pod tym względem trudno jest jej rywalizować z innymi.

- Czy tutejsi mieszkańcy podzielają pani zdanie?- Nie wiem. Odkąd Stowarzyszenie Plantatorów postanowiło zaniechać uprawy trzciny cukrowej, wyspa przestała się rozwijać. Towary, które eksportujemy, z wyjątkiem mahoni, są bardzo kruche albo łatwo się psują, co utrudnia przewóz.

- Nie akceptuje pani tej decyzji, pani Hobbs?
- Nie uważam, by należało dbać o rozwój za wszelką cenę.
- Dobrze prosperująca wyspa przyciągałaby nowych przybyszów z Anglii i Daphne mogłaby zostać zdemaskowana.

- Brak rozwoju to faktycznie regres, droga do bankructwa - rozejrzył się wokół - a szkoda byłoby utracić to wszystko. Zastanawiam się jednak, z jakiego powodu taka kobieta jak pani wybrała życie na St. Claire. W Londynie bez trudu dobrze wyszłaby pani za mąż i nie musiała się o nic martwić. Tymczasem woli pani pracować na odległej wyspie, nie mogąc spokojnie myśleć o przyszłości.

- Są rzeczy ważniejsze od małżeństwa, Lockwood. - Zdała sobie sprawę, że powiedziała zbyt wiele, dlatego szybko dodała: - Wspomnienia były dla mnie zbyt bolesne, by zostać w Londynie.

- Mogła pani przenieść się na wieś.
- Nie chciałam, żeby rodzina męża rządziła moim życiem.
- Spochmurniała, mając nadzieję, że ponura mina powstrzyma go od dalszych pytań.

- Hobbs... Zastanawiam się, czy znałem pani męża. Są jacyś Hobbowie w Devon... Jak miał na imię?

- Nie sędzę, by znał pan mojego męża. Nie obracaliśmy się w aż tak wysokich

kręgach towarzyskich jak pan.

Popatrzył na nią zaskoczony. Czyżby wyczuł niepewność w jej głosie?

- Nie chciałem sprawić pani przykrości. Pewnie uważa pani, że wściubiam nos w nie swoje sprawy.- A nie jest tak?

- Przyznaję, że może wyglądać to na wścibstwo, choć ja widzę to inaczej. Po prostu postrzegam świat jak układankę i nie zaznam spokoju, dopóki wszystko nie ułoży się w spójną całość. Taki już, niestety, mam umysł.

Odetchnęła z ulgą.

- Nie lubię mówić o przeszłości. Wspomnienia są bardzo bolesne.

- W takim razie porozmawiajmy o czymś innym. Jaki temat pani proponuje?

- Pomówmy o panu, lordzie Lockwood. Dlaczego za każdym razem, kiedy zadaję panu pytanie, zbywa mnie pan krótką odpowiedzią i znów zaczyna mnie wypytywać?

- Zapewniam panią, że nie jestem aż tak ciekawski. Po prostu nie znam dobrze St. Claire i wszystko mnie interesuje. Obiecuję poprawę. Pomówmy o wyspie.

Uznała temat za bezpieczny.

- Dobrze. Eksportujemy głównie... Roześmiał się.

- Nie prosiłem o wykład, pani Hobbs. Proszę mi powiedzieć, co warto tu zwiedzić.

- Powinien pan zobaczyć wodospad na Mount Colombo. To moje ulubione miejsce. Proszę zabrać z sobą jedzenie, bo po drodze nie ma żadnych zajazdów.

- Jest tam jakaś ścieżka?

- Tak. To łatwa trasa. Chodziłam tam z moim synem.

- Och... sądziłem, że nie ma pani dzieci. To pewnie dlatego, że tak młodo pani wygląda. Ile lat ma pani syn... chyba że znów jestem zbyt ciekawski?

Musiła uważać na każde słowo. Nie mogła winić teraz Lockwooda za ciekawość.- Ma osiem lat i jest w szkole z internatem.

- Ma pani więcej dzieci?

- Nie. Tylko Williama.

Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

- W takim razie musi się pani czuć samotna.

Szybko zamrugła, by odegnąć łzy. Nie zamierzała płakać w obecności Lockwooda. Postanowiła zmienić temat.

- Na północy jest piękna rafa koralowa, a woda jest tam tak czysta, że można podziwiać różnobarwne ryby. Umie pan pływać?

- Tak, oczywiście.

- W takim razie powinien tam pan się udać, choć podróż nie należy do łatwych. Nie można wypożyczyć łodzi, a po drodze nie ma żadnych siedzib ludzkich. Rify stanowią zbyt wielkie niebezpieczeństwo dla statków.

- Dopiszę to miejsce do mojej listy. Co jeszcze warto zwiedzić?

- Nic innego nie przychodzi mi w tej chwili do głowy. Jeśli coś mi się przypomni, wyślę do pana posłańca z listem.

- Nie ma takiej potrzeby. Będę wstępował do pani sklepu. Jak to możliwe, by jednocześnie cieszyła się i była przerażona z tego powodu? Nie rozumiała swego zachowania.

- Czy może mi pani powiedzieć coś na temat Blackpool?

- Niestety niewiele. My trzymamy się swojej części wyspy, a oni swojej.

- Chciałbym zobaczyć to miasto wzniesione na skałach. Zamierzam się tam wybrać, jeśli będę miał wolny dzień.

- Słyszałam, że czasami cumują tam duże statki, ale morski prąd jest tak silny, że mniejsze z daleka omijają Blackpool. Nie radziłabym tam płynąć statkiem.

- Mogę wybrać się pieszo. Po drodze zerknę na wodospad i na wulkan. Jestem wytrawnym brytyjskim podróżnikiem.- Nie polecam również pieszej wycieczki.

Mówiono, że mieszkańcy Blackpool są bardzo nieprzychylnie nastawieni do obcych. Podobno niektórzy śmiałkowie nigdy stamtąd nie wrócili. Nie chciała, by podobny los spotkał Lockwooda.

Milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Jego następne słowa bardzo ją zaskoczyły:

- Podejrzewam tu jakąś znowę. Ilekroć wspominałam o Blackpool, spotykam się z milczeniem albo każe mi się trzymać z dala od tego miejsca. Czy tam mieszkają kanibale?

Roześmiały się w głos, gdyby nie fakt, że lord Lockwood miał prawo do podejrzeń.

- Naprawdę nie mam pojęcia. Blackpool było owiane tajemnicą już przed moim przyjazdem do San Marco, a ja nigdy tam nie byłam. Znam ludzi, którzy się tam wybrali, ale nie chcieli o tym mówić.

- Dziwię się, że połowa mieszkańców San Marco nie ruszyła tam, żeby się przekonać, dlaczego ta miejscina uchodzi za zakłątą.

- Nie wiem, co mogłabym jeszcze dodać. Powiedziałam już wszystko, co wiem na temat Blackpool. Teraz pańska kolej. Chciałabym wiedzieć, co działo się w Londynie w ciągu minionych pięciu lat.

- Nic ciekawego. Książe regent pustoszy królewskie kufry, mamy bunty z powodu cen ziarna, w kraju panuje niepokój... ale to chyba pani nie interesuje.

- Owszem, interesuje, i to bardzo.

- Tak, oczywiście... - Nieco się zdziwił. Uciekła z Londynu, zaszyła się na końcu świata, stara się wymazać przeszłość, a jednak ciągnie ją tam. Cóż, przeżyła tam wczesne lata, wyszła za mąż, została tam jej rodzina i przyjaciele. A jednak odnosił wrażenie, że zależy jej na całkiem konkretnych informacjach. Zapewne w tym wszystkim coś się kryło, jakaś tajemnica... - Proszę mi chociaż przekazać najświeższe plotki. Wiem, że mężczyźni nie lubią plotkować, ale proszę się postarać.

Musiał przyznać, że jest sprytna.

- Plotki... Na Piccadilly otwarto Burlington Arcade. Dwa piętra sklepów. Sam robiłem tam zakupy.

- No nie! - Roześmiała się. - Co pan kupił?

- Prezenty ślubne.
- Dla kogo?
- To smutna historia. Księżniczka Karolina zmarła po urodzeniu martwego syna. Skandaliczne było to, co zdarzyło się potem.
- Co się stało?
- Książę nie ma dziedziców, więc książęta z rodziny królewskiej na wyścigi popędzili do ołtarza. Clarence ożenił się z księżniczką Adelajdą, Kent poślubił Marię Wiktorię, a Cambridge księżniczkę Augustę. Poważnie zubożałem z tego powodu, wydając fortunę na prezenty. Kent wygrał wyścig, gdyż urodziła mu się córka, księżniczka Wiktoria. Cały kraj modli się o jej zdrowie. I o syna.

- Dziedzice... - powiedziała cicho - są bardzo ważni. Ma pan dziedzica, Lockwood?

- Owszem. Trzech. Moich braci, Andrew, Charlesa i Jamesa. Korony przydrożnych drzew zasłoniły księżyc. Powietrze wydawało się gęstnieć.

- Nie ma pan synów?
- Jak dotąd nie, pani Hobbs.
- Nie zamierza się pan ożenić?

Wyczuwając zdziwienie w jej głosie, miał ochotę wyznać prawdę. Nie chciał, by Bogu ducha winna kobieta musiała cierpieć z powodu męża takiego jak on. Nie chciał się żenić, by nie przeżyć chwili, w której żona odkryje jego prawdziwe oblicze. Gdyby zaś wyznał wszystko przed ślubem, narzeczona uciekłaby w popłochu, przerażona jego czynami z przeszłości. Musiałby więc żyć w kłamstwie.

- Przyznaję, że nie stroniłem od kobiet, pani Hobbs. Wprost przeciwnie, wszędzie szukałem tej jedynej. Boże, *co* ja przeszedłem! Ile musiałem znieść rozczarowań!

- Spotkał się pan z odmową?
- Z wieloma odmowami.

- Nie chciałabym nazwać pana wstrętnym kłamcą, Lockwood, ale to, co pan mówi, jest zupełnie nieprawdopodobne.

- Przyznaję, że ma pani rację. Nigdy się nie oświadczyłem. Zawsze decydowałem się za późno i moi przyjaciele zabierali mi najlepsze partie.

- A nie przyszło panu do głowy, żeby powalczyć o miłość?

- To nawet byłoby ciekawe. Być może nigdy nie kochałem naprawdę. Moja siostra grozi, że jeśli się nie pośpieszę, sama znajdzie mi żonę.

- Mam nadzieję, że zna się na ludziach.

- O tak. Jest najmłodsza z nas, lecz tylko ona założyła rodzinę. Bracia dotąd są wolni, jak i ja.

- To z pewnością niepokoi swatki u Almacka. Czterech przystojnych dżentelmenów w kawalerskim stanie! Musicie być sławni w mieście.

Być może plotkowano o nich, jednak zarówno on, jak i bracia w ciągu minionych pięciu lat trzymali się z dala od salonów. Nie mogli znieść dusznej atmosfery i natrętnych matek, za wszelką cenę starających się wydać córki za mąż.

- Droga pani Hobbs, jestem zwyczajnym człowiekiem. Londyńska śmietanka dusi się we własnym sosie, a ja chciałbym znaleźć prawdziwą przyjaźń i uczucie, chciałbym spotkać kobietę, która właśnie ze mną, a nie z tytułem i majątkiem, pragnęłaby związać swój los i, jeśli dopisze szczęście, da mi całe stadko małych Hunterów. Jeśli to mi się nie powiedzie, obowiązek sprokurowania dziedziców spadnie na braci.

- Mimo wszystko wydaje mi się, że to pan jest dla siebie największą przeszkodą w osiągnięciu celu. Gdyby chciał pan mieć żonę, z pewnością już by pan ją miał. - Wskazała bramę.

- To tutaj. Szept Fal, mój dom.

Co za niezwykły zbieg okoliczności! Zastanawiał się, czy powiedzieć, że jego plantacja przylega do jej majątku. Minęli niewielki dom przy bramie, w którym paliło się światło w oknie.

- Tu mieszka moja gospodyni - wyjaśniła. - Bardzo panu dziękuję. Dalej pojedę już sama. Nic mi się tu nie stanie.

Żałował, że wspólna jazda dobiegła końca.

- Dziękuję pani za towarzystwo, pani Hobbs.

- To ja panu dziękuję za odwiezienie mnie do domu, lordzie Lockwood - powiedziała z uśmiechem.

W świetle księżyca sączącym się przez korony drzew wyglądała zjawiskowo pięknie. Minęło już wiele miesięcy, a nawet lat, gdy całował równie urzekającą kobietę.

Powoli, by w każdej chwili mogła się wycofać, zbliżył swe usta do jej warg. Stwierdził z ulgą, że się nie opiera. Miał wrażenie, że wręcz tego oczekiwała. Gdy rozchyliła wargi, szybko skorzystał z zaproszenia. Była słodka jak miód kwiatowy, jak ciastka z jej cukierni.

Zapragnął *jej* aż do bólu. Marzył o tym, by się w niej zatracić i usłyszeć, jak wzdycha z rozkoszy.

Lekko odepchnęła go drżącą dłonią.

- Proszę... to był błąd, Lockwood. To się już nigdy nie może powtórzyć.

Była uroczo naiwna, sądząc, że uda im się wrócić do punktu wyjścia. Ten miłosny nektar był szczególnie odurzający i koniecznie musiał go zakosztować. Postanowił jednak poczekać, by jej nie spłoszyć. Był już pewien, że zostaną kochankami.

Odgarnął jej pasemko włosów z policzka i podał lejce. Nie zamierzał za nic przeproszać, nawet jeśli tego oczekiwała. Nie chciał też składać fałszywych obietnic, że to się już więcej nie powtórzy. Uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie, i wysiadł z dwukółki, po czym odwiązał swego konia.

- Życzę miłych snów, pani Hobbs! - zawołał, gdy ruszyła ku domowi.

Daphne obudziła się w środku nocy i ciężko dysząc, usiadła na łóżku. Koszula

nocna była mokra od potu, łzy spływały po policzkach. Stała na podłodze, starając się opanować.

Co sprawiło, że we śnie powróciły koszmarne wspomnienia strachu i bólu, które udało jej się ukryć tak głęboko? W ciągu minionych pięciu lat myślała tylko o tym, by przeżyć, uciec przed stryczkiem i ochronić Williama przed chciwym stryjem. Zamierzała przygotować syna do upomnienia się o należne mu prawa i majątek.

Pocałunek Lockwooda obudził w niej uspięne pragnienia. Poczula się kobietą, jaką była, zanim spotkała Barretta, przed koszmarnym małżeństwem i krwawą nocą. Nie powinna nawet myśleć o słodkich pocałunkach, o tęsknocie serca. Nauczyła się powściągać swe pragnienia, więc z pewnością uda jej się oprzeć zakusom lorda Lockwooda.

## *Rozdział piąty*

- Jesteś dziwnie milcząca - powiedziała Hannah. - Dobrze się bawiłaś na przyjęciu u gubernatora?

Daphne westchnęła. Wałkowała ciasto tak energicznie, że stało się cienkie jak papier.

- Nie było tak nudne, jak się spodziewałam.
- Dobrze, że się tam wybrałaś - stwierdziła Hannah, dokładając drewno do pieca.
- Zastanawiałam się, kiedy wreszcie zdecydujesz się zakończyć żałobę.
  - To stało się już dawno, a ostatni wieczór niczego nie zmienił. To był tylko wyjątek potwierdzający regułę.
  - Nie przywiązywałabym się aż tak bardzo do tej myśli, Daphne. Zobaczysz, że w twoim życiu jeszcze pojawi się ktoś, kto zawróci ci w głowie.



Daphne natychmiast stanął przed oczami Reginald Hunter. Szybko zamruwała. Nie mogła sobie pozwolić na rozwijanie tej znajomości. Gdyby ją rozpoznał, zostałaby aresztowana i odwieziona do Anglii, gdzie zawisłaby na szubienicy. Jaki los czekałby wtedy Williama? Jego opiekunem zostałby brat Barretta. William nie przeżyłby pobytu w domu stryja Alfreda, który był takim samym brutalem jak Barrett. Jednak gdy William stanie się pełnoletni, Alfred nie będzie miał nad nim żadnej władzy i jej syn będzie mógł wrócić do Anglii.

Gdy rozległ się dźwięk dzwoneczka u drzwi, Hannah pobiegła powitać klienta. W chwilę później do kuchni zajrzał kapitan Gilbert.

- Przyszedłem, żeby pani podziękować, pani Hobbs - rzekł z uśmiechem. - Wracam od gubernatora Bascombe'a, który wezwał mnie niespodziewanie. Odbyliśmy interesującą rozmowę. Wszystko wskazuje na to, że dostanę pozwolenie na przewóz dokumentów państwowych pomiędzy St. Claire a Londynem.

Wytarła ręce w fartuch.

- Mam nadzieję, że znacznie zwiększy to pańskie dochody.  
- Bez wątpienia, pani Hobbs. Bardzo pani dziękuję. Domyślam się, że to pani zasługa.

Zaczerwieniła się.

- Nie nazwałabym tego w ten sposób. Wspomniałam tylko pańskie nazwisko.  
- Gubernator powiedział mi co innego. - Znów się uśmiechnął. - Mówił, że dotąd unikała pani spotkań towarzyskich i zaskoczyła wszystkich swym pojawieniem się na przyjęciu. Twierdził, że jest pani kobietą, która wie, czego chce, a po osiągnięciu celu natychmiast pani wyszła.

Skrzywiła się. Nie przypuszczała, że tak łatwo było przejrzeć jej grę.

- Zasugerowałam tylko gubernatorowi taką możliwość, to wszystko. Proszę nie przeceniać moich zasług.

Przerwał im dźwięk dzwoneczka. Mimo że w sklepie była Hannah, Daphne postanowiła skorzystać z okazji i przerwać trudną rozmowę. Odłożyła walek do

ciasta i wyszła z kuchni.

Przy ladzie, z założonymi z tyłu rękoma, stał lord Lockwood, pochylony nad tacą z ciasteczkami. Na widok Daphne jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Dzień dobry, pani Hobbs - powiedział cicho.
- Dzień dobry, lordzie Lockwood. Z zaplecza wyszedł kapitan Gilbert.
- Witam, lordzie Lockwood.
- Witam, kapitanie. - Skłonił głowę. - Jak idzie załadunek?
- Niestety, powoli. Wygląda na to, że nie wypłynę wcześniej niż za dwa tygodnie. Pani Hobbs zadbała jednak o moje interesy i spodziewam się, że wkrótce nastaną dla mnie lepsze czasy.

Przez twarz Lockwooda przemknął cień.

- Widzę, że pani Hobbs ma rozmaite talenty.

Boże! Czyżby myślał, że darzyła kapitana szczególnymi względami? Zaczęła się tłumaczyć, lecz po chwili doszła do wniosku, że powinna pozwolić Lockwoodowi na podejrzenia, byle tylko trzymał się od niej z daleka.

Kapitan Gilbert szybko wyjaśnił nieporozumienie.

- Pani Hobbs była uprzejma porozmawiać z gubernatorem Bascombe'em w moim imieniu. Dzięki temu otrzymałem pozwolenie na przewóz dokumentów rządowych i korespondencji pomiędzy St. Claire a Londynem.

- Rozumiem.

Wyraz jego twarzy wskazywał jednak, że nie jest przekonany o niewinności pani Hobbs.

W cukierni zapadła krępująca cisza.

- Och, przepraszam - powiedziała Daphne po chwili milczenia. - Czym mogę panu służyć? - Podeszła do tacy z chlebem.

- Czuję miły zapach. Co pani szykuje?

- Deser z owoców pokrytych warstwą kruchego ciasta, ale nieprędkiem będzie gotowy.

- Niestety, nie mogę czekać.- W takim razie proszę przyjąć tartę czereśniową. Szkoda, że nie miałyśmy świeżych owoców, ale ze słoika też są smaczne. - Zawinęła tartę w papier i związała niebieską wstążką.

- Proszę nieść ostrożnie, bo ciasto się pokruszy, a nadzienie jest bardzo lepkie. Skłonił się uprzejmie.

- Jestem pani dłużnikiem, pani Hobbs.

- W żadnym razie, lordzie Lockwood. Żałuję, że nie mogłam pana poczęstować deserem.

- Jestem zachwycony każdym pani podarunkiem. - Przyjrzał się jej z upodobaniem.

Spłoszona skinęła tylko głową i pośpieszyła do kuchni, tłumacząc się, że musi dopilnować ciasta. Słyszała odgłosy rozmowy, lecz nie była w stanie rozróżnić słów. Nie podobało jej się, że Lockwood wyraźnie o *coś* wypytuje kapitana Gilberta.

Znów rozległ się dzwonek u drzwi, który zasygnalizował wyjście hrabiego. W chwilę później kapitan Gilbert wszedł do kuchni.

- Chciałbym jeszcze raz podziękować pani za pomoc, pani Hobbs. Byłbym rad, mogąc się pani odwdzięczyć.

- Proszę nadal przywozić mi gazety, kapitanie.

Tego wieczoru o wpół do dwunastej Lockwood, kierując się wskazówkami Laytona, bez trudu odnalazł opuszczoną chatę. Czekał w ciemności skryty za potężnym dębem. Kiedy nadjechał Oliver Layton, patrzył, jak agent sprawdza, czy pod cegłą znajduje się wiadomość.

Bezszelestnie podszedł go od tyłu i poklepał po ramieniu. Layton gwałtownie się odwrócił z pistoletem gotowym do strzału.

- Boże! - zawołał. - Mogłem pana zabić, Lockwood!- Nie zdołałby pan tego uczynić z podejrzanym gardłem. Widzę, że życie na wyspie bardzo pana rozleniwilo.

Layton bezradnie rozłożył ręce.

- Dostałem niezłą nauczkę, ale co pan tu robi? Zdołał pan coś odkryć?

- Dopiero zacząłem działać. Porozmawiałem z tym i owym na przyjęciu. Mam parę smacznych kąsków, na razie nic konkretnego, ale spodziewam się, że uda mi się je wykorzystać.

- To wszystko?

- Proszę uważać na to, co pan mówi w obecności komendanta portu. - Gdy zdziwiony Layton posłusznie kiwnął głową, dodał: - Słyszałem, że amerykański prezydent wydał pozwolenie na utworzenie specjalnego oddziału do walki z piratami. Jeśli to prawda, być może będziemy mieli pomoc.

- Będą mieli pełne ręce roboty, chroniąc własne statki. Poza tym minie co najmniej rok, zanim taki oddział przystąpi do działania. Myślę, że nasz rząd też długo będzie się zastanawiał nad tym, jak wykorzystać zdobyte przez nas informacje. A przecież to, co się tu dzieje, wymaga pilnej interwencji.

- Przestałem już się zastanawiać, co naprawdę planuje nasz rząd - powiedział Hunt, nie zdradzając się, że przybył tu nie po informacje, nad którymi ministrowie będą dopiero deliberować, lecz po to, by z rozkazu brytyjskich władz „rozwiązać problem”. - Ma pan może jakieś wiadomości o korupcji albo układach wśród miejscowych władz?

Layton uniósł brwi.

- Jeśli ma pan na myśli komendanta portu, to nic nie wskazuje na to, by był skorumpowany. Uważa pan, że powinienem zbadać tę sprawę?

- Nie w tej chwili - rzekł Hunt, nie chcąc opowiadać o tym, co podejrzewano w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Rozmawiali jeszcze jakiś czas, na koniec Hunt spytał:

- Bywa pan w miejscowej cukierni?

- Tak, nawet dość często.

- Jaki jest pana ulubiony specjał? - Hunt uśmiechnął się znacząco.

- Pani Breton. Wspaniała kobieta z tej Hannah. Jej biodra...

- Umizga się pan do niej?
- Nie! Zwykły robotnik portowy nie miałby u niej szans.
- Przecież nie jest pan robotnikiem portowym.
- Ona o tym nie wie.
- Interesuje mnie właścicielka, pani Hobbs. Wie pan coś o niej?
- Nie. Czy mam...
- Skądże, pytam z czystej ciekawości. - Sam postanowił wyjaśnić tajemnicę tej kobiety. - Miej oko na ten sklep, Layton. Nie chciałbym, żeby piękne panie zostały wciągnięte w jakąś brzydką sprawę.

Godzinę później Hunt przewracał się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Wstał, włożył spodnie, nalał szklaneczkę brandy i stanął na werandzie, z której roztaczał się widok na ocean. Pызaty księżyc oświetlał zatokę, a jego lustrzane odbicie było doskonale widoczne na nieruchomej wodzie.

Popijał brandy, myśląc o swej misji. Nazajutrz zamierzał dokładnie przestudiować mapę St. Claire, by zacząć poszukiwania osławionych piratów, kapitanów Sieyesa i Rodryga, i zorientować się, czy mieszkańcy St. Claire współpracują z morskimi rozbójnikami.

Kiedy wreszcie obmyśli strategię i przystąpi do działania, powinien poczuć się lepiej. Uczynił już pierwszy krok, poznając towarzyską śmietankę San Marco. W kolonialnej placówce przestrzegano protokołu i etykiety, nie było tu jednak salonowych plotek i ludzie często nie zdawali sobie sprawy, że posiadają cenne informacje.

Panującą wokół ciszę przerwał krzyk nocnego ptaka. Hunt stał się czujny. Bezszelstnie zstąpił ze schodów na ścieżkę prowadzącą na plażę. Znieruchomiał z wrażenia, zorientowawszy się, co zaniepokoiło ptaka.

Daphne wsunęła stopę do wody. Niepokoiła ją niezwykła cisza panująca na morzu, zwiastująca potężny sztorm. Poczula na twarzy pierwsze podmuchy wiatru

niosącego deszcz.

Uwielbiała atmosferę swobody panującą na St. Claire i cieszyła się, że jest tu wolna od obowiązków, które pełniła jako lady Elise. Nie musiała bywać w modnych salonach, skrywając sińce pod warstwą pudru. Mogła przez nikogo niezauważona przechadzać się nocami brzegiem oceanu w samej koszulce.

Chociaż zazwyczaj nie miała kłopotów ze snem, tej nocy dręczył ją dziwny niepokój. Nieustannie powracała myślami do pocałunku lorda Lockwooda, ciemnowłosego mężczyzny o niebieskich oczach i zniewalającym uśmiechu, i marzyła o tym, co nie było jej pisane.

Podniosła muszlę, po czym weszła po kolana do wody i wystawiła twarz na podmuchy wiatru. Po pewnym czasie wróciła na plażę, nucąc szantę.

Patrząc na migoczące po drugiej stronie zatoki światła San Marco, uświadomiła sobie, że jej dom znajduje się daleko od miasta. Po przyjeździe na St. Claire chciała za wszelką cenę pozostać w ukryciu, by nikt nie rozpoznał jej i Williama. Potem chorowity syn urósł i stał się silnym chłopcem. Mając na względzie jego bezpieczeństwo, posłała go do szkoły z internatem. Nawet jeśli brat Barretta by ją odszukał, nie znalazłby Williama.

Zadrżała na tę myśl. Chmury zasłoniły księżyc, nadciągała burza. Obejrzawszy się za siebie, z przerażeniem stwierdziła, że bardzo oddaliła się od Szeptu Fal.

- Stęskniła się pani za mną, czy też się pani zgubiła? Odwróciła się przerażona. Oto stał przed nią mężczyzna,

który był przyczyną jej bezsenności. Lord Lockwood. Serce mocno załomotało jej w piersi na widok mocnego nagiego torsu. Pod opaloną skórą rysowały się pięknie rzeźbione mięśnie. Był boso. Przyglądał jej się z rozbawieniem, obracając w palcach białą orchideę.

- Och... co pan tu robi?

- To moje terytorium, pani Hobbs. Wkroczyła pani na cudzy teren, więc pozwoli pani, że to ja zapytam, co pani tu robi.

- To pan jest właścicielem New Albion? - Słyszała, że właściciel sąsiedniej plantacji mieszka za granicą, jednak nie liczyła na to, że kiedykolwiek go spotka. Rzadko widywała się z jego zarządcą Prichardem. A teraz przewrotny los postawił Lockwooda niemal na jej progu. - Dlaczego nie powiedział mi pan o tym, odwożąc mnie do domu?

- Przecież powiedziałem, że jest mi po drodze.

- To nie była pretensja. Przepraszam.

- Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę nimfę wodną. Uśmiechnęła się.

- Przykro mi, że przeżył pan rozczarowanie, lordzie Lockwood.

- Nic podobnego, pani Hobbs. - Podszedł bliżej, przyprawiając Daphne o żywsze bicie serca. - A poza tym jestem Hunt albo Lockwood.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ma na sobie tylko koszulkę! Upuściła muszlę i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Przepraszam, że wtargnęłam na pański teren. Widząc, że Daphne zamierza odejść, chwycił ją za ramię.

- To bardzo miłe wtargnięcie - zapewnił. - Ja też nie mogłem spać. Czy noce na St. Claire zawsze są takie parne?

- N... nie.

- Podobają mi się pani włosy. - Wsunął jej orchideę za ucho.

Znieruchomiała. W innych okolicznościach uznałaby, że jest nazbyt zuchwały, jednak ta upalna noc miała w sobie coś magicznego. W jego oczach dostrzegła podziw zmieszany z pożądaniem. Zaniepokojona zwilżyła wargi.

Delikatnie uniósł jej podbródek i przyciągnął ją do siebie.

Zwarli się w namiętym pocałunku. Miała wrażenie, że kolana odmówią jej posłuszeństwa i osunie się na ziemię.

Błyskawica przecięła niebo, zaczął padać ulewny tropikalny deszcz. Krople ściekały jej po twarzy, wzdłuż szyi, aż na piersi. Hunt pogłębił pocałunek, mocno przyciskając ją do siebie. Pragnęła tego samego co on. Nigdy nie czuła tak wielkiego

pożądania przy Barretcie.

- Och! - wydyszała, przerażona własnymi myślami. - Muszę już iść. Deszcz.

- Udzielę pani schronienia - powiedział aksamitnym głosem. Wiedziała, co może się stać w jego domu. Nie zamierzała pozwolić jakiegokolwiek mężczyźnie decydować o jej życiu. Przywykła już do niezależności, choć nierzadko odczuwała samotność i tęsknotę. W ciągu pięciu lat od śmierci Barretta rzadko nawiedzały ją pokusy, jednak ten mężczyzna budził w niej silne namiętności.

Przesunął dłonią po jej plecach. - To tylko sen... - szepnął. - Kiedy się obudzisz, będzie to nasza tajemnica. Nie chcesz pozwolić sobie na marzenia, Daphne?

Dawno zdążyła porzucić wszelkie marzenia.

- To tylko sen... - powtórzył, muskając ustami jej wargi. - We śnie wszystko jest dozwolone.

Chwyił ją na ręce, zaniósł do domu, zdjął jej koszulkę, położył ją na łóżku, po czym ściągnął spodnie.

Był szczupły, lecz doskonale umięśniony. Prezentował się znacznie atrakcyjniej od jej męża. Ogarnął ją strach. Spotkała tego mężczyznę zaledwie trzy dni temu, a teraz leżała naga w jego łóżku. To było jakieś szaleństwo, a ona pragnęła je przeżyć.

Położył się obok niej. Wystarczył jeden pocałunek, by została wciągnięta w wir pożądania. Gdy zaczął pieścić wargami zagłębienie jej szyi, przywarła do niego z westchnieniem zachwytu.

- Najśłodsza Daphne, jesteś jak afrodyzjak.

Całował jej piersi, wywołując rozkoszne mrowienia. Ogarnięta bezwolnością, pozwoliła mu na najśmielsze pieszczoty... pragnęła ich, domagała się.

Nagle usłyszała ostrzegawczy głos: „Jeśli oddasz się temu mężczyźnie, będziesz zgubiona. Pozna twoje tajemnice i cię zdradzi”.

- Nie - powiedziała szeptem. - Nie mogę tego zrobić. - Wysunęła się z jego



objąć i usiadła.

- Daphne, nie chcę cię skrzywdzić. Jeśli naprawdę nie chcesz... Pragnęła go całym sercem i duszą, jednak nie mogła mu się oddać z powodu wspomnień związanych z Barrettem. Była morderczynią, a w dodatku nie żałowała swego czynu. Nie chciała być oszustką. Nie miała nic do zaoferowania. Uniosła koszulkę z podłogi i wybiegła z sypialni.

## *Rozdział szósty*

Cykanie owadów, skrzek żab, szum fal. Po gwałtownej burzy przyroda wracała do odwiecznego rytmu.

Hunt przewracał się na łóżku. Myślał o niespodziewanym podarunku, który został mu gwałtownie zabrany. Popatrzył na poduszkę, na której jeszcze tak niedawno spoczywała głowa Daphne. Pozostała mu po niej tylko orchidea. Gdyby nie ten biały kwiat, mógłby uznać, że to wszystko mu się przyśniło. Była tu jednak kobieta, cudowna kobieta.

Wstał, włożył spodnie i bosy udał się na plażę. Niebo na wschodzie przybrało jaśniejszą barwę. Zbliżał się świt.

Doszedł do miejsca, w którym się spotkali. Leżała tam jeszcze upuszczona przez nią muszla. Uniósł ją i delikatnie obwiodł palcem. Była gładka i delikatna jak Daphne.

Powrócił do domu i długo stał w drzwiach sypialni, wpatrując się w mokrą plamę na podłodze, ślad po koszulce Daphne. Była tu, naga, drżąca, ze skórą błyszczącą od deszczu. Włosy opadały jej na plecy, za uchem miała orchideę. Wyglądała jak Wenus wylaniająca się z morskiej piany.

Od chwili pierwszego spotkania oboje czuli, ku czemu zmierzają i Daphne wkrótce zrozumie, że nie ma sensu walczyć z przeznaczeniem. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Położył muszlę na biurku i poszedł po butelkę brandy. No ładnie, pomyślał. Zaczynam dzień od picia!

Hunt niespokojnie poruszył się w fotelu na tarasie rezydencji gubernatora. Jego myśli stanowczo zbyt często krążyły wokół orchidei, kobiecego ciała i żaru pożądania. Czyżby Daphne rzuciła na niego jakiś urok?

- Przepraszam - powiedział. - Co pan mówił?

- Że nie powinien pan jechać do Blackpool - odparł z uśmiechem Gavin Doyle. - Gubernator życzyłby sobie, by trzymał się pan tej strony Mount Colombo.

- Był pan tam, Doyle?

- Tylko raz. - Charge d'affaires nalał mocną kawę do filiżanki Hunta. - Nie ma tam po co jechać. Tamtejsi ludzie są niesympatyczni, kobiety nieatrakcyjne, a poza tym niełatwo jest się poruszać w górzystym terenie. Wolałbym wspiąć się na jakąś górę, niż przemierzać te skaliste ścieżki. Domy dosłownie zwisają ze skał. Wystarczy jeden potężny wstrząs, a całe miasto runie do morza. Jednak gubernator martwi się przede wszystkim o pana bezpieczeństwo.

- Czyżby mieszkańcy Blackpool byli aż tak nieprzychylnie nastawieni do gości?

- To tylko plotki. Ilekroć ktoś znika, ludzie mówią, że wybrał się do Blackpool. Nie wiadomo, czy to prawda. Sądzę, że mamy raczej do czynienia ze zwykłymi porwaniami. Na statku musi być załoga. Kiedy jakiś marynarz rezygnuje, potrzebny jest ktoś inny... i w taki sposób go się werbuje.

Hunt zastanawiał się, czy to skądinąd logiczne wyjaśnienie odpowiada prawdzie.- Czym trudnią się mieszkańcy Blackpool?

- Rybołówstwem - powiedział z wyczuwalną pogardą Doyle. - I wyrębem

lasów. Rosną tam mahoniowce. Ścinają je, toczą do zatoki i czekają, aż przyplynie po nie statek. Londyńscy i nowojorscy meblarze gotowi są kupić każdą ilość mahoni, jednak nie widać, by ktokolwiek w Blackpool dorobił się fortuny. Sądzę raczej, że mieszkańcy tego miasta ledwie wiążą koniec z końcem.

- Dlaczego wszyscy traktują Blackpool tak, jakby leżało w obcym kraju?  
- Bo to właściwie prawda. Tamtejsi ludzie mają własne źródła dostaw i nie chcą mieć z nami do czynienia, co akurat bardzo nam odpowiada. To nie jest żadna tajemnica, tylko milczące porozumienie.

- Czy mogą prowadzić jakąś niedozwoloną działalność?  
- Myśli pan, że napadają na statki? - Pokręcił głową. - To mało prawdopodobne. Tam prawie nikt nie dopływa, więc byłoby to nieopłacalne.

Hunt popatrzył na zatokę. W porcie cumowały zaledwie trzy statki. St. Claire była małą, senną wysepką, co nie oznaczało wcale, że pozbawioną tajemnic. Wprost przeciwnie, przypuszczał, że większość mieszkańców przybyła tu, by się ukryć przed światem, zapomnieć o niechlubnej przeszłości lub prowadzić mroczne interesy. Nawet gubernatorowi Bascombe'owi przydzielono placówkę na St. Claire w ramach pokuty za gafę dyplomatyczną popełnioną w innym kraju.

Pijąc kawę, zastanawiał się nad prośbą gubernatora. Jedyne Oliver Layton wiedział, jaki jest prawdziwy powód przybycia Lockwooda na St. Claire. Nie powinien już dłużej wypytywać o zakazaną mięscinę, gdyż mogło to wzbudzić podejrzenia Bascombe'a.- Po tym, co usłyszałem, nie pojedę do Blackpool, ale chciałbym przed powrotem do Londynu odwiedzić parę miejsc na wyspie - powiedział.

- Jak długo zamierza pan u nas zabawić?

Planował spędzić tu najwyżej dwa tygodnie, jednak minęły już cztery dni, a jeszcze nie wiedział, gdzie znajduje się siedlisko piratów i kto dostarcza im informacji o ruchach statków. Poza tym istniał inny powód, dla którego pragnął zatrzymać się tu na dłużej.

- Nie wiem, dwa tygodnie, może miesiąc. Doyle zmrużył oczy.

- To chyba dłużej niż pan planował? Hunt się roześmiał.
- Czy to gubernator prosił pana o zadanie mi tego pytania? - Nie lubił być przypierany do muru, zwłaszcza przez przedstawicieli władzy.

Doyle uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Przejrzał pan moje zamiary. Powinienem być subtelniejszy. Mógł pan odnieść wrażenie, że nie jest tu mile widziany. Przepraszam pana i zapewniam, że dopóki jestem na wyspie, a niedługo wyjeżdżam, chętnie panu we wszystkim pomogę.

Z wyjątkiem podróży do Blackpool, pomyślał Hunt. Należało koniecznie zmienić temat.

- Przydzielono panu inne zadanie?

- Zostałem odwołany do Londynu. Przybyłem na St. Claire tylko dlatego, że Bascombe często jeździł do domu, by opiekować się chorą matką. Ponieważ jednak pani Bascombe niedawno zmarła, nie jestem już tu potrzebny.

Gubernator często opuszczał wyspę i nie życzył sobie wizyty Hunta w Blackpool... Czy był to zwykły zbieg okoliczności?- To smutna wiadomość. Przy najbliższej okazji złożę gubernatorowi kondolencje. A teraz proszę opowiedzieć mi o pani Hobbs.

- Jak już mówiłem na przyjęciu, niewiele o niej wiem. Przyjechała tu przede mną. Jest cicha, spokojna, nie udzielała się towarzysko do czasu ostatniego przyjęcia. Przyznam, że byłem zdumiony, gdy ujrzałem ją w gronie gości. Nie liczy się w towarzystwie, chociaż konsekwencja, z jaką prowadzi interesy, może budzić uznanie. Ma nienaganne maniery, ale podobno jest bardzo nieśmiała. Rzadko z nią rozmawiam. Sprawia wrażenie nieprzystępnej, muszę jednak przyznać, że na przyjęciu prezentowała się wyjątkowo korzystnie, o wiele lepiej niż zwykle. Być może to kwestia oświecenia.

Czyżby Doyle był ślepy?

- Czy wie pan coś o jej pochodzeniu?

- Przykro mi, ale nie. Jeśli pan sobie tego życzy, bez trudu się dowiem.

Hunt poczuł ogarniającą go wściekłość. Nie miał ochoty, by szarmancki charge d'affaires kręcił się w pobliżu Daphne Hobbs.

- Proszę się tym nie kłopotać. Pytałem ze zwykłej ciekawości. Doyle uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Z czystej ciekawości? Coś mi mówi, że na St. Claire interesuje pana nie tylko pańska plantacja.

Nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Gdyby potwierdził przypuszczenia Doyle'a, charge d'affaires z pewnością baczniej przyjrzałby się Daphne. Gdyby zaprzeczył, Doyle zainteresowałby się poczynaniami Lockwooda.

- Naprawdę pytałem z czystej ciekawości. Nie ma o czym mówić, Doyle.

- Może mógłbym okazać się pomocny? Słyszałem, że pani Hobbs została zaproszona na piknik u Grahamów. Odbędzie się dziś wieczorem. Będę tam, gdyż gubernator jest niedysponowany. Z pewnością nadarzy się okazja do rozmowy z panią Hobbs i do skosztowania jej wyrobów. - Doyle w zamyśleniu postukał się palcem w policzek.

Hunt zacisnął szczęki, by nie powiedzieć czegoś niestosownego. Jeśli Doyle będzie się narzucał pani Hobbs, szczerze tego pożałuje. Zamierzał odmówić panu Grahamowi, jednak teraz zmienił zdanie.

- Dziękuję za kawę, Doyle. Proszę przekazać moje ukłony gubernatorowi i zapewnić go, że wziąłem sobie do serca jego ostrzeżenie.

- Widzę, że ostatnio tylko zabawy ci w głowie - zażartowała Hannah.

Daphne otrzymała zaproszenie od państwa Grahamów na wieczorek muzyczny połączony z piknikiem. Grahamowie byli jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin na St. Claire. Zastanawiała się, czy Lockwood również tam się zjawi. Zamierzała odpisać, że niestety nie będzie mogła uczestniczyć w przyjęciu.

- No nie. - Hannah domyśliła się zamiarów przyjaciółki. - Daphne, musisz

przyjąć to zaproszenie. Na pewno będziesz

się dobrze bawić. Masz ładną suknię, a poza tym...

- Naprawdę nie chcę tam iść.

- Tylko tak mówisz, ale myślisz co innego. Po przyjęciu u gubernatora byłaś taka radosna! Jesteś za młoda, by rezygnować z uroków życia.

- To nie ma przyszłości...

- Przestań! Kto mówi, że od razu musisz planować sobie przyszłość? Naucz się cieszyć chwilą. Daphne przypomniała sobie słowa Lockwooda o marzeniach. Sceny z ostatniego spotkania wciąż żywo stały jej w pamięci.

Tak, pozwoliła sobie na marzenia. Po raz pierwszy w życiu posłuchała głosu swego serca, uwierzyła, że bliski związek z mężczyzną może przynieść nie tylko upokorzenie i ból.

Hannah uścisnęła jej dłonie.

- Nie zastanawiaj się nad przyszłością, Daphne. Korzystaj z darów losu.

Martwienie się o przyszłość zostaw dziewczynom i królom. Ty po prostu masz prawo do szczęścia, choćby ulotnego. - Powiesiła fartuch na kołku i ruszyła do drzwi. - Idę na górę wyprasować ci suknię, a ty zamknij sklep.

Daphne postanowiła przyjąć zaproszenie. Później będzie musiała znaleźć jakiś sposób na wymazanie lorda Lockwooda z pamięci.

Zamierzała jeszcze zrobić porządek na półkach, a potem szybko przebrać się na przyjęcie. Czasu miała niewiele, wzięła się więc energicznie do pracy, gdy usłyszała dzwonek. To zapewne ostatni klient, pomyślała.

Do sklepu wszedł pan Lowe, jedyny klient z Blackpool, który zawsze przychodził do cukierni kilka dni po tym, jak do jego miasta zawijał statek z towarami. Powiedział jej kiedyś, że w Blackpool nie ma żadnej cukierni i jej wyroby uchodzą tam za rarytas. Był dobrym klientem i zawsze płacił gotówką, jednak przyglądał się Daphne w taki sposób, że czuła się nieswojo w jego obecności.

- Dobry wieczór, panie Lowe. Czym mogę służyć?

- To zależy od tego, co pani oferuje, pani Hobbs. - Uśmiechnął się, ukazując szczerbate zęby.

- To, co jest na półkach. Zamykam już sklep, więc obniżę panu cenę o połowę.

- O! W takim razie wezmę wszystko.- Wszystko? - Popatrzyła na bochenki chleba oraz tartę i herbatniki w przeszklonej szafce. - Naprawdę?

- Mam nadzieję, że te smakołyki zachowają świeżość przez kilka dni.

- Herbatniki z pewnością tak. Chleb najwyżej trochę szczerstwieje. Będzie pan jednak musiał tartę przechowywać w chłodniejszym miejscu i osłaniać ją przed owadami.

- Zawsze to robię, pani Hobbs.

Daphne nie zamierzała dłużej się zastanawiać nad decyzją pana Lowe'a, tylko zaczęła pakować sprawunki w papier.

- Zamierza pan zjeść to wszystko sam?

- Oczywiście, że nie. - Roześmiał się. - Dla mnie chleb i herbatniki, a ciastka są dla bossa. Uwielbia też herbatniki.

Boss? Dziwnie nazwał swego chlebodawcę, ale pan Lowe w ogóle był osobliwym człowiekiem. Trochę go się bała, pewnie dlatego, że pochodził z osławionego Blackpool.

- Co lubi najbardziej?

- Herbatniki cytrynowe i imbirowe. Mówi, że mógłby zajadać się nimi bez końca.

- W takim razie cieszę się, że zostało ich jeszcze sporo.

- Boss lubi też bezy. Może wstąpię po nie jutro. Zamierzam się tu zatrzymać na noc.

- Dobrze jest sprawić przyjemność bossowi.

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem, po czym roześmiał się głośno.

- Owszem.

Hunt zauważył rumieniec na twarzy Daphne, gdy uniósł jej dłoń do warg przy powitaniu na pikniku u Grahamów. Najwyraźniej wspomnienia minionej nocy nie dawały jej spokoju i bała się, że nawiąże do nich w rozmowie. Oczywiście nie zamierzał tego czynić, niemniej jednak marzył o kolejnym spotkaniu.

- Nie spodziewałam się, że tak szybko znów pana ujrzę, lordzie Lockwood - powiedziała niepewnie. Jej ręce tak bardzo drżały, że niemal wylała wino z kieliszka.

- W takim razie dopisało mi szczęście, pani Hobbs - kontynuował wymianę uprzejmości. Nie chcąc dawać pożywki plotkarzom, uwolnił dłoń Daphne i zwrócił się do gospodyni wieczoru, pulchnej, siwiejącej pani Graham. - Dziękuję za zaproszenie na tak wspaniałe przyjęcie.

- Cała przyjemność po naszej stronie, lordzie Lockwood. Jest pan teraz naszym krajanem.

Uśmiechnął się.

- Rozumiem już, dlaczego tak wielu zdecydowało się zamieszkać na St. Claire. To piękna wyspa.

Słuchająca ich rozmowy, Daphne zasłoniła twarz wachlarzem, by ukryć rozbawienie.

- Tak pan uważa? Bardzo mnie to cieszy - powiedziała pani Graham. - Mam nadzieję, że zostanie pan z nami dłużej. Rzadko mamy okazję witać tak czarującego gościa.

Owszem, mężczyźni jego pokroju umieli korzystać z wrodzonego wdzięku i obycia w świecie, by przykryć wady i nieczne zamiary.

- Pochlebia mi pani, pani Graham, ale wiem, że to nieprawda. Moja siostra często mi o tym przypomina.

Pani Graham się roześmiała. Hunt pomyślał o Daphne. Był ciekaw, czy ma rodzeństwo i czy żyją jeszcze jej rodzice. Czy on i Daphne mieli z sobą coś wspólnego? To dziwne, że stali się sobie tak bliscy, a wciąż niewiele o niej wiedział. Jak najszybciej musiał zmienić ten stan rzeczy.



- Może pan sobie mówić, co chce, lordzie Lockwood, a my i tak jesteśmy niezmiernie radzi, że jest pan z nami - ciągnęła pani Graham. - Muzycy są już na tarasie. Zapraszam na trawnik. Proszę się pośpieszyć, jeśli chce pan usiąść na krześle, gdyż inaczej pozostanie panu koc. Och! Mój mąż daje znak, bym podeszła. - Popatrzyła na Daphne. - Przykro mi, że muszę państwa opuścić, ledwie zdążyliśmy się poznać. Zapewne czują się państwo trochę nieswojo w naszym skromnym domu. Kolacja zostanie podana po koncercie.

- Dziękuję, pani Graham - powiedział Hunt. - Damy sobie z panią Hobbs radę. Z przyjemnością porozmawiam z panią później.

Zadowolony, że zostali sami, podał ramię Daphne.

- Przekąski są na stołach w pawilonie - powiedziała. Uniósł kieliszek z tacy wniesionej przez lokaja.

- Wystarczy mi wino. Nie mam ochoty na jedzenie... tylko na coś zupełnie innego.

Zaprowadził ją na niewielki pagórek, z którego roztaczał się widok na ocean. Był na siebie zły za niemądry żart. Daphne Hobbs była zbyt delikatna i zbyt bezbronna, by dręczyć ją salonowymi grami. Wyraźnie nie gustowała w pełnej podtekstów szermierce słownej, którą tak upodobała sobie śmietanka towarzyska Londynu. Przysiedli na ławeczce.

- Chciałem dziś wstąpić do cukierni, ale nie dałem rady. Pozostała mi nadzieja, że panią tu spotkam.

Patrzyła na ocean i na chmury na horyzoncie.

- Lordzie Lockwood, wczorajszej nocy miałam sen. Śniłam o cudownych chwilach, mimo to najchętniej wymazałabym ten sen z pamięci.

Spodziewał się, że będzie zakłopotana. Pragnął ją pocieszyć, nie mógł jednak obiecać, że taka chwila nigdy już się nie powtórzy. - Jeśli obawia się pani, że komuś o tym opowiem albo że zamierzam sięgnąć po coś, czego nie chciałaby mi pani ofiarować, jest pani w błędzie. Nigdy nie zawiodę pani zaufania.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie sądziłam, by mogło być inaczej, Lockwood, jednak nie to miałam na myśli.

- Proszę więc mnie oświecić.

- Nie potrafię wyjaśnić swego zachowania. Poprzednia noc była... absolutnie wyjątkowa. Nigdy nie doświadczyłam czegoś równie wspaniałego. Zdałam sobie jednak sprawę, że jesteśmy sobie obcy.

- Po tym, co zdarzyło się w nocy?

- Chwile uniesień mamy już za sobą. Nic więcej nie może się wydarzyć.

Powiedziała to szczerze, nie próbując go wciągnąć w grę i nie życząc sobie sprzeciwu.

- Dobrze. Nic więcej... ale i nie mniej.

Nie odpowiedziała od razu. Gładziła spódnicę, chcąc zyskać na czasie.

- Mówi pan do mnie tonem człowieka przyzwyczajonego do sięgania po upragnioną zdobycz. Co upoważnia pana do takiej postawy, tytuł czy pewność siebie?

Teraz i on miał kłopot z odpowiedzią.

- Cztery lata temu zostałem szóstym hrabią Lockwood. Mój ojciec późno się ożenił i gdy osiągnąłem pełnoletność, był już sędziwym człowiekiem. Przed jego śmiercią zdążyłem objechać wszystkie rodzinne posiadłości. To była prawdziwa podróż dookoła świata. Jednym słowem, Daphne, trudno jest mnie czymś zaskoczyć lub zaszokować. Jestem człowiekiem doświadczonym przez życie i wiem, że nic nie jest jednoznacznie czarne albo białe, dobre lub złe. Wiem, co jest możliwe, a czego nie da się osiągnąć.

- Próbuje mnie pan pocieszyć, mówiąc, że nie jestem w stanie pana zaskoczyć ani zaszokować?

- Właśnie.

- Pięknie dziękuję.

Chciał oszczędzić jej bólu, jednak w obecności Daphne nie w pełni panował nad słowami. Za dwa tygodnie będą musieli się rozstać, lecz przedtem...

- Proszę mi opowiedzieć o Daphne Hobbs.

Milczała tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy usłyszała pytanie.

- Mam starszego brata - odezwała się w końcu. - Matka zmarła przy moich narodzinach. Mój ojciec nie dbał o mnie. Otrzymałam po nim w spadku koszyczek z przyborami do szycia mojej matki i robótkę, którą ozdabiała haftem, gdy nosiła mnie w swym łonie.

- Nie dostała pani żadnych błyskotek? - spytał z niedowierzaniem.

- Klejnoty matki dostał w spadku mój brat, by mógł je ofiarować swej przyszłej żonie. - Wzruszyła ramionami, wypiła łyk wina. - Nie żywię do nikogo urazy. Cieszę się, że mam coś, co matka pragnęła mi ofiarować. To jest dla mnie cenniejsze niż złoto.

- Nie dostała pani nic od ojca? Co pani o nim myśli?

- W ogóle się nad tym nie zastanawiam. Po jego śmierci okazało się, że nie ujął mnie w testamencie, ale wcześniej, mimo że nie byłam jeszcze mężatką, spełnił swój obowiązek, dając mi posag.

- A teraz pani ojciec i mąż nie żyją. Wiem, że musiało być pani ciężko.

Dobrze, że ma pani brata i syna. Znów uniosła kieliszek.

- Wspomniał pan, że ma trzech braci i siostrę. Współczuję jej, jeśli pozostali bracia są tacy jak pan.

Roześmiał się.

- Sarah potrafi przywołać nas do porządku. To silna kobieta.

- Widzę, że ją pan podziwia. Słyszę to w pana głosie. Mówił pan, że jest zamężna.

- Jest szczęśliwą żoną i ma troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę. Czy pani brat ma dzieci? Pomaga pani w wychowaniu syna?

- Straciłam z nim kontakt. Nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Ojciec często

zabierał go na polowania i przejażdżki konne, razem pili i grali w karty. Myślę, że byli dobrymi przyjaciółmi. W ich świecie nie było miejsca dla delikatnej dziewczynki.

- Wychowywała się pani sama?

- Miałam nauczyciela, tego samego co brat, ale przez większość czasu wałęsałam się po okolicy w Devon albo przesiadywałam na krześle w kuchni. Uwielbiałam plotki służby, smakowite zapachy, panujące tam ciepło. Kucharka dawała mi słodycze i pieszczotliwie mierzwiła włosy. To ona nauczyła mnie wypiekać chleb i ciastka. Bardzo ją kochałam. Mój brat zwolnił ją ze służby po swym ślubie i nigdy więcej jej nie widziałam.

Hunt gniewnie zacisnął szczęki. Znał wiele rodzin, w których ceniono jedynie synów, a córki uważano za utrapienie.

Nie zdziwił się, słysząc, że rodzinę Daphne stać było na utrzymanie służby. Miała maniery osoby szlachetnie urodzonej.

- Dlaczego brat nie zaopiekował się panią po śmierci pani męża?

Musiał długo czekać na odpowiedź. Miał wrażenie, że Daphne zastanawia się nad tym, ile może mu wyjawiać.- Proszę nie oceniać go surowo, Lockwood. To był mój wybór. Nie chciałam być zdana na łaskę brata. Nigdy nie żałowałam tej decyzji.

Mimo wszystko nie rozumiał, jak brat mógł pozostawić bez opieki owdowiałą siostrę i siostrzeńca. Odstawił kieliszek i ujął dłoń Daphne. Gdy drgnęła, zrozumiał, że nie jest przyzwyczajona do czułych gestów.

- Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, Daphne, wiedz, że zrobię dla ciebie wszystko, oczywiście zupełnie bezinteresownie.

Popatrzyła na niego oczami błyszczącymi od łez.

- Jestem zdumiona pańską dobrocią. Tak krótko się przecież znamy. Jest pan niezwykle człowiekiem, Lockwood.

Pomyślał, że nie wypowiedziałaby tych słów, gdyby wiedziała, kim naprawdę jest.

- Myślę, że zdążyłem już panią poznać. Zaśmiała się gorzko.
- To dziwne, bo okazało się, że ja sama nie znam kobiety, która we mnie mieszka. Jestem zaskoczona swoim zachowaniem w ostatnim czasie.

Zaklął w duchu, gdy pan Graham zażyczył sobie rozmowy na temat tenisa. Wstał.

- Daphne, proszę, nie wychodź z przyjęcia, zanim nie wrócimy do naszej rozmowy. A co do tej kobiety, to bardzo ją lubię, niezależnie od tego, kim jest.

## *Rozdział siódmy*

Daphne patrzyła na chmury, które przybierały fioletową barwę, i zastanawiała się, co ma zrobić, by nie wpaść w poważne tarapaty.

Wcześniej nigdy nie ogarniały jej podobne wątpliwości. Nigdy nie żałowała swych decyzji. Teraz jednak czuła się bezradna z powodu lorda Lockwooda. Wiedziała, że nie ma mu nic do zaoferowania. Dobrze choć, że zgadzali się co do tego, że nic więcej nie może się już między nimi wydarzyć. Pamiętała jednak jego słowa: „i nie mniej”.

Na tę myśl zrobiło jej się gorąco. Zmusiwszy się do opanowania, ruszyła w stronę domu.

Goście zajmowali miejsca naprzeciw tarasu, na którym pojawił się strojący instrumenty kwartet smyczkowy. Spóźnialscy siadali na kocach. Małe dziewczynki tańczyły w kółku, trzymając się za ręce, a chłopcy bawili się w Indian. Szybko zapadał zmierzch, rozświetlany przez wiszące na drzewach kolorowe lampiony.

Daphne podeszła do gwarzącej i popijającej wino grupki. Znała większość osób z cukierni, ponieważ jednak dotąd nie bywała na przyjęciach, wiedziała tylko,

kto lubi chleb żytni, a kto razowy, kto tartę, a kto bezy. Teraz wszyscy uśmiechali się do niej i kiwali głowami na powitanie.

Stała w cieniu drzewa. Zamierzała opuścić przyjęcie zaraz po wysłuchaniu koncertu. Gdyby została na kolacji, musiałaby prowadzić uprzejme rozmowy o niczym, co nigdy nie było jej mocną stroną.

Zobaczyła zmierzającego w jej stronę charge d'affaires. Starannie unikając przedstawicieli władz, zamieniła z nim jak dotąd zaledwie kilka zdań w cukierni.

Uśmiechnęła się i zwróciła twarzą do tarasu w nadziei, że Doyle ją minie.

- O, pani Hobbs - powiedział teatralnym szeptem. - Cieszę się, że postanowiła pani poznać towarzyskie życie St. Claire. Myślałem, że nie gustuje pani w przyjęciach.

- Nic podobnego - odpowiedziała cicho. - Po prostu mieszkam daleko od miasta i nie zawsze mam czas na jazdę tam i z powrotem.

- A jednak zaszczycała pani swą obecnością przyjęcie u gubernatora, a teraz widzę panią tutaj. Czyżby oznaczało to zmianę dotychczasowej polityki stosowania uników?

- Akurat miałam trochę wolnego czasu, panie Doyle. Mimo to będę musiała niedługo wyjść.

- A ja właśnie miałem zamiar zaprosić panią do mojego stolika.

Węszyła w tym jakiś podstęp. Potoczyła wzrokiem po zgromadzonych, mając nadzieję, że wypatrzy Lockwooda, jednak nie było go w pobliżu.

- Z przykrością muszę panu odmówić, niemniej jednak bardzo dziękuję za zaproszenie.

- Nie ma za co, pani Hobbs. Będą kolejne okazje, zwłaszcza że zaczęła pani zabiegać o względy polityków. Stała się czujna.

- O względy polityków? Nie wiem, co pan ma na myśli.

- Słyszałem, że udało się pani zdobyć zezwolenie na przewóz dokumentów urzędowych dla swego przyjaciela, kapitana Gilberta.

- Ach tak, ale to sprawa czysto osobista.
- Osobista? Aha.
- Obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. Jako właścicielka cukierni kupuję od kapitana Gilberta różne produkty. Gdyby wycofał się z żeglugi, ucierpiałabym na tym i ja, i wiele innych osób.

Doyle pokiwał głową.

- Pani Hobbs, doskonale to rozumiem, odnoszę jednak wrażenie, że nie zna pani wymogów protokołu - powiedział protekcyjnym tonem.

No tak, czuł się urażony, że nie zwróciła się z tą sprawą do niego. Zapewne w czasie urzędowania gubernatora w San Marco miał niewiele obowiązków, a ona pozbawiła go przyjemności popisania się władzą.

- Przepraszam, panie Doyle. Wybaczy mi pan to uchybienie wymogom etykiety?

- Nie powinienem być taki surowy w swych osądach. To ja panią przepraszam. Chciałem jedynie dotrzymać pani towarzystwa, skoro jest tu pani sama.

- Jako wdowa zdażyłam przywyknąć do samotności.

- Oczywiście... Od jak dawna jest pani wdową?

Zawahała się. Nie chciała udzielać odpowiedzi na to pytanie, jednak nie zamierzała dać Doyle'owi powodu, by zaczął grzebać w jej przeszłości.

- Od pięciu lat.

- Czy mąż zmarł nagle? Zamrugła, uznając to pytanie co najmniej za dziwne.

- Nie. Długo chorował.

- A skąd pani pochodzi?

Do tej pory nie udzielała się towarzysko właśnie po to, by uniknąć podobnych pytań. Nie powinna była tu dziś przychodzić. Zmusiła się do uśmiechu.

- Z Ashford w Kent. A pan? Omal się nie Zakrztusił.

- Znow muszę panią przeprosić. Nie chciałem być wścibski, zamierzałem jedynie lepiej panią poznać. Tak rzadko się spotykamy...

Wypatrzyła wreszcie Lockwooda. Miała teraz wybór między młotem a kowadłem, nie wahała się jednak ani chwili.

- Och! Lord Lockwood! - Miała nadzieję, że okaże się domyślny. Ignorując rozczarowanie malujące się na twarzy Doyle'a, powiedziała: - Dziękuję panu za interesującą rozmowę. - Podeszła do Hunta i ujęła go za ramię. - Pan Doyle był uprzejmy dotrzymać mi towarzystwa do pańskiego powrotu. Chodźmy.

Bez słowa skinął głową.

Podśluchane strzępki rozmowy utwierdziły Hunta w przekonaniu, że Daphne Hobbs ukrywa się na St. Claire. Powiedziała mu, że pochodzi z Devon, a Doyle'owi, że z Kent. Która z tych wersji, o ile nie obie, była fałszywa?

Czuł, jak drżała.

- Daphne, czy Doyle...

- Nie! Nic podobnego. Pan Doyle bywa w cukierni i czasem zamieniamy parę słów, jednak tym razem rozmowa nam się nie kleiła. To moja wina. Nie potrafię prowadzić lekkiej towarzyskiej konwersacji.

- Nie zauważyłem tego.- Nie lubię o sobie mówić. Wolę już podpierać ściany na przyjęciach.

Popatrzył na Daphne. Jej włosy lśniły w świetle lampionów, brzoskwiniowa elegancka suknia o prostym kroju doskonale podkreślała wspaniałą figurę.

- Chciałabym już pojechać do domu - powiedziała cicho. - Nie powinnam była tu przychodzić.

Nie był zaskoczony jej decyzją. Wydawała mu się dziwnie spięta, z wyjątkiem chwili, kiedy byli sami.

- Będę pani towarzyszył. Musimy tylko jeszcze pożegnać się z gospodarzami.

- Przecież nic mi nie grozi. Pojadę sama. Nie powinniśmy razem wychodzić z przyjęcia. Ludzie zaczną plotkować. To ulubiona rozrywka mieszkańców St. Claire.

Odetchnął z ulgą. Chciał towarzyszyć Daphne, jednak wolał jeszcze zostać.



Zgromadziło się tu wielu kupców i handlarzy, którzy mogli przekazać mu interesujące wiadomości.

Daphne musiała wyczuć wahanie, gdyż puściła jego ramię i dygnęła.

- Dziękuję panu za uwolnienie mnie od towarzystwa Doyle'a. Pójdę pożegnać się z panią Graham. - Weszła na wyłożoną kamykami ścieżkę prowadzącą do domu.

Odprowadzał ją wzrokiem. Tak bardzo chciałby ją zatrzymać. Nagle usłyszał cichy świst koło ucha, a zaraz potem Daphne upadła na ziemię. Przez chwilę myślał, że się potknęła, zaniepokoiło go jednak to, że nie próbuje wstać. Natychmiast znalazł się przy niej i obrócił ją twarzą ku sobie.

Krew ściekała z czerwonej rany tuż koło skroni. Skóra była porozrywana jak od uderzenia. Zasłonił Daphne sobą i rozejrzał się dookoła, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność. Zdołał jedynie wypatrzeć mały okrągły kamyk leżący na innych kamieniach na ścieżce, który nie pasował do pozostałych.

Goście kończyli bić brawa, a kwartet smyczkowy zaczął kolejny utwór. Hunt zamierzał posłać po doktora, lecz nagle Daphne jęknęła i poruszyła się.

- C...Co...

- Cii... - szepnął, zastanawiając się, czy jego instynktowna decyzja, by utrzymać to zdarzenie w tajemnicy, ma sens. Tak, miała, bo ileż to razy właśnie dzięki instynktowi wyszedł cało z różnych opresji.

- Powiem pani Graham, że to był wypadek. - A n...nie był?

Ktoś ugodził ją kamieniem. Wciąż miał w uszach ten dziwny świst. Gdyby była to sprawka jednego z chłopców bawiących się procą, dzieciak z pewnością już by się przyznał. Nie należało wypytywać Daphne o ewentualnych wrogów. W każdym razie nie teraz.

- Porozmawiamy o tym później.

Nim Daphne zdołała się zorientować, co się stało, Lockwood pomógł jej wsiąść do giga i szybko ruszył w stronę Szeptu Fal. Koń Lockwooda galopował za

nimi. Daphne mgliscie przypominała sobie, jak Hunt zapewniał panią Graham, że wszystko jest w porządku i że to tylko jeden z chłopców bawiących się w lesie przez pomyłkę wycelował procę w stronę pani Hobbs. Prosił, by pani Graham nie robiła zamieszania z tego powodu. Obiecał, że odwiezie panią Hobbs do domu. W końcu dał pani Graham swą chustkę, prosząc, by zamoczyła ją w wodzie, i otarł krew z twarzy Daphne.

Czuła mdłości i bolała ją głowa. Na skroni formował się guz. Gdyby kamień trafił odrobinę niżej, najprawdopodobniej już by nie żyła. Znow stała się dłużniczką lorda Lockwooda. Upierała się, że pojedzie do domu sama, lecz kiedy przestał ją podtrzymywać, zachwiała się i omal nie upadła.

Wiedziała, że chciał zostać na przyjęciu, przez co czuła się jeszcze bardziej winna. Zbywał milczeniem jej zagadywania, skupiając uwagę na drodze. Co chwila oglądał się przez ramię i przepatrywał lasy mangrowe, jakby spodziewał się ujrzeć dzikie bestie.

- Jak się pani czuje? - zapytał. - Jest pani niedobrze? Myślę, że doznała pani wstrząśnienia mózgu.

- Przykro mi, że sprawiam panu kłopot, Lockwood. - Zobaczyła bramę Szeptu Fal. - Dalej pojedę sama. I tak już nadużyłam pańskiej uprzejmości. - Prawdę mówiąc, nie lubiła być dłużniczką mężczyzn i nigdy dotąd nie zapraszała ich do domu. Zastanawiała się, czy w pokojach nie ma jakichś rzeczy, które mogłyby ją zdradzić. Głowa bolała ją jednak tak mocno, że nie była w stanie się skupić.

- Nie ma mowy, żebym zostawił panią w tym stanie. Wcale nie czuję się wykorzystany.

Czyżby było to tylko kurtuazyjne kłamstwo? Milczała, gdy przejeżdżali przez bramę i mijali chatę Olivii. Tym razem Lockwood podjechał pod sam dom.

Spróbowała wstać, lecz natychmiast opadła na siedzenie, czując zawroty głowy.

Lockwood zaniósł ją z giga do domu i kopnął w drzwi.

- Nie mam ochmistrza ani sługi, Lockwood. Otworzył drzwi, wciąż trzymając

Daphne w ramionach.

- Gdzie jest pani sypialnia?

- Na prawo. - Poczula nową falę mdłości. Marzyła tylko o tym, by się położyć.

Zaskakująco pewnie poruszał się w ciemności. Bez trudu trafił do jej pokoju i ostrożnie położył ją na łóżku. - Odwróć się, by mogła się pani przebrać. - Zapalił świecę na stoliku.

- Nie! Jestem zbyt zmęczona. Proszę tylko pomóc mi zdjąć pantofelki.

Usiadł obok niej na łóżku i spełnił prośbę, po czym z uśmiechem wygładził spódnicę sukni.

- Nie grozi pani nic z mojej strony. Nie zamierzam wykorzystywać sytuacji. Proszę to puścić.

Nie wiedziała, o co mu chodzi, dopóki nie wyciągnął chustki z jej dłoni. Potem podszedł do taboretu z dzbankiem i miską, zmoczył chustkę i wrócił.

- Lockwood, czuję się znacznie lepiej. Może już pan iść.

- Przykro mi, ale to nie wchodzi w rachubę. Będę panią budził w nocy. Po takich urazach można zapaść w śpiączkę.

Brzmiało to przekonująco. Próbowwała nie krzywić się z bólu, gdy przemywał jej ranę.

- Widzę, że jest pani do tego przyzwyczajona.

- Przyzwyczajona?

- To nie jest pani pierwszy uraz. Ma pani bliznę tuż nad skronią.

Serce zamarło jej w piersi, a przed oczami stanęły sceny z owej nocy, gdy pchnięta przez Barretta rozbiła głowę, chwyciła pogrzebacz... Zebrało jej się na wymioty.

- Proszę głęboko oddychać, to minie.

Po chwili mdłości ustąpiły. Lockwood podłożył Daphne poduszkę pod plecy. Zamknęła oczy, chcąc powstrzymać go od zadawania jakichkolwiek pytań.

Hunt popatrzył na śpiącą Daphne, po czym wrócił do salonu i nalał sobie kieliszek sherry z karafki stojącej na szafce. Usiadł na kanapie, jedynym meblu, który, jak mu się zdawało, był na tyle solidny, by wytrzymać jego ciężar. Zamierzał wyprząć konia z giga Daphne i wprowadzić wierzchowce do stajni.

Zamyślił się głęboko. Z pewnością był to strzał z procy, nie wierzył jednak, by mógł to zrobić nieostrożny chłopiec bawiący się w Indian. Wygląda na to, że Daphne stała się ofiarą zamachu, w którym to on miał zginąć. Ktoś musiał wiedzieć lub domyślać się powodu jego przyjazdu na St. Claire i chciał go powstrzymać albo ostrzec.

Znaczyłoby to, że został zdemaskowany. Kto jednak znał prawdę o jego misji na St. Claire? Tylko on i Layton. Eastman z pewnością nie wtajemniczył Bascombe'a... chyba że zamierzał osiągnąć swój cel kosztem Hunta.

- Sukinsyn... - powiedział ze złością. Eastman wykorzystał go jako przynętę. W najlepszym razie Hunt odkryje źródło przecieku i je wyeliminuje. W najgorszym zostanie zabity, a Eastman uzyska informacje od swego agenta, Laytona lub Bascombe'a.

Która z tych możliwości była bardziej prawdopodobna?

- Jezus Maria!

Hunt zerwał się na nogi. W progu, z rękami na biodrach, stała kobieta o oliwkowej cerze. Podejrzliwie mrużyła oczy, wyraz jej twarzy, delikatnie mówiąc, nie był zbyt przyjazny.

- Gdzie jest pani Hobbs? - zapytała.

- Kim pani jest?

Bez słowa popędziła do pokoju Daphne. W chwilę później wróciła, niczym wściekła furia, dzierżąc w dłoni pogrzebacz.

- Co pan jej zrobił?

- Nic - odparł spokojnie. - Pani Hobbs była na pikniku u państwa Graham i

została tam przypadkowo trafiona kamieniem wystrzelonym z procy.

- Pan kłamie. Pani Hobbs nie chadza na pikniki.- Tak czy owak, przywiozłem panią Hobbs do domu i postanowiłem nie zostawiać jej samej.

- Przecież ja tu jestem - powiedziała z urazą.

- Kim pani jest?

- Olivia Herrera, gospodyni. - Postąpiła parę kroków w stronę Hunta, wciąż trzymając w ręku pogrzebacz. - A pan?

Domyślił się, że ma przed sobą kobietę mieszkającą w chacie przy bramie.

- Reginald Hunter, lord Lockwood. Jestem właścicielem sąsiedniej posiadłości, New Albion.

- New Albion?

- Tak. Zaraz zaprowadzę konie do stajni, a potem spędzę noc na kanapie. Może pani wrócić do swego domu i położyć się spać. Pani Hobbs będzie rano potrzebować pomocy.

- To chyba pan powinien iść do domu, a ja tu zostanę,

- Zostaję, a pani może zostać albo pójść do domu.

Została. Wróciwszy ze stajni, zobaczył dzbanek mocnej kawy na szafce. Potem, gdy przysiadł na brzegu łóżka Daphne, by ją obudzić, widział, jak pani Herrera obserwuje go, stojąc w drzwiach małej sypialni przylegającej do pokoju Daphne. Po chwili skinęła głową i zamknęła drzwi, najwyraźniej uznawszy, że może mu zaufać.

Mylili się. Tylekroć nadużywał ludzkiego zaufania i zabił tak wielu w imię racji stanu, że czuł się jak wilk, któremu kazano pilnować jagnięcia. Gdyby Daphne była zdrowa, z pewnością by ją uwiódł. Już od dawna miał to w planie.

## Rozdział ósmy

- Nie podoba mi się ten pani nowy mężczyzna, *querida*. Daphne czuła silny ból głowy. Nieznacznie uniosła się na poduszce.

- Jaki nowy mężczyzna, Olivio? Nie... - Urwała. Gospodyni musiała mieć na myśli lorda Lockwooda. Daphne mgliście przypominała sobie, jak budził ją w nocy, pytając o jej i jego imię. Chciał tylko się upewnić, że jest przytomna, pamiętała jednak, że te pytania ją denerwowały.

- Może pani nie uważa go za swego mężczyznę, ale on z pewnością sądzi inaczej. Swoją drogą, *querida*, coś mnie w nim intryguje. Nie wiem, co bardziej mnie zdumiewa, czy to, że słuchałam jego poleceń, czy fakt, że robiła to także pani.

Boże! Olivia mówiła prawdę. Daphne zaniepokoiła się nie na żarty. Zbyt długo walczyła o swą niezależność, by teraz z niej zrezygnować.

- Ach, *querida*, nie umie pani ukrywać swych uczuć - ze śmiechem stwierdziła Olivia. - Zastanawiałam się... *si*, zastanawiałam, a teraz już wszystko wiem. Proszę jednak uważać, bo to niebezpieczny człowiek. - Postawiła tacę na stoliku i pomogła Daphne usiąść. - Ten lord Lockwood kazał, żeby dzisiaj dostawała pani tylko płyny. Jeśli będzie pani odczuwać zawroty głowy, trzeba zostać w łóżku. Sama bym to pani zaleciła. Coś mi mówi, że on tu wróci, żeby zobaczyć, czy wypełniam jego polecenia.

- C...cukiernia. Hannah będzie się martwić, co się ze mną dzieje.

- Posłałam stajennego, by powiedział pani Breton, że nie zjawi się pani w pracy ani dziś, ani jutro. Musi pani odpocząć, *querida*. Po śniadaniu powinna się pani zdrzemnąć.

Olivia postawiła na łóżku tacę z herbatą i bulionem. Lockwood musiał

wzbudzić strach w Olivii, skoro tak ściśle zastosowała się do jego poleceń. Daphne zastanawiała się, jak mu się to udało. Sama jak dotąd nie znalazła sposobu, by choć trochę onieśmielić swoją służącą.

- Przynieś mi lusterko. - Ostrożnie odgarnęła włosy z czoła, by przyjrzeć się potężnemu sinemu guzowi. Będzie musiała go ukryć, odpowiednio zaczesując włosy, jak czyniła to tylekroć w przeszłości. Zaniepokojona przypomniała sobie, że Lockwood pytał ją o starą bliznę.

- Chce się pani położyć? Pomogę pani.

- Nie, nie. Najpierw się posilę. - Wypiła herbatę z cukrem i cytryną. Bulion stanowił trudniejsze wyzwanie dla żołądka, pewnie z powodu dużej zawartości soli, postanowiła jednak zwalczyć mdłości. Chciała doprowadzić się do porządku na wypadek, gdyby zajrzał tu Lockwood. Nie zamierzała dawać mu pretekstu do spędzenia kolejnej nocy pod jej dachem.

Hunt uważnie przyjrzał się swemu biurku. Mapy, notatki i pióra leżały tam, gdzie je zostawił, jednak miał wrażenie, że ktoś szperał w jego rzeczach, a potem z pietyzmem ułożył je z powrotem. Podszedł do sekretarzyka i zaczął kolejno otwierać szuflady. Tu także ktoś węszył, a potem miał mnóstwo czasu, by zatrzeć ślady. Hunt cały dzień przebywał poza domem, a noc spędził u Daphne. Kto tu był? Prichard? Któryś ze służących? Ktoś obcy?

Usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać mapy, zastanawiając się, czy cokolwiek mogło naprowadzić intruza na trop. Bardzo dbał o to, by nikt nie domyślił się prawdziwego powodu jego przybycia na St. Claire. Sam fakt posiadania map posiadłości i całej wyspy nie powinien u nikogo budzić zdziwienia. Nie czynił żadnych notatek na temat zatoczek, w których mogli czyhać piraci, miejsc sekretnych spotkań ani tras prowadzących przez góry do Blackpool. W papierach także nie było nic podejrzanego. Już dawno nauczył się wszystko szyfrować.

Rozmowa z Prichardem nie miała sensu. Jeśli rządca był winien, z pewnością

miał już gotowe odpowiedzi. Musiał zastawić na niego sprytną pułapkę.

Z drugiej strony, jeśli to nie Prichard... Zamknął oczy, starając się ułożyć listę podejrzanych. Numerem pierwszym był Layton. Znał cel przybycia Hunta na St. Claire. Numer dwa: gubernator Bascombe. Starał się powstrzymać Hunta od wyjazdu do Blackpool i podejrzanie często wyjeżdżał z San Marco. Numer trzy: kapitan Gilbert. Jako wilk morski musiał wiedzieć znacznie więcej o Blackpool, niż był skłonny to wyjawić. Numer cztery: Doyle... bez powodu.

Jako człowiek, który wiele razy uniknął śmierci dzięki swej ostrożności, dodał do listy jeszcze Daphne Hobbs. Sama nie mogła przeszukać jego pokoju, jednak miała wierną służącą, Olivię Herrere. Daphne musiała skrywać jakąś tajemnicę. Nie wiadomo, z jakiego powodu pojawiła się na wyspie, a ostatnio zaczęła bywać w towarzystwie. Czyżby miała wroga, który gotów był wyrządzić jej krzywdę? Wydawało mu się to nieprawdopodobne, a jednak nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Krótko mówiąc, nie mógł ufać nikomu.

Złożył mapy, zamknął notatnik i włożył go do szuflady. Nadszedł czas działania. Do tej pory udało mu się jedynie wysłuchać wymijających odpowiedzi.

Wyrwał włos z głowy, zwilżył go śliną i wsunął w wąską szczelinę pomiędzy blatem a szufladą. Jeśli ktoś ponownie ją otworzy, Hunt będzie o tym wiedział.

Teraz musiał zastawić pułapkę.

Spędził popołudnie na objeździe plantacji. Towarzyszył mu zarządca.

- Prichard, powiedz Cookowi, żeby przygotował dla mnie zapas żywności na jakieś dwa, trzy dni. Poza tym chcę mieć śpiwór i płaszcz nieprzemakalny... na pojutrze.

- Dobrze, milordzie. Wyjeżdża pan?

- Chcę zwiedzić małą zatoczkę otoczoną rafą koralową. Podobno są tam piękne ryby. Zamierzam także zobaczyć wodospad na Mount Colombo.

- Świetny pomysł - rzekł Prichard z uśmiechem. - Będzie pan zachwycony.



Jest tam bardzo pięknie. Dopilnuję, by miał pan wszystko, co potrzebne.

- Doskonale. Dziś rano napisałem sprawozdania i uporządkowałem rachunkowość, więc gdy skończymy, przebiorę się i pojedę odwiedzić przyjaciela. Myślę, że zostanę na noc w mieście.

- Czyżby wkrótce zamierzał pan wyjechać z St. Claire?

- Prawdopodobnie wyjadę w przyszłym tygodniu. Jestem bliski podjęcia decyzji o sprzedaży New Albion.

- Ma pan już kupca?- Jeszcze nie. Byłbyś zainteresowany?

- To zależy od ceny.

- Wrócimy do tej rozmowy, Prichard. Mógłbyś mi pokazać, gdzie przechowywane są owoce, zanim trafią na statek?

- Oczywiście. Nie trzymamy ich tu długo. Wolimy, żeby gniły na pokładzie i przynosiły straty przewoźnikowi, a nie nam. - Roześmiał się. - Wszystko trzeba starannie zaplanować, milordzie.

Powróciwszy do domu, Hunt przez posłańca wysłał do gubernatora Bascombe'a list, w którym powiadał o planowanej wyprawie na Mount Colombo i na rafę koralową. Potem schował w umówionym miejscu wiadomość dla Laytona. Pozostało mu jeszcze wtajemniczyć w swoje plany panią Hobbs. I będzie czekał. Ktoś powinien chwycić przynętę. Miał nadzieję, że nie będzie to Daphne.

Leżała na ratanowym szezlongu z twarzą wystawioną na promienie zachodzącego słońca, które przedzierały się przez korony drzew. Miała na sobie muślinową suknię, doskonałą na upalny dzień.

Usłyszała rytm długich kroków Hunta. Czowała, jak siada obok niej, jednak nie otworzyła oczu, zastanawiając się, od czego zacznie rozmowę. Odgarnął jej włosy z czoła i delikatnie obwiódł palcem ranę.

Westchnęła. Jego dotyk zawsze przyprawiał ją o rozkoszne mrowienia.

- Słońce razi panią w oczy?

- Trochę. - Uśmiechnęła się.

- Co tak panią bawi?

- Że mogłabym pana poznać po dotyku. - Położyła dłoń na jego rękę. - Choć wcale nie powinno mnie to cieszyć. - Nie zgadzam się z panią. - Przesunął dłonią po jej policzku. - Widzę, że skóra już się goi. Nie powinna mieć pani blizny po tej ranie.

Wspomnienie blizny wyrwało ją z błogostanu. Otworzyła oczy.

- Dziękuję, że wczoraj się pan mną zaopiekował, Lockwood. Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez pana. Nie powinien był pan jednak tu zostawać. Olivia bardzo się o mnie troszczy. Powiedziałam jej, że nie boli mnie już głowa, ale nie chce mnie słuchać.

- Powiniennem tu zostać na kolejną noc, choćby po to, by dać pani Herrerze powód do rozmyślań.

- To naprawdę zbędne.

- Nie byłbym tego taki pewny. Chciałbym, żeby była pani czujna i miała się na baczności. - Ujął jej dłoń. - Długo się nad tym wszystkim zastanawiałem. Czy to możliwe, by ktoś chciał pani zrobić krzywdę?

Pokręciła głową, chociaż przyszedł jej na myśl stryj Williama. Doszła jednak do wniosku, że Alfred oskarżyłby ją o morderstwo. Po co miałby trudzić się zamachem na jej życie, skoro wyręczyłby go w tym sąd?

Widząc jej niechęć do tego tematu, Hunt powiedział:

- Dobrze, nie zostanę na noc, ale wstąpię tu jeszcze, by zapytać o pani zdrowie. Zamierzam wkrótce wyjechać.

Poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Dokąd się pan wybiera?

- Chcę trochę zwiedzić wyspę przed powrotem do Anglii. Odetchnęła z ulgą.

- Długo pana nie będzie?

- Dzień, może dwa. Chcę zobaczyć rafę koralową i wodospad, czyli miejsca wskazane przez panią. - Najmie pan przewodnika?

- Nie sędę, by był mi potrzebny.  
- Więc... wkrótce wróci pan do Anglii? Zawahał się.  
- Mam tam liczne obowiązki...  
- Rozumiem, ale i dziwię się, że odbył pan tak długą podróż, by zabawić tu niecałe dwa tygodnie.

- Miałem akurat trochę wolnego czasu, a muszę podjąć decyzję dotyczącą New Albion. Jeśli sprzedam plantację, nigdy już tu nie wrócę.

Zapatrzyła się na ocean. Czowała, że po wyjeździe Lockwooda doświadczy bolesnej pustki, lecz jemu zapewne nie będzie jej brakowało.

Pogłaskała go po szorstkim od zarostu policzku.

- Jest pan smutny, Lockwood? Chwycił ją za rękę.  
- Bywa pani czasem w Londynie? Zastanawiała się pani kiedyś nad powrotem do Anglii? Gdyby nadarzyła się okazja, to czy.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanym tonem i usiadła na szeslongu. - Nigdy nie zaznałabym tam spokoju ducha. Z Anglią wiąże się dla mnie wiele przykrych wspomnień.

- Marzy pani o spokoju? - Pochylił się, musnął wargami jej czoło. - A może raczej pragnie pani rozkoszy? Miłość nigdy nie daje ukojenia, to głód i nienasycenie...

Miał rację. Wcale nie marzyła o spokoju. Pragnęła Lockwooda. Zawsze chciała mieć to, co było dla niej nieosiągalne - dużą, kochającą się rodzinę, dobrego męża, dom, który dawałby wytchnienie od spraw tego świata.

Oszołomiona, rozchyliła wargi do pocałunku. Hunt nie zwlekał z odpowiedzią.- Powinna pani wejść do domu, *querida*, zanim się pani przegrzeje.

Daphne zaczerwieniła się po czubki uszu. Lockwood wyprostował się i zgromił Olivię wzrokiem, po czym skłonił się i rzucił sarkastycznie:

- Do zobaczenia, *querida*.

Czekał w ukryciu. Księżyc mżył srebrzystym światłem, tworząc upiorne cienie obok palm i krzewów. Hunt zostawił konia na plaży, w zatoczce w pobliżu Szeptu Fal, na tyle daleko, by nikt nie usłyszał cichego parskania. Czekał aż do znudzenia, obserwując bezszelestne loty nocnych stworzeń.

Nikt się nie pojawił.

Dwie godziny przed świtem usłyszał szelest cichy jak tchnienie wiatru. Włosy zjeżyły mu się na karku.

Z cienia wyłonił się Oliver Layton. Hunt poczuł, jak wzbiera w nim gorycz. Spodziewał się ujrzeć wroga, tymczasem zdrajcą okazał się jego towarzysz.

Layton cicho wspiał się na schody i syknął:

- Lockwood...

Hunt wstrzymał oddech. Czy Layton go witał, czy też sprawdzał, jak głęboko pogrążony jest we śnie? Przybysz zapukał do drzwi.

- Psst... - Nie doczekawszy się odpowiedzi, Layton odszedł w stronę plaży, mijając po drodze kryjówkę Hunta.

Hunt potrafił czekać w absolutnej ciszy, co było ważną umiejętnością dla zawodowego zabójcy.

Skoro Layton nie wszedł do domu, tylko poszedł szukać go na plaży, należało założyć, że nie zamierzał zrobić mu krzywdy. Mimo to Hunt cierpliwie czekał. Po jakimś czasie Layton wrócił i usiadł na schodach werandy. Hunt postanowił nie wychodzić z ukrycia. Layton mógł okazać się przebieglejszy, niż można się tego było spodziewać. Minęło pół godziny, godzina. W końcu Layton wyjął z kieszeni kartkę papieru i napisał na niej parę słów. Wsunąwszy kartkę pod drzwi, zniknął równie cicho, jak się pojawił.

Mimo wszystko Hunt czekał aż do świtu, dopóki nie uznał, że nie zjawi się już nikt inny. Otworzył drzwi i unióśł liścik, a potem podszedł do biurka. Włos był tam, gdzie go zostawił. Nikt nie otwierał szuflady pod jego nieobecność.

Wiadomość brzmiała:

*Lockwood, muszę natychmiast z panem porozmawiać. Jutro przy chacie.*

*Layton.*

Jutro. W tej chwili musiał jednak spełnić swą obietnicę i zobaczyć, jak się miewa Daphne.

W sypialni było ciemno, chociaż przez zasłony sączyło się szare światło świtu. Daphne głęboko odetchnęła chłodnym powietrzem.

W domu panowała cisza, jednak miała wrażenie, że ktoś jest blisko niej. Nie była to Olivia. Odesłała ją do domu jeszcze przed północą. Leżała nieruchomo, wyęzając słuch.

- Daphne...

Czyżby ktoś wyszeptał jej imię? A może tylko jej się to śniło? Zamrugła, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność. Do pokoju wszedł Lockwood.

- Daphne, myślałem, że śpisz. Obudziłem cię? Uniosła się na łóżku.

- Nie ty. Twój zapach.

- Pachnę końską sierścią?

Pokręciła głową. Nie mogła mu powiedzieć, że odurzył ją bijący od niego żar pożądania.- Powinienem był zapukać, ale nie chciałem cię budzić.

- Myślałam, że już o mnie zapomniałeś.

- Nigdy cię nie zapomnę, Daphne.

Była pewna, że ona również nigdy go nie zapomni, jednak jej przeszłość skazywała ich na rozłąkę.

Niedługo ją opuści. Nie chciała, by to się stało, nim się przekona, co mogłoby ich łączyć, co kryje się pod uwodzicielskimi pocałunkami i pieszczotami. Pragnęła się przekonać, czy w pełni jest kobietą, czy też drwiny Barretta były zasadne. Może istotnie była zimna jak gład, niezdolna do miłości?

Gdy podszedł, przyłożyła jego dłoń do serca i spytała:

- Czujesz, jak szybko bije? - Tak...

- Zapamiętaj ten rytm. Dopóki będzie biło moje serce, będę cię pamiętać.

Gwałtownie cofnął dłoń.

- Daphne, nie żegnaj się ze mną. Jeszcze nie wyjechałem. - Nie protestowała, gdy obwiodł palcem jej wargi, by zaraz potem nakryć je pocałunkiem. Władczo zagarnął dłońmi jej piersi. - Pragnę cię - szepnął. - Mam już dość uwertur. Chcę, byś mi uległa, pragnę cię mieć całą...

Nie była w stanie mu się oddać. Nie mogła tego zrobić, wprzód nie zdradziwszy swej tajemnicy. Gdyby zaś wszystko mu wyznała, niechybnie by nią wzgardził. Nie miała wyboru.

Całował ją żarliwie. Daphne nie wiedziała, że płacze, dopóki oboje nie posmakowali jej słonych łez.

- To najśłodsza odmowa, jaka mi się przydarzyła - szepnął. Wstał. Mogła go jeszcze przywołać, gdy szedł do drzwi.

Mogła skłamać i zhańbić ich oboje. Pozwoliła mu jednak odejść, wiedząc, że będzie tego żałować do końca życia.

## Rozdział dziewiąty

Hunt patrzył w oczy gubernatora Bascombe'a. Oczy zawsze zdradzały kłamcę. Bascombe niepewnie poruszył się w fotelu. Niespokojnie zerkał w stronę drzwi, jakby spodziewał się czyjejś wizyty. Hunt postanowił jednak nie ruszać się z miejsca, dopóki nie uzyska odpowiedzi na swe pytania.

- Chodzi o Doyle'a? - zapytał Bascombe.
- Tak.
- Sumienny pracownik.
- Zdążyłem to zauważyć.
- Przyszedł pan tu, by wypytywać mnie o Doyle'a?

Prawdę mówiąc, zamierzał przyjrzeć się gubernatorowi. Jako par Anglii nie lubił, gdy kierowano go do osób niższej rangi. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego Bascombe zawsze wysyłał Doyle'a na spotkania z nim.

- Rozmawiałem z panem Doyle'em wczoraj, gubernatorze.
- Powiedział panu, że został odwołany?
- Nie wspomniał o tym - skłamał Hunt. - Dokąd wyjeżdża?
- Jeszcze nie wiadomo. Najpierw do Londynu, a potem... może trafić wszędzie.- Czy stało się to na pańską prośbę, czy też sam poprosił o zmianę placówki?

- To była moja decyzja, ale Doyle o tym nie wie.
- Nie jest pan zadowolony z jego pracy?
- Wprost przeciwnie, ale nie potrzebuję charge d'affaires. Nie zamierzam szybko wyjeżdżać z St. Claire.

Większość dyplomatów nie chciałaby przebywać na tej wysepce. Dlaczego Bascombe'owi tak bardzo zależało na tym podrzędnym, choć dającym tytuł

gubernatora stanowisku? Może dlatego, że po pozbyciu się Doyle'a będzie mógł bez przeszkód prowadzić swe podejrzone interesy?

- Miło mi to słyszeć, gubernatorze - rzekł Hunt. - Czy Blackpool należy do St. Claire, czy też ogłosiło niepodległość?

Zaczerwieniony ze złości Bascombe uniósł wzrok.

- Nawet jeśli nie zrobili tego oficjalnie, można odnieść takie wrażenie - niemal krzyknął. - Nie wiem nawet, kto jest tam burmistrzem, a przecież nie mogę prowadzić korespondencji, nie znając nazwisk przedstawicieli władz miejskich. Komu mam w tej sytuacji przedstawiać swe żądania?

- Zastanawiał się pan nad możliwością skorzystania z pomocy wojska?

- Z tym właśnie jest kłopot. Na St. Claire panuje spokój. Jak do tej pory nie było konieczności militarnej interwencji. Nie chciałbym tego zmieniać.

- Dlaczego?

- Kiedy zjawi się tu wojsko, trudno się będzie go potem pozbyć. Pojawi się wiele nowych problemów.

Akurat w tym Bascombe miał rację, Hunt jednak nie wiedział, jakie są prawdziwe motywy jego postępowania. Równie dobrze mógł ukrywać przestępczy proceder. I dlaczego gubernator, czyli przedstawiciel króla, nie odwiedził Blackpooli nie poczynił żadnych kroków, by mieszkańcy miasta stali się praworządnymi obywatelami St. Claire?

- Dziękuję panu za ostrzeżenie mnie przed wyprawą do Blackpool górskim szlakiem.

- Nie przypominam sobie, bym coś takiego mówił, niemniej uważam, że to dobra rada.

- Naprawdę uważa pan, że jest tam niebezpiecznie?

- Można tak sądzić na podstawie różnych doniesień. Lockwood uznał, że otrzymał już wszystkie potrzebne mu informacje. Nazajutrz zamierzał wybrać się do Blackpool.



Nad wyspą zapadła duszna, parna noc. Hunt miał wrażenie, że mógłby krajać powietrze nożem, który miał schowany w bucie. Gdy szedł na spotkanie, cienka batystowa koszula lepiała mu się do pleców.

Przystanął w cieniu chaty, zastanawiając się, czy agent zaakceptuje jego plan. Przedsięwzięcie niosło z sobą liczne niebezpieczeństwa, jednak nie widział innego wyjścia.

Koń zarżał i potrząsnął grzywą. Po chwili Hunt usłyszał cichy stukot kopyt innego wierzchowca. Wyłonił się z cienia na widok Laytona.

- Zastanawiałem się, czy tu pana spotkam - powiedział agent.  
- Z pańskiego listu wywnioskowałem, że sprawa jest pilna.  
- Owszem. Udało mi się zdobyć pierwszą ważną informację. Niełatwo jest coś wydusić od tych wyspiarzy. - Przywiązał konia do drzewa. - Gdzie się pan podziewał zeszłej nocy?

Hunt zignorował to pytanie. Layton mógł być zdrajcą. Przeraził się swoich myśli. Miał już serdecznie dość podejrzwania wszystkich dookoła.

Agent przeczesał włosy.- Majster portowy zapytał, czy przyjąłbym dodatkową pracę. Gdy wyraziłem ochotę, powiedział, żebym przyszedł o wpół do dziesiątej do „Błękitnej Płetwy”.

- Poszedł pan tam?  
- Tak, razem z czterema dokerami. Zaprowadzono nas na Szkuner cumujący u nabrzeża. Musiał wpłynąć do portu po zmierzchu, wcześniej go tam nie było.

- Jak był oznakowany?  
- Żadnych nazw, żadnych flag. Czarne żagle.  
- Czarne? - Hunt wyraźnie się ożywił. - I co dalej?  
- Na pokładzie były jakieś skrzynie i pudła. Przenieśliśmy je do magazynu komendanta portu.

- Wciąż tam są?

- Wątpię, choć nie to jest najważniejsze.

Hunt zdziwił się, lecz dał znak, by Layton mówił dalej.

- Kiedy skończyliśmy, zaprowadzono nas do innego magazynu. Stały tam beczki. Wyczułem zapach prochu.

- Niech no zgadnę. Załadowaliście je na Szkuner.

- Tak.

- Widział pan, jak przekazywano dokumenty?

- Było ciemno. Kapitan przez chwilę rozmawiał z naszym majstrem. Mogli wtedy przekazać sobie papiery.

- Udało się panu dowiedzieć, dokąd płynie Szkuner?

- Nikt mi tego nie powiedział, ale idę o zakład, że do Blackpool. Nie był przygotowany do długiego rejsu.

- Co było potem?

- Majster dał każdemu z nas po cztery funty i powiedział nam, że w razie czego mamy mówić, że całą noc piliśmy w „Błękitnej Płetwie”.

Hunt starał się uporządkować otrzymane wiadomości. Nie był zaskoczony, że Blackpool otrzymywało towary z San Marco, nie spodziewał się jednak, że wożono tam proch strzelniczy. Z jakiego powodu mała miejscina na krańcu wyspy mogła potrzebować prochu? Chyba tylko do pirackich armat.

- Ile było tych beczek, Layton?

- Nie liczyłem dokładnie, ale na oko sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt.

- Myślę, że powinniśmy złożyć wizytę komendantowi portu.

- Jeszcze jedno. Postawiłem piwo dokerowi i zapytałem go, do kogo należy Szkuner.

- Domyślałem się, że nie otrzymał pan odpowiedzi.

- Zostałem ostrzeżony. Doker powiedział mi, że całym interesem rządzi jakiś wysoko postawiony dusigrosz i że bym nie liczył na to, że dostanę więcej pieniędzy.

Hunt poczuł nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Zadawanie takich pytań

mogło się źle skończyć, a Layton powinien o tym wiedzieć. Dlaczego narażał się na tak wielkie ryzyko? Mógł skończyć jako topielec w zatoce.

- Boże, Layton. Dlaczego pan to zrobił?

- Pomyślałem, że być może to ostatnia okazja, by dowiedzieć się, co tu się naprawdę dzieje. Wiem jednak, że ma pan rację. Ten doker szybko przeniósł się do innego stolika, a dzisiaj koledzy trzymali się ode mnie z daleka.

- Proszę się spakować. Jutro o północy przyjedzie pan pod bramę New Albion. Nie chcę, by ktokolwiek poznał cel naszej wyprawy. Pojedziemy na rekonesans do Blackpool.

- Myśli pan, że znajdziemy tam piratów?

- To możliwe. Ten „wysoko postawiony dusigrosz” to pewnie ktoś z San Marco. To on dostarcza informacji Sieyesowi i Rodrigowi. Mógłbym iść o zakład, że wiadomości przechodzą przez Blackpool.

- Co pan zamierza powiedzieć Prichardowi i Bascombe'owi?- Już ich uprzedziłem, że wybieram się na zwiedzenie rafy koralowej. Moja kilkudniowa nieobecność raczej nie wzbudzi podejrzeń. Po naszej wyprawie powinien pan natychmiast wracać do Anglii. Nie jest pan bezpieczny na St. Claire.

- A co będzie z panem?

Hunt westchnął, starając się nie myśleć o innych nieskończonych sprawach na wyspie. Chwycił wodze swego konia.

- Też wrócę do Anglii. Ta afera wykracza poza St. Claire. Musi istnieć szeroka siatka kontaktów. „Dusigrosz” wcale nie musi być źródłem informacji o ruchach statków. Wiadomości mogą wychodzić z Greenwich, skąd docierają do tego człowieka, a potem do Sieyesa i Rodriga przez Blackpool. - Pomyślał, że z dowództwa marynarki wiadomości mogą trafiać do Bascombe'a, potem do Blackpool, a stamtąd do pirackiej floty.

- Skoro tak pan sądzi, to dlaczego postanowił pan pojechać do Blackpool?

- Żeby zyskać pewność i przerwać ten łańcuch.

Daphne nie mogła spać. Wmawiała sobie, że wszystkiemu jest winna pogoda. Jak można było spać, skoro nadciągała burza? Wyczuwała ją w nieruchomym, parnym powietrzu.

Zaczęła się bosy przechadzać po sypialni, jednak po pewnym czasie znudził ją widok czterech ścian. Udała się na plażę i weszła po kolana do chłodnej wody, mocząc nocną koszulę.

Poczuła pewną ulgę, jednak wciąż coś dławiło ją w gardle. Co się z nią działo? Czego naprawdę chciała?

Przypomniała sobie szaleńczą noc po spotkaniu z Lockwoodem na plaży. Nie uległa mu mimo jego starań, bojąc się swych uczuć, jednak wspomnienia tych chwil dręczyły ją podczas bezsennych nocy.

Popatrzyła na zachód, w stronę New Albion. Tak, tego właśnie chciała. Nie chodziło jej jedynie o towarzystwo Lockwooda. Pragnęła znaleźć się w jego ramionach, poczuć go całą sobą. Łzy napłynęły jej do oczu. Czy mogła pozwolić sobie na noc rozkoszy, której będzie potem żałować przez całe życie?

Była gotowa na wszystko. Lockwood wkrótce opuści St. Claire i pozostaną po nim tylko wspomnienia. Nie chciała żyć ze świadomością, że stchórzyła w najważniejszym momencie.

Puściła się pędem wzdłuż brzegu. Musiała się śpieszyć, bojąc się, że zmieni zdanie.

- Lockwood! - Jej głos utonął wśród szumu wiatru i morskich fal.

Zobaczyła migoczące światełko świecy w oknie jego domu. Nie wiedziała, czy Hunt usłyszał jej wołanie, czy też wyczuł jej obecność, jednak coś kazało mu wyjść na werandę.

Znieruchomiała, nie wiedząc, czy wciąż jej pragnie.

Błyskawica przecięła ciemne niebo. Lockwood wyszedł na spotkanie Daphne. Czy mogła mu powiedzieć, z jakiego powodu tu się znalazła?

Jej obawy okazały się płonne. Poglądził ją po policzku i wziął w ramiona.

Poczuła szybkie, mocne bicie serca. Tym razem nie zamierzała zmienić zdania.

Przesunął rękami po jej plecach i mocno przycisnął do siebie. Zarzuciła mu nogi na biodra, otoczyła go ramionami, a on wniósł ją do domu.

Postawił ją obok łóżka i cofnął się, czekając na znak zachęty. Nie miała biegłości w sztuce uwodzenia, jednak tym razem dobrze wiedziała, czego pragnie.

Drżącymi rękami zaczęła rozpiąć mu spodnie. Wyraźnie rozbawiony nieporadnością Daphne, uspokajającym gestem dotknął jej ramienia. W końcu zdołała go rozebrać i wreszcie ujrzała Hunta w całej męskiej krasie. Zobaczyła, że się uśmiecha z wyraźnym zadowoleniem.

Zdjął jej koszulkę i rzucił na podłogę. Długo, z upodobaniem przyglądał się nagiej Daphne. Miała ochotę zasłonić piersi, czuła jednak, że powinna pozwolić mu na tę chwilę męskiej satysfakcji.

Wiedziała, że nic już nie będzie takie samo. Jak będzie żyła bez niego? Postanowiła odłożyć te rozmyślania na później.

Błyskawica na chwilę oświetliła pokój, a szyby w oknach zatrzęsy się od grzmotu. Daphne uświadomiła sobie, że poprzednim razem również była tu podczas burzy.

Położył ją na prześcieradle i zaraz do niej dołączył. Nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Barrett nigdy niczego od niej nie oczekiwał. Wystarczało, że leżała bez ruchu, a on robił swoje. Gdy czasami próbowała przejąć inicjatywę, klął i kazał jej leżeć spokojnie, dopóki nie skończy. Nie chciała jednak, by Lockwood uznał, że jest zimna jak lód.

Uniósł jej nogę i zaczął nią pocierać o swe biodro. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, natychmiast poczuła dreszcz podniecenia.

- Nie zrobisz mi krzywdy? - Czy ten słaby głosik należał do niej? Po co zdradziła swe najgłębsze obawy? Dzięki Bogu, zapewne Hunt jej nie słyszał.

- Spokojnie, Daphne. Jak dawno...

- Cii... - Pytania paraliżowały ją, a przecież tej nocy nie chciała myśleć o

konsekwencjach swej decyzji. Miała ochotę ten jeden jedyny raz pójść za głosem serca, nie martwiąc się, co będzie potem.

Musnął wargami jej ucho i obwiodł je językiem, a potem pocałował w zagłębienie szyi, w miejsce, w którym mógł wyczuć szybko bijący puls. Gdy zaczął pieścić wargami piersi, drżąc na całym ciele, wsunęła mu palce we włosy. Mocno przytulił ją do siebie.

- Proszę... - wydyszała, gdy ciężkie krople deszczu zabębniły o szyby. - Zrób to, zanim zmienię zdanie.

- Daphne...

- Błagam...

Uniósł się nieznacznie, po czym zaczął powoli się w niej zagłębiać. Zagryzła wargę, spodziewając się bólu przy brutalnym ataku na jej ciało, jednak nic takiego nie nastąpiło.

Wilgotna i gorąca, nie wiedziała nawet, kiedy wszedł w nią do końca. Łzy popłynęły jej z oczu. Gdy stali się jednością, po raz pierwszy w swym życiu poczuła się wspaniale.

Zaczął się w niej poruszać, z początku powoli i ostrożnie, by po chwili przyśpieszyć, nie pozwalając jej przyzwyczać się do żadnego rytmu. Z każdą chwilą lepiej wyczuwała jego potrzeby, upajając się narastającą przyjemnością, i nagle wszystkie doznania skupiły się w jedno.

Świat wokół niej tańczył i wirował. Wciąż głęboko w niej pograżony Lockwood odgarnął jej włosy z twarzy i wyszeptał czułe słówka. Powiedział, że jest piękna i wspaniała, że nigdy nie przeżył takiej rozkoszy, że nie może się nią nasycić.

Wiele godzin później, gdy wyszedł z niej po raz trzeci, a może czwarty, powiedział cicho:

- Śpij teraz, odpoczywaj, moja cudowna Daphne.

Nie była w stanie zasnąć ze świadomością, że pozwoliła sobie na chwilę szaleństwa. Odsloniła się przed mężczyzną, który należał do elity towarzyskiej

Londynu i mógł doprowadzić ją do zguby.

Daphne, jesteś bardzo nierozsądna, skarciła się w myślach. Czy to wszystko było warte ryzyka? Tak, tysiącokrotnie tak.

## *Rozdział dziesiąty*

Hunt siedział na stopniach werandy, podziwiając wschód słońca. Gdy się obudził, nie było przy nim Daphne. Nie zdziwiło go to. By mógł się budzić obok niej, musiałyby się z nią ożenić. Ta możliwość z każdą chwilą wydawała mu się coraz bardziej kusząca.

Kiedy minionej nocy zobaczył ją na plaży, miał wrażenie, że śni. Stała jak wmurowana w ziemię. Bał się, że kiedy do niej przemówi, gotowa rzucić się do ucieczki.

Zerwał kilka orchidei i przeciągnął się z lubością, rozkosznie obolały po miłosnych doznaniach. Postępował z Daphne bardzo ostrożnie, delikatnie. Pamiętał, jak ledwie dosłyszalnie zapytała go, czy nie zrobi jej krzywdy. Domyślił się, że musiała być dawniej źle traktowana. Czyżby tu tkwił klucz do jej przeszłości?

Sądząc po jej nieśmiałości i skrepowaniu, musiała przeżyć tej nocy coś, czego nie doświadczyła nigdy przedtem. Jeśli nawet miała kochanków, musieli być żalonymi partaczami.

Co dziwne, słowa, które szeptał jej do ucha w czasie burzy, płynęły prosto z serca. Nie był już młodzieńcem, który przeżywa pierwsze erotyczne fascynacje. Doświadczenie sprawiało, że potrafił odróżnić zadurzenie od miłości. Był pewien, że kochał Daphne, zanim jeszcze do niego przyszła. Podziwiał jej dzielność, siłę i zdecydowanie. Uwielbiał gardłowy śmiech, wyraz jej twarzy, gdy patrzyła mu w

oczy, sposób przeżywania rozkoszy.

Pragnął się nią zaopiekować, ułatwić jej życie, zasypiać i budzić się w jej objęciach. Nie dbał o to, co powiedzą członkowie jego rodziny i przyjaciele, gdy Daphne zostanie lady Lockwood. Musiał uczynić ją swoją i nikt mu w tym nie przeszkodzi.

Powąchał trzymany w ręku kwiat. Zapach orchidei zawsze już będzie przypominał mu Daphne. Postanowił dać jej trochę czasu. Zamierzał odwiedzić ją wieczorem, przed wyjazdem do Blackpool.

Powinnam być zmęczona, pomyślała Daphne. Czuła się jednak doskonale.

Umyła się, włożyła szlafrok i weszła do kuchni. Zapach jajeczniczy na szynce przypominał jej, że ostatni posiłek jadła wczorajszego popołudnia. Olivia zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem.

- Wczesnie dziś wstałam - powiedziała zgodnie z prawdą Daphne.

- Niech pani nie kłamie, *querida*. Jestem tu już parę godzin. Wiem, gdzie pani była.

Daphne zamierzała zignorować uwagę służącej, jednak szybko zmieniła zdanie. Była przecież dorosłą kobietą, do tego wdową, więc mogła robić, co uważała za stosowne. Podeszła do stołu i nalała sobie filiżankę herbaty.

- I co pani na to? - nie ustępowała gospodyni.

- Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać, Olivio. Zresztą jakie to ma znaczenie? - dodała jakby do siebie. - On za tydzień wyjedzie. Chciałam tylko... - Wzruszyła ramionami.

- Jest przystojny. Poza tym widzę, że dzięki niemu wstąpił w panią nowy duch, ale, *querida*, to nie jest mężczyzna, z którym można igrać bezkarnie.

- Nic podobnego się nie dzieje.

- Zostawi panią ze swym nasieniem w łonie. I co wtedy, *querida*? Zapyta mnie pani o adres pewnej Kreolki z Blackpool, która zajmuje się takimi sprawami?



Daphne przyłożyła dłoń do płaskiego brzucha. Zastanawiała się, czy to możliwe, by nosiła w swym łonie dziecko Lockwooda.

- Nie myślałam o tym, Olivio, ale na pewno nie usunęłabym ciąży.

- *Querida*, zawsze wiedziałam, że musi pani pochodzić z wyższych sfer. Nie wiem, co przywiodło panią na tę wyspę, ale proszę mi wierzyć, że St. Claire to nie jest dobre miejsce na urodzenie bękarta. A co powiedziałyby pani Williamowi?

- Gospodyni pokręciła głową. - Czasami jest pani taka naiwna. .. Proszę się dobrze nad wszystkim zastanowić. Przecież dziecko przewróciłoby pani życie do góry nogami. Co powiedzieliby ludzie? Szybko by się domyślili, kto jest ojcem.

Daphne zadrzała, wylewając herbatę na spodek. Musiałaby przenieść się na inną wyspę, na przykład na San Juan albo do którejś z kolonii holenderskich. Olivia miała rację. Daphne nie mogła pozwolić sobie na dziecko. Lockwood mógłby się o wszystkim dowiedzieć i je zabrać.

- Nie pomyślałam o tym - wyznała.

- To szaleństwo minie, *querida*. Przez jakiś czas będzie pani cierpieć, a potem pani o nim zapomni. Niech William przyjedzie tu na wakacje. On panią pocieszy. Bardzo się za panią stęsknił.- Wiem...

- Ostatnio dostaje pani od niego dużo listów, a to znaczy, że bardzo mu zależy, by pobyć z panią w domu. Dziś znów przyszedł list.

- List? - powtórzyła jak echo Daphne.

- *Si*. Położyłam go na biurku.

Daphne popędziła do salonu. List był Zaplamiony i pomięty od częstego przekazywania z rąk do rąk. Nadano go w Charlestonie, jednak koperta nie została zaadresowana przez syna. Złamała pieczęć i rozpostarła kartkę.

*Droga pani Hobbs!*

*Z mieszanymi uczuciami sięgam po pióro, by powiadomić Panią o niepokojącym wydarzeniu.*

*Kilka miesięcy temu nasza szkoła stała się obiektem zainteresowania ze strony*

*zagranicznych gości, którzy, podając się za inspektorów, przesłuchiwali naszych pracowników i uczniów. Twierdzili, że zbierają dane dla brytyjskiego katalogu na temat szkół działających za granicą, by pomóc zamożnym rodzicom w wyborze odpowiedniej placówki dla swych synów. Mieli dostęp do wszystkich pomieszczeń i dokumentów Bridgerton Academy.*

*Z początku nie budziło to niczyich podejrzeń. Interesował ich wiek i narodowość uczniów, liczba lat spędzonych w Bridgerton, życiorysy i miejsce zamieszkania rodzin.*

Daphne poczuła skurcze żołądka.

*Pamiętając o prośbie, którą przedłożyła Pani przy zapisywaniu Williama do szkoły, udzielałem wymijających odpowiedzi. Obawiam się jednak, że nie pokrywały się one z tymi, których udzielił sam William.*

*Dwa dni temu nasi goście powrócili z mężczyzną, który przedstawił się jako lord Barrett i przysiągł, że William jest jego synem.*

Daphne zakryła usta dłonią, by stłumić krzyk. Przecież Barrett nie żył! Wciąż pamiętała ciało męża leżące w kałuży krwi przy kominku. To niemożliwe! Musiała zajść jakaś straszna pomyłka! A może w szkole pojawił się Alfred, brat Barretta?

*Lord Barrett przedłożył dokumenty wystawione przez brytyjski konsul, upoważniające go do bezzwłocznego zabrania Williama do Anglii. Twierdziłem, że William nosi nazwisko Hobbs, jednak już wcześniej, po rozmowie z Williamem, uznano go za dziedzica lorda Barretta.*

*Ufam, że zrozumie Pani, iż nie miałem wyboru i musiałem przystać na żądania lorda Barretta. Żałuję, że nie powiedziała mi Pani wszystkiego na temat syna. Gdybym został wcześniej ostrzeżony, mógłbym...*

Zmieniła kartkę, walcząc z ogarniającym ją panicznym strachem. William musiał być przerażony! Jeśli wpadł w łapy Alfreda, groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Alfred z pewnością życzył Williamowi śmierci, by tytuł przeszedł na niego i na jego synów.

- Jezus Maria! Co się stało? Czy panicz William jest chory? Daphne przeniosła wzrok na stojącą w drzwiach Olivie.

- Wyjechał... został zabrany do Anglii. Olivia zmrużyła oczy.

- To niemożliwe. Kto mógłby zrobić coś podobnego?

- Myślę, że jego stryj.

- Ten podły stryj? - Gospodyni westchnęła. - Niech się pani nie dziwi, że to wiem, *querida*. Wiedziałam o tym od dawna. Jak mogłabym sprzątać pani dom, gotować i opiekować się małym Williamem, nie wiedząc takich rzeczy? Przykro mi, ale to musiało się kiedyś stać.

- Nie! Wszystko starannie zaplanowałam. Chroniłam Williama przed...- Jednak minęło już pięć lat i William wydorósł. Powinna pani wiedzieć, że z czasem przestanie pani panować nad wszystkim.

- Byłam pewna, że William jest bezpieczny, mieszkając z dala ode mnie. Nie przypuszczałam, że go odnajdą. Myślałam, że najpierw będą szukać mnie. Nie wiem, jak... - Naszyjnik! Sprzedała go w Bostonie, by mieć pieniądze na dalszą podróż i rozpoczęcie nowego życia. Jeśli Alfred się o tym dowiedział, zapewne przez minionych pięć lat szukał jej w Ameryce, jej i Williama. Powinna była zatrzymać syna przy sobie! Okazała się idiotką, skończoną idiotką! Zaczęła walić pięściami w biurko, zanosząc się szlochem.

- *Querida* - odezwała się spokojnym głosem Olivia. - Proszę się uspokoić. Musi pani wierzyć, że William ma się dobrze. Nie może mu pani teraz pomóc.

Daphne wiedziała jednak, że nie spocznie, dopóki nie odnajdzie syna i nie zapewni mu bezpieczeństwa. Zaczęła pisać list do kapitana Gilberta.

Daphne przekazała aktem notarialnym tytuł własności Szeptu Fal Olivii, a cukiernię oddała Hannah. Napisała list do dyrektora szkoły Williama, wysprzątała dom i zrobiła pranie. Zamierzała wziąć z sobą tylko to, co zmieści się w przyniesionej ze strychu walizce, tej samej, z którą przed laty uciekała z Anglii. Postanowiła

spakować się rano, tuż przed wyjazdem do San Marco, gdzie zamierzała po raz ostatni prosić gubernatora Bascombe'a o przysługę.

Jej pobyt na St. Claire dobiegał końca. Przeszła przez kuchnię i udała się do stajni. Będzie musiała jeszcze powiadomić Timmy'ego, by nazajutrz odebrał klacz i giga z portu. Miała wrażenie, że zapomniała o wielu sprawach, jednak od czasu zapoznania się z treścią listu od dyrektora szkoły nie mogła się skupić.

Przez cały dzień czuła silne pieczenie w żołądku. Żyjąc na St. Claire, nieustannie się bała, że zostanie rozpoznana. Okazało się jednak, że najpierw znaleziono Williama. Głęboko zaczerpnęła tchu, starając się opanować. Nie mogła wpadać w panikę.

Z łopataą przeszła do ogrodu. Było już ciemno, więc na chwilę wróciła do domu po latarnię. Oddalwszy się pięć kroków od pnia potężnego tropikalnego drzewa, zaczęła kopać. Chociaż minionej nocy spadł deszcz, ziemia pod wierzchnią warstwą była twarda i Daphne musiała się mocno napracować. Po upływie godziny otarła czoło rękawem ubłoconej sukni. Jak głęboko zakopała swoje skarby?

W końcu usłyszała głuchoe stuknięcie i spomiędzy korzeni wyciągnęła niewielką kasetę. Przez pięć lat dowód jej zbrodni leżał pod tym potężnym drzewem. W ciągu tych lat stała się silna i niezależna, nauczyła się dbać o siebie i syna, ufać tylko sobie. Teraz kończył się ten etap jej życia. Wracała tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Łzy płynęły jej z oczu, gdy niosła zabłoconą kasetkę do domu. Zamek zardzewiał, nie mogła go więc otworzyć małym kluczykiem. Podważyła wieczko nożem, rozwiązała brezentowy woreczek i wysypała jego zawartość na stolnicę.

Na St. Claire Daphne nosiła jedynie ślubną obrączkę, jakby w ramach pokuty. Teraz mieniły się przed nią diamenty, szafiry i rubiny. Patrzyła na pierścionki, bransoletki, naszyjniki, kolczyki i szpilki do włosów - rodowe klejnoty Barretta.

Ktoś głośno westchnął. W drzwiach stał Lockwood, z zaciekawieniem patrząc na rozsypane klejnoty. Daphne była tak głęboko pogrążona w rozmyślaniach, że

nawet nie usłyszała, jak wchodził. Jak miała mu to wszystko wyjaśnić? Poczowała piekące łyzy. Nie chciała widzieć wyrazu rozczarowania na jego twarzy, gdy dowie się prawdy. Zresztą czy musiała mu cokolwiek wyjaśniać? Czekają ją hańba i śmierć. Nie chciała umierać ze świadomością, że Lockwood nią gardzi. Wkrótce zapewne Hunt i tak o wszystkim się dowie, jednak nie życzyła sobie, by stało się to tego wieczoru.

Podszedł do niej i chwycił ją w ramiona.

- Daphne, czy to ma związek z twoją tajemnicą?

- Tak...

- Ukradłaś to wszystko?

Skinęła głową, lecz zaraz potem zdecydowanie zaprzeczyła. Być może dokonała kradzieży, niemniej jednak klejnoty były dziedzictwem Williama,, syna Barretta.

- Jesteś smutna. Chodź. - Zaprowadził ją pod pompę i wsunął jej ręce pod strumień wody. - Spokojnie, Daphne. Wszystko będzie dobrze - wyszeptał jej do ucha. - Jakoś sobie poradzimy, tylko mi zaufaj i powiedz, co się stało.

Popatrzyła mu w oczy. Nie mogła mu zaufać. Nie ufała nikomu. W grę wchodziło życie Williama.

- Nie mogę.

Myślała, że Hunt zacznie domagać się odpowiedzi, jednak tylko się uśmiechnął, jakby rozumiał jej obawy.

Odgarnął jej włosy z czoła i przesunął palcem wzdłuż starej blizny.

- Co się stało, Daphne? Kto ci to zrobił?

- Nikt. Po prostu upadłam.

- Nie potrafisz kłamać. Naprawdę nie chcesz, żebym ci pomógł?

Serce ścisnęło jej się bólem.

- Słabo mnie znasz, Lockwood.

- A ja uważam, że znam cię całkiem nieźle. Zaufaj mi i powiedz, dlaczego

ukrywasz się na St. Claire. Sądzę, że ta blizna i klejnoty mają z tym coś wspólnego.

- Muszę się zastanowić. Wszystko dzieje się tak szybko...

- Będziesz miała czas nad wszystkim pomyśleć, najdroższa. Jutro wyjeżdżam na dwa dni. Porozmawiamy po moim powrocie. Mamy wiele spraw do odmówienia.

- Och... - Gdy Hunt wróci, już jej tu nie będzie. Przytuliła policzek do jego torsu.

- Kocham cię, Daphne.

Serce zamarło jej w piersi. Kochał ją? Ona kochała go od dawna, lecz nawet nie marzyła o tym, by jej miłość została odwzajemniona. Teraz wolałaby nie słyszeć tych słów. Łatwiej byłoby przeżyć rozstanie.

- Słyszałaś, co powiedziałem, Daphne? Chcę, żebyś została moją żoną.

- Kocham cię, Lockwood, i pragnę dać ci wszystko, co mogę ci ofiarować.

Pocałował ją w policzek i w bliznę na czole. W ten sposób obiecywał, że się nią zaopiekuje. Było już jednak za późno.

Wspięła się na palce, by go pocałować. Poprzednim razem kochał się z nią bardzo delikatnie, jednak tym razem pragnęła poznać dziką, namiętą stronę jego natury. Poczula ciarki na wspomnienie przeżytej rozkoszy.

Jakby czytając w jej myślach, chwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni, gdzie natychmiast zdarli z siebie ubrania i rzucili się na łóżko. Ledwie dotknął jej nagich piersi, przyciągnęła go do siebie i ponagliła, otaczając go nogami w pasie.

Gdy wypełnił ją sobą, westchnęła z rozkoszy, a potem szepnęła:

- Och, mój jedyny... mój ukochany...

## Rozdział jedenasty

Droga przez góry zajęła im więcej czasu, niż Hunt się spodziewał. Do miasteczka przybyli dopiero późnym popołudniem. Ostatnie dwie mile przeszli na piechotę, konie czekały na nich w dziczy.

Trudno było nawiązać rozmowę z ponurymi, nieufnymi mieszkańcami Blackpool, którzy zerkali na nich podejrzliwie, gdy pięli się wąskimi, stromymi uliczkami, szukając jakiejś tawerny.

Na skale nad znajdującą się sto stóp niżej zatoką przycupnęły małe kamienne chaty. Można tam było wjechać na platformie unoszonej za pomocą kołowrotu. W zatoce cumował niewielki Szkuner z czarnymi żaglami, który podskakiwał jak korek na silnych falach. Trudno było się dziwić, że większe statki rzadko zawijały do Blackpool, bo łatwo można było rozbić się o skały.

- To ten Szkuner, o którym mówiłem - szepnął Layton.
- Tak... - Hunt uważnie przyjrzał się zgrabnemu, smukłemu żaglowcowi, który nadawał się bardziej na statek przemytniczy niż piracki.
- Wszyscy traktują nas tu jak trędowatych. Hunt uśmiechnął się ponuro.
- Nie jest to dalekie od prawdy, zważywszy na to, z jakiego powodu tu przyjechaliśmy.
- W takim razie nie zwlekajmy i szybko ruszajmy z powrotem. Nie chcę skończyć z poderżniętym gardłem.
- Ja też chciałbym jak najszybciej znaleźć się w San Marco, jednak nie możemy niczego przyspieszyć, Layton. Musimy być cierpliwi. Myślę, że nie będziemy musieli długo czekać.

Znaleźli niewielką tawernę i usiedli przy stoliku w rogu salki, Hunt oczywiście plecami do ściany.

Podszedł do nich niski, krępy mężczyzna. Wylał ręce w brudny fartuch.

- Czego chcecie?

- Proszę zupę z owoców morza i piwo - powiedział Hunt. Layton zamówił to samo.

Mężczyzna nie ruszył się z miejsca.

- O co wam chodzi? - zapytał. - Obcy nie przychodzą tu na posiłek. Czego chcecie?

Layton uniósł się z krzesła, jednak Hunt powstrzymał go ruchem ręki.

- Jedzenia - rzekł. - I odpowiedzi na pytanie.

- Jakie pytanie, przybyszu?

- Najpierw proszę o jedzenie.

Właściciel popatrzył z uznaniem na Hunta i powlókł się za kontuar.

Dobiegł ich sygnał dzwonka pokładowego. Czyżby do zatoki wpływał jakiś statek?

Właściciel pociągnął za łańcuch wiszący u powały, gdzieś z zewnątrz odpowiedział inny dzwonek. Mieszkańcy Blackpool sprytnie to wymyślili. Teraz już wszyscy wiedzieli, że w mieście są obcy. - Lockwood, jak myślisz, on ostrzegł mieszkańców czy statek?

- Cii... Nie możemy okazać zaniepokojenia.

- Oni na pewno kroją takich jak my na plasterki i dodają do zupy z owoców morza.

Zgromił Laytona wzrokiem i skinieniem głowy wskazał tylne drzwi.

- Nie musi pan przypadkiem iść do toalety?

Layton wstał, wyszedł, wrócił po chwili i nieznacznie skinął głową.

Hunt się nie mylił. Do zatoki wpłynął nowy statek.

Jakiś mężczyzna w roboczym ubraniu i z czerwoną chustką na szyi zajrzał do mrocznego wnętrza. Przez chwilę przyglądał się nowo przybyłym, po czym zamknął drzwi.



- Za chwilę zda sprawozdanie swoim kompanom - powiedział Layton.

Hunt też tak sądził.

- Teraz wszystko potoczy się szybko.

- Byłem spokojniejszy w tej francuskiej tawernie w Marsylii w czasie kampanii - powiedział Layton. - Jednak wtedy była wojna i obowiązywały jakieś reguły gry. Tutaj jest inaczej.

Hunt również czuł zbliżające się niebezpieczeństwo. Rzucił groźne spojrzenie właścicielowi tawerny. Mężczyzna nalał dwa kufle piwa i przyniósł do stolika, stawiając je na lepkim blacie z taką siłą, że rozbryznęła się piana.

Layton postawił monetę na stole i zakręcił nią, z rozbawieniem patrząc, jak właściciel chciwie ją przechwytuje.

Co ugryzło Laytona? Gotów jeszcze wszcząć bójkę!

- Niech pan nie okazuje swej niechęci, Layton. Jeśli nie może się pan powstrzymać, radzę zaczekać na zewnątrz.

Layton skosztował piwa, skrzywił się i zrobił taki ruch, jakby miał zamiar wylać je na stół.- Nie wierzę, żeby było aż tak podle - mruknął Hunt.

Ostrożnie pociągnął łyk. Piwo było rozcieńczone wodą albo zwietrzałe i miało dziwną gorycz. Czyżby proch? Czy celowo dodawano go do piwa, czy też piwo trzymano w beczkach używanych przedtem do przewozu prochu? Zauważył, że właściciel gospody im się przygląda.

A więc piwo było celowo zaprawione prochem. Zostali ostrzeżeni. Teraz dobrze już rozumiał, dlaczego ludzie żyjący w cywilizowanej części wyspy nie odwiedzali Blackpool. Określanie mieszkańców tego miasteczka mianem ludzi niegościnnych było eufemizmem.

Daphne stała przed biurkiem gubernatora Bascombe'a, czując się jak niesforna uczennica przed obliczem srogiego nauczyciela.

- Niespodziewanie wzywają mnie do kraju pilne sprawy

- powiedziała. - Nie sędzę, bym kiedykolwiek wróciła na St. Claire. Przekazałam w akcie darowizny moją posiadłość pani Herrerze, a cukiernię pani Breton i uregulowałam wszelkie należności.

Gubernator przyjrzał się jej uważnie.

- W takim razie czemu zawdzięczam pani wizytę?  
- Chciałam pana prosić o przysługę.  
- Ma pani jeszcze jednego przyjaciela, któremu chce pani pomóc w interesach, madame?

Wyczuła nutę złośliwości w jego głosie. Czyżby gubernator żałował, że dał zezwolenie kapitanowi Gilbertowi.

- Nie. Chciałam tylko, żeby dopilnował pan, by moje nieruchomości zostały przekazane nowym właścicielkom. Pani Herrera i pani Breton nie znają się na zawiłościach prawnych.

- Wyjęła z torebki kartkę i podała ją gubernatorowi, który szybko przebiegł pismo wzrokiem. - Jak pan widzi, jest to spis moich nieruchomości i ruchomości, wraz z informacją, jak je rozdysponowałam. Na moim koncie znajduje się suma wystarczająca na opłacenie podatku. Oprócz pana nie znam nikogo, komu mogłabym zaufać.

- Dopilnuję, by przeniesienie praw własności odbyło się sprawnie, pani Hobbs. Jest pani bardzo hojna. Widzę, że zamierza pani ofiarować konia i powóz Timmy'emu Adamsowi. To wielkoduszny gest. Chłopak ma na utrzymaniu matkę i brata. Mając konia, będzie mógł podjąć się intratnych prac.

Zamknęła torebkę, zadowolona, że gubernator zgodził się jej pomóc.

- Nie chciała pani sprzedać domu? Przecież z pewnością potrzebuje pani pieniędzy na podróż do Anglii. To pismo przypomina testament.

Był bliższy prawdy, niż mógł przypuszczać. Zmusiła się do uśmiechu.

- Cóż, moje życie na St. Claire dobiegło kresu. Niestety wszystko, co dobre, ma swój koniec.

Dzwonek na pokładzie „Gulf Stream” wzywał pasażerów na pokład. Wstała.

- Dziękuję, panie gubernatorze. Wiedziałam, że mogę na pana liczyć.

Była już przy drzwiach, gdy gubernator ją przywołał.

- Pani Hobbs, zastanawiam się, czy teraz to ja mógłbym prosić panią o przysługę.

- Pomogę panu z miłą chęcią.

Po długiej chwili milczenia otworzył szufladę i wyjął z niej niewielki brezentowy pakiecik obwiązany sznurkiem i starannie zalakowany.- Czy po przyjeździe do Londynu mogłaby pani oddać ten pakunek lordowi Eastmanowi?

- Jest pan pewien, że nie chce pan dołączyć przesyłki do poczty kurierskiej?

Mogłabym ją przekazać kapitanowi Gilbertowi.

- Nie! - zawołał gubernator Bascombe. - To prywatna przesyłka. Nie należy mieszać spraw prywatnych z urzędowymi.

- Rozumiem. Nie znam jednak lorda Eastmana. Gdzie mogę go znaleźć?

- W Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Aha, i jeszcze jedno.

- Tak?

- Proszę oddać mu to osobiście. Nie chciałbym, żeby pakiet leżał przez wiele tygodni na biurku jakiegoś urzędnika.

Kiwnęła głową, zadowolona, że najwyraźniej pakiet nie zawiera żadnych ważnych dokumentów.

- Obiecuję, że dostarczę przesyłkę zaraz po przyjeździe.

Zapadł zmierzch. Właściciel tawerny zapalił latarnie kawałkiem drewna wyciągniętym z ognia, na którym podgrzewał zupę. Z zewnątrz dobiegały odgłosy jakiejś rozmowy, jednak Hunt nie był w stanie rozróżnić słów.

W pewnej chwili do środka wszedł olbrzym o czarnych włosach i rumianej twarzy, prowadząc swych kompanów, wśród których znajdował się mężczyzna w czerwonej chustce na szyi. Olbrzym podciągnął postrzępione spodnie, popatrzył na

właściciela, potem na gości i ich kufle. Najwyraźniej nie był zadowolony, że zostali obsłużeni. Podeszedł wraz ze swymi towarzyszami do baru i przez chwilę rozmawiał cicho z właścicielem. Hunt zastanawiał się, czy ma przed sobą załogę statku, który wpłynął do zatoki.

- Piraci? - spytał szeptem Layton.- Nie wiem, ale stawiam mój tytuł i majątek, że ci ludzie ich znają. To miasteczko jest zbyt senne jak na siedzibę piratów, jednak coś mi tu brzydko pachnie. Może kwitnie tu przemyt?

- Czemu wszyscy tak dziwnie się zachowują?

- To proste, Layton. Nie chcą zawisnąć na szubienicy. Myślą, że jesteśmy przedstawicielami władz.

- Jeśli nic się wkrótce nie wydarzy, radzę ci, lepiej stąd wийmy, Lockwood.

Przyznał mu rację. Czuł się tu nieswojo. Uniósł kufel do warg, lecz szybko go odstawił, przypomniawszy sobie o prochu. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie dodano go, by maskował smak trucizny.

Olbrzym w podartych spodniach podeszedł do ich stolika.

- Jak się nazywasz?

Hunt odstawił kufel i wstał. Dorównywał mężczyźnie wzrostem i pragnął dać mu do zrozumienia, że niełatwo da się zastraszyć.

- Lock - powiedział. - A ty?

- Saldon. Czego chcesz?

- Zupy.

Gdy Layton parsknął śmiechem, Saldon posłał mu spojrzenie, od którego mogło zwarzyć się mleko.

- Nie lubimy tu wesolków.

- Nie żartuję, Saldon. Czy w Blackpool można dostać zupę? - próbował ratować sytuację Hunt.

- Nie przyjechałeś tu z San Marco po zupę, Lock.

- Jednak chciałbym ją zjeść. Nie lubię załatwiać interesów z pustym

żołądkiem.

- Mathers, daj im zupe! - zwołał Saldon do właściciela, po czym znów zwrócił się do Hunta: - Czego chcesz?

Hunt wskazał mu krzesło.- Ubić interes.

- Jaki?

- Taki, którego nie mogę załatwić w San Marco. Przysłał mnie tu nasz przyjaciel.

- Nie mamy wspólnych przyjaciół, Lock.

- Cóż, w takim razie nie jesteś tym, kogo szukam. Właściciel tawerny przyniósł dwa talerze zupy i łyżki. Hunt

i Layton przystąpili do jedzenia, ignorując Saldona. Zupa okazała się zaskakująco smaczna.

Na rumianej twarzy Saldona pojawił się uśmiech. Uniósł kufel Hunta i powąchał piwo.

- Stary Mathers wciąż robi swoje numery. Ten, z którym chcesz się spotkać, ma jakieś imię?

- Powiedziano mi, że mnie znajdzie.

- Mówi ci coś imię Rigo?

Rigo? Czyżby chodziło o Rodriga, krwawego łajdaka, który wraz z francuskim piratem, Sieyesem, siał postrach na Morzu Karaibskim? Hunt posłał Laytonowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Być może. Jest tu gdzieś?

- Zależy, czego chcesz.

- Już powiedziałem. Ubić interes.

Saldon popatrzył przez ramię na właściciela tawerny.

- Masz jakiś pokój, Mathers? Lock i jego kumpel nie chcą wracać nocą przez góry.

Właściciel coś burknął i skierował się ku ciemnej klatce schodowej. Po

niedługim czasie wrócił, mamrocząc coś o pokoju na górze. Hunt zastanawiał się, ile będą musieli zapłacić za zupę i nocleg.

Z początku zamierzał tylko zobaczyć miasteczko i ocenić, czy może znajdować się tu baza piratów, jednak szczęśliwy traf sprawił, że być może dowie się znacznie więcej. Gdyby któryś ze statków w zatoce należał do pirata, wiedziałby, że ktoś w San Marco przekazuje morskim zbójcom wiadomości przez Blackpool. Skoro, jak twierdził Layton, Szkuner został załadowany w San Marco towarami, można było podejrzewać, że przenoszono je tutaj na inny statek

Saldon podeszedł do baru. Po chwili jeden z jego kompanów wybiegł z tawerny.

Layton przechylił się przez stół.

- Co zamierza pan zrobić, jeśli zjawi się tu Rodrigo?

- Wymyślę jakąś historyjkę. Mimochodem wspomnę o swoim przełożonym.

Jeśli uda mi się doprowadzić do tego, by wymienił jego nazwisko, będziemy mieli to, czego szukamy.

- A jak się stąd wydostaniemy?

- Coś wymyślimy. - Hunt był już w gorszych miejscach i jeszcze tydzień temu cieszyłby się z tego wyzwania, jednak teraz musiał mieć na względzie dobro Daphne.

Minionej nocy nie była już tak bierna i uległa jak wcześniej, śmiało wyrażała swe żądania. Była w niej jakaś desperacja, zachowywała się tak, jakby mieli się już nigdy nie zobaczyć.

Nagle zapragnął jak najszybciej wrócić do San Marco, do Szeptu Fal.

Drzwi tawerny otworzyły się i do środka weszli dwaj mężczyźni - jeden krępy, z kręconymi brązowymi włosami, drugi śniady, ubrany w koszulę ozdobioną koronką, z kolczykiem w lewym uchu. Zerknąwszy na stolik Hunta, podeszli do baru i zamienili parę słów z właścicielem.

Po pewnym czasie śniady mężczyzna przeszedł przez salkę i usiadł na krześle zwolnionym przez Saldona. Przeniósł wzrok z Hunta na Laytona i uniósł gęste brwi.

- Lock? - Gdy Hunt skinął głową, zapytał: - Chcesz ubić interes? - Mówił z wyraźnym hiszpańskim akcentem. Hunt posłał Laytonowi kolejne ostrzegawcze spojrzenie.

- To zależy. Kim jesteś? Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Człowiekiem, który robi interesy w Blackpool.

To musiał być Rodrigo. Hunt powinien szybko wymyślić jakąś wiarygodną historię. By zyskać na czasie, wypił łyk trującego piwa.

- Poleciał mi ciebie nasz wspólny przyjaciel. Powiedział, że wszystko możesz załatwić. To prawda?

Rodrigo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jak się nazywa ten twój przyjaciel? Hunt udał czujność.

- Najpierw ty.

- Mam wielu przyjaciół, Brytyjczyku. Nie będziemy jednak tak gadać.

Rozmawiam tylko w cztery oczy. Tak jest najlepiej. Żadnych świadków. -

Wymownie popatrzył na Laytona, który na znak Hunta ruszył do baru. - Żadnych

świadków! - Kompan Rodriga chwycił Laytona za rękaw i pociągnął w stronę

tylnych drzwi. Właściciel udał się za nimi. Pirat popatrzył na Hunta. - Teraz jesteśmy sami. Mów.

- Nasz wspólny przyjaciel powiedział mi, że mógłbyś mi pomóc w drobnej sprawie.

- Drobnej? - Rodrigo roześmiał się. - Nikt nie przychodzi do Riga z drobnymi sprawami. A kim jest ten nasz wspólny przyjaciel? To twój król?

Hunt poczuł zimny pot na plecach. Czyżby Rodrigo znał jego tożsamość? Musiał jednak brnąć dalej.

- Dlaczego myślisz, że załatwiam sprawy dla króla? Rigo przechylił głowę w stronę drzwi.

- Jeden z moich ludzi zna twego przyjaciela od innej strony. Rozpytywał, węszył. Jeśli to on jest tym przyjacielem, który ci o mnie powiedział, to kłamał. - Z

tyłu domu dobiegł stłumiony krzyk. - Wyteż słuch, Lock, a usłyszysz plusk. Tak postępujemy ze zdrajcami. Twój przyjaciel już nim nie jest.

Hunt zmusił się do opanowania, choć wszystko w nim wrzało. Nawet nie drgnęła mu powieka. Nie po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji. Mogła go uratować tylko trzeźwość umysłu. Później zamierzał zrobić użytek z noża schowanego w bucie.

- Nic cię to nie obchodzi? - Rigo się uśmiechnął. - To dobrze. W takim razie nie będzie ci go brakować. A teraz mów, co chcesz załatwić.

- Chcę, by ktoś został porwany. Jeśli podam ci nazwę statku i datę, będziesz mógł zabrać z niego tę osobę?

- Chcesz okupu?

- Chcę, by zginął.

- A reszta statku?

Hunt wzruszył ramionami.

- Dobrze. Tym więcej dla mnie. Nazwisko?

Hunt pomyślał o człowieku równie groźnym jak on sam. Ten ktoś marzył o tym, by zabić Rodriga.

- Lord Auberville.

- Warunki?

- Żadnych warunków. Dostaniesz datę i statek, a ja Auberville'a.

Rigo złożył ramiona na piersiach.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka? Hunt uśmiechnął się lodowato.

- To już twój problem. Sprawdź to, przecież potrafisz.

- Widzę, że nie kłamiesz, Lock, ani nie składasz fałszywych obietnic. To mi się podoba. Przemyślę sprawę, dobra?

- Kiedy dasz mi odpowiedź?

- Rano.

Rano Hunta już tu nie będzie. Podobnie jak Riga. Wstał. Istniała szansa, że



jeszcze raz przechytrzy pirata.

- Idę spać. Będę czekał na odpowiedź rano.
- Co? Nie chcesz się zaprzyjaźnić, przekonać mnie, że mogę ci wierzyć?
- Nie musimy być przyjaciółmi. Łączą nas tylko interesy. Przypominam, że

rano chcę mieć odpowiedź. - Ruszył w stronę schodów, czując, jak włosy jeżą mu się na karku.

Usłyszał szuranie krzesła i tłumiony śmiech, jednak nie dobiegł go znajomy odgłos rapiera wyciąganego ze skórzanej pochwy. Dotarł do pokoju.

Znalazłszy się we wnętrzu, zaryglował drzwi, oparł się o nie plecami i zamknął oczy. Biedny Layton. Obaj znali smak ryzyka, wielokrotnie odradzano im wyprawę do Blackpool, mimo to Hunt obwinił się o śmierć agenta. To on przyzwolił na wyprowadzenie Laytona z sali. Jak będzie mógł z tym żyć? Jak za to odpokutuje? Być może już wkrótce nie będzie miał takich problemów. Istniały duże szanse, że dołączy do Laytona jeszcze przed nastaniem świtu.

Pokój znajdował się w końcu korytarza. Jedno okno wychodziło na zatokę, drugie na podwórze i wygódkę. Tak jak przypuszczał, pod oknem przechadzał się strażnik. Zapewne drugi czekał u podnóża schodów, dopóki nie zostanie podjęta decyzja, jak należy postąpić z „Lockiem”. Hunt był teraz więźniem.

Przystąpił do działania. Okno wychodzące na dziedziniec było zabite gwoździami, udało mu się jednak cicho otworzyć drugie, wychodzące na zatokę. Nie strzeżono go, gdyż stroma skalna ściana uniemożliwiała ucieczkę. Podarł prześcieradło na pasy, utworzył z nich linę i przywiązał ją do żelaznego łóżka. Potem cicho przysunął łóżko do okna, wyjął z buta nóż i chwycił go zębami. Po chwili zawisł nad zatoką na rozhuśtanej linie. Przy kolejnym wahnięciu znalazł się blisko występu skalnego i skoczył. Udało mu się chwycić skalnej półki i wsunąć stopę w szczelinę. Usłyszał grzechot kamyków spadających do zatoki. Nie przyciągnęło to jednak niczyjej uwagi, gdyż nikt się nie pojawił.

Podciągnął się na rękach i stanął na skalnym występie. Pozwolił sobie na

chwilę odpoczynku, patrząc w atramentowe niebo. Fale rozbijały się o brzeg z suchym trzaskiem.

Szybko odegnał te myśli i udał się w stronę tawerny. Trzymając w ręku nóż, zastanawiał się, czy nie powinien zabić wartownika. Nie miał jednak zamiaru uciekać. Poszedł w kierunku ścieżki prowadzącej do platformy, z której musiał skorzystać Rodrigo, by dostać się na swój statek.

Nie czekał długo. Zobaczył pirata w towarzystwie kompana z tawerny. Hiszpan wydawał polecenia.

- Zrzuć go ze skały, tak jak tego drugiego. Rano wyłowimy ciała, jeśli do tej pory nie zjedzą ich ryby. Szkoda, że musimy zabić tego Lockwooda. Niezły typek. Mój przyjaciel nigdy nikogo by do mnie nie skierował. Wysła tylko ciebie, Lowe.

Gdy Rigo mijał kryjówkę, Hunt złapał go od tyłu i poderżnął mu gardło. Rigo nie mógł nawet się bronić... podobnie jak Layton.

Lowe znieruchomiał. Hunt nie wiedział, czy go puścić wolno, ryzykując, że zaalarmuje towarzyszy, czy też zabić, tracąc szansę na zdemaskowanie zdrajcy.

Lowe już otwierał usta, by ostrzec kompanów. Hunt nie miał wyjścia. Pchnął na niego ciało Rodriga i obaj spadli ze skały. W ciemności rozległ się krzyk Lowe'a, stłumiony przez gniewny szum fal.

Hunt był już w połowie drogi do San Marco, gdy nagle uzmysłowił sobie, że Rigo znał jego nazwisko.

# Rozdział dwunasty

*Londyn*

*11 grudnia 1820*

Stojąc w sali balowej w domu lorda Bainbrooka, Elise pomyślała, że odwykła od okazywania sztucznej wesołości. Jednak w salonowym życiu nie wszystko było wymuszone. Londyńskie elity całkiem otwarcie okazywały jej wzgardę. Od dwóch tygodni była traktowana oziębło, słyszała zgryźliwe uwagi i czuła na sobie wiele wrogich spojrzeń. Nawet jej brat ją zignorował, nie odpowiadając na list, w którym powiadomiła go o swym powrocie do Anglii.

Nie powinna się temu dziwić. Kobiętę, która porzuciła męża, spotykał towarzyski ostracyzm, a cóż dopiero mówić o kobiecie, która do tego jeszcze porwała dziedzica i ukradła rodowe klejnoty. Mężczyźni traktowali ją tak, jakby obawiali się, że może mieć zgubny wpływ na ich żony.

Widać była jej pisana taka pokuta. Została skazana na towarzyszenie Barrettowi w roli skruszonej żony. Barrett wykorzystywał każdą nadarzającą się okazję, by ją upokorzyć i wprawić w zakłopotanie. Oczywiście musiała nosić skradzione klejnoty, włącznie z naszyjnikiem, który sprzedała w Bostonie. Dotknęła zimnych kamieni otaczających jej szyję. Miała wrażenie, że to katowska pętla. Czy zdoła jeszcze polubić diamenty?

- Miałem nadzieję, że ten naszyjnik będzie cię parzył, moja droga - powiedział Barrett, mocno ściskając jej ramię. - Wydałem majątek, by go odkupić. To dzięki niemu wpadliśmy na trop. Cieszę się, kiedy ludzie widzą cię z tymi diamentami na szyi.

Wzruszyła ramionami.

- Musieliśmy kupić żywność i znaleźć schronienie. Wiedziałam, że wiele ryzykuję.

- Teraz pewnie tego żałujesz.

- Żałuję tylko tego, że posłałam Williama do szkoły w Charlestonie. Nie znalazłbyś nas, gdybym wybrała dla niego szkołę na San Juan.

- Tylko tego? - zapytał jadowitym tonem.

- Żałuję też, że przed laty nie zostałam w domu dłużej. Gdybym zorientowała się, że żyjesz, dokończyłabym dzieła.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

- Nigdy mnie nie zawodzisz, Elise. Im bardziej cierpisz, tym słodsze jest moje zwycięstwo. Nigdy nie zapomnę twojej miny, kiedy przyjechałaś tu, by ratować Williama, i zobaczyłaś mnie.

- Mówisz o zwycięstwie? Po tym wszystkim nie powinieneś już nigdy zaznać spokoju sumienia.

Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- Jestem spokojny, a poza tym wiem, że mnie nie zaatakujesz. Nie zrobisz tego, dopóki mam Williama. Mój brat wie, gdzie on jest i co ma zrobić, jeśli coś mi się stanie. Elise, nie masz wyboru. Musisz robić wszystko, by mnie zadowolić. Nie próbuj nawet się komuś zwierzyć czy prosić o pomoc. To oznaczałoby zerwanie naszej umowy, a zapłaciłby za to William.

Bywała więc z mężem na przyjęciach, odgrywając rolę skruszonej, uległej żony. Nie zamierzała jednak pozwolić mu na zbliżenie. Nie mogła nawet o tym myśleć. Wciąż wspominała Hunta, jego pieszczoty i czułości. Czułaby się zbrukana, dając do siebie przystęp Barrettowi. Aż zadrżała na tę myśl.

- Obiecałeś, że w przyszłym tygodniu będę mogła zobaczyć się z Williamem. Jeśli okaże się, że coś jest nie tak, nici z naszej umowy.

- I co wtedy? - zadrwił Barrett. - Mam prawo zdyscyplinować moją żonę i syna, jeśli uznam to za stosowne. Mogę nawet oskarżyć cię o usiłowanie zabójstwa i

zrobię to, Elise, jeśli będziesz chciała mnie opuścić. Jak myślisz, ile razy zobaczysz swego bachora w więzieniu?

- Chciałbyś, żeby wszyscy dowiedzieli się, jak naprawdę wygląda nasze małżeństwo? Być może masz prawo bić żonę i dziecko, Barrett, lecz to cię deklasuje i kompromituje. Chcesz doświadczyć uprzejmej wrogości, jaką ja muszę znosić?

- Po tym, co zrobiłaś, nikt nie będzie mnie o nic winił. Myślę nawet, że każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo. Większość naszych znajomych ma mnie za świętego, bo przyjąłem cię z powrotem pod dach.

- A druga połowa ma mnie za idiotkę, bo wróciłam - mruknęła pod nosem.

- Byłaś pokorniejsza, zanim nie zaznałaś wolności, moja droga. Stałaś się bardzo gadatliwa.

- Nie jestem tą samą kobietą, którą próbowałeś zabić, Barrett. Jestem silniejsza i nauczyłam się walczyć o swoje. Wiem, że nie mogę ci się teraz podobać.

Skrzywił się.- Nie podobała mi się kobieta, którą byłaś. No, przyznaj się, czego tam zaznałaś, Elise? Rozłożyłaś nogi przed jakimś kochasiem? Dałaś mu to, czego mnie odmawiasz?

- Boisz się porównań, Barrett?

Ścisnął jej ramię tak mocno, że poczuła silny ból. Jutro będzie miała sińce.

- Nie prowokuj mnie, żono, bo pożałujesz.

Jak bardzo żałowała, że wyszła za Barretta, jak bardzo żałowała, że nie umarł po jej ciosach w głowę... A już najgorsze, że znalazł Williama.

Wolała nie wyobrażać sobie mężowskiej zemsty, gdyby dowiedział się o jej romansie z Huntem. Zamierzała poczekać, aż Barrett przestanie pilnie ją śledzić, i odszukać Williama. Tym razem na pewno zdoła zapewnić synowi bezpieczeństwo, nawet gdyby miała, skutecznie tym razem, zostać wdową. Tak, przekroczyła pewną granicę. Była zdolna do świadomego, przeprowadzonego na zimno morderstwa.

- Uśmiechaj się - syknął. - Nadchodzą nasi gospodarze.

Hunt popijał whisky. Z sali balowej dobiegały dźwięki muzyki. Lord Eastman, siedzący za biurkiem w bibliotece lorda Bainbrooka, kończył sporządzać notatkę służbową. Uniósł wzrok znad kartki papieru.

- Więc zabił pan Rodriga?

Hunt przytaknął skinieniem głowy.

- Jednego pasożyta mniej - mruknął Eastman, dopisując coś do notatki. -

Dziękuję, że uporał się pan z tym zadaniem.

- To nie było morderstwo na tle politycznym, tylko sprawa osobista - wyjaśnił beznamiętnym tonem Hunt.

Eastman wzruszył ramionami.

- Co pan sądzi o Blackpool?- To nie jest baza piratów. - Nalał sobie kolejną szklankę whisky. - Raczej ich azyl.

- Co to znaczy?

- W Blackpool nie ma żadnych władz. Panuje tam dziwna, ponura atmosfera, nastrój przygnębienia, choć zapewne dochodzi do różnych awantur. Jedynym prawem jest prawo zysku. Obcy są zastraszani. Można odnieść wrażenie, że tamtejsi mieszkańcy nie mają przeszłości ani przyszłości. Rozmowy prowadzi się ściszonymi głosami, dokonuje się aktów przemocy, a ślady są szybko zacierane.

- Sugeruje pan, że należy zrównać to miasto z ziemią? Hunt natychmiast pomyślał o Laytonie. Wiedział jednak,

że nie powinien kierować się względami osobistymi.

- Nie sądzę. To niewielkie, słabo zaludnione miasteczko. Myślę, że wystarczy raz na miesiąc wysłać okręt wojenny do San Marco, a wiadomość o tym szybko przedostanie się do Blackpool. W końcu tamtejsi ludzie uznają, że to utrudnia im prowadzenie nielegalnych interesów, i znajdą sobie inne miejsce.

- Hm... - Eastman postukał palcem w biurko. - No właśnie, Lockwood.

Dlaczego Bascombe na to pozwala? Uważa pan, że gubernator należycie wywiązuje się ze swych obowiązków?

- Przez pół dnia Bascombe trzeźwieje, dlatego wiele obowiązków spada na Doyle'a, tamtejszego charge d'affaires, chociaż ma on mocno ograniczone pole działania. Zdaniem Laytona i kilku mieszkańców San Marco, Blackpool jest traktowane tak, jakby w ogóle nie istniało. To, co proponuję, jest łatwiejsze niż zaprowadzenie porządku siłą. Wystarczy tylko pogrozić.

- Czy Bascombe może być w zмовie z mieszkańcami Blackpool albo piratami?

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by to ustalić, jednak nie udało mi się znaleźć żadnych dowodów. Wiem jednak, że Rodrigo znał moje nazwisko, co sugerowałoby przepływ informacji pomiędzy San Marco a Blackpool.

- Kim jest ów informator?

Hunt pociągnął tęgi łyk whisky. Przyjmując od Eastmana zlecenie, był gotów wtajemniczać go we wszystko, teraz jednak nie ufał już nikomu, nawet podsekretarzowi stanu. Wiadomości o ruchach statków były przekazywane do Blackpool z San Marco, więc szpieg musiał tam mieszkać albo mieć kontakty na wyspie. Hunt postanowił nie ujawniać swych podejrzeń.

- Jest jeszcze zbyt wcześnie na wnioski. Badam możliwe powiązania. Wolałbym, żeby nikomu pan nie mówił o naszej rozmowie.

- Może pan być spokojny, Lockwood. Zleciłem panu bardzo poufną misję. Nikt nie wie, że pan dla nas pracuje.

- Dla „nas”, czyli dla kogo?

- Dla lorda Auberville'a i ministra, rzecz oczywista.

Hunt ufał Auberville'owi niemal bezgranicznie, darzył także zaufaniem ministra spraw zagranicznych, jednak wszyscy pozostali byli potencjalnymi zdrajcami.

- Czy to właśnie dlatego tutaj wyznaczył mi pan spotkanie? Nie chce pan, bym pokazywał się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

- Właśnie. Teraz może już pan udać się na przyjęcie.

- Idę do domu. Nie zdążyłem się przebrać po podróży, a poza tym czeka na mnie stos korespondencji.

- Jest tu mnóstwo pańskich znajomych, Lockwood. Mógłby się pan z nimi przywitać i wysłuchać plotek o ostatnich skandalach. - Roześmiał się. - Prawda jest czasem ciekawsza i dziwniejsza niż fikcja literacka. Słyszał pan, że wróciła krnąbrna żona Barretta? Hunt mgliście przypominał sobie tę sprawę. Mówiono coś o żonie, która uciekła w środku nocy, zabierając z sobą jedyne dziecko. Nie zwracał wtedy uwagi na te plotki, jako że nigdy nie spotkał owej żony, a poza tym gardził tępym brutalem Barrettem.

- Wróciła? W rzeczy samej, to dziwne. - Whisky sprawiła, że był nawet ciekaw, jaka kobieta mogłaby wrócić do typu takiego jak Barrett. Musiało jej się nie powieść w życiu, może dlatego, że była bardzo nieatrakcyjna.

Eastman wyszedł z biblioteki. Hunt odczekał pięć minut i udał się na przyjęcie. Porozmawiał z kilkoma przyjaciółmi i ze swoim bratem, Charliem, obiecując mu, że do niego wstąpi, i sięgnął po kieliszek wina z tacy niesionej przez lokaja. Miał ochotę poznać żonę Barretta.

W sali balowej ujrzał grupkę kobiet, które szeptały coś za wachlarzami. Zapewne plotkowały o najświeższym skandalu. Pomyślał, że lady Barrett trudno będzie teraz znaleźć przyjaciół. Damy przypatrywały się parze odwróconej do niego tyłem, która rozmawiała z lordostwem Bainbrook. Barrett niezauważalnie dla innych szczypał ramię żony.

Poczuł ściskanie w żołądku. Kolor włosów żony Barretta i smukła szyja przypominały mu... Najwyraźniej miał przywidzenia.

- ...wieczór. Dziękujemy za zaproszenie, lady Bainbrook. Ogarnęła go złość; poczuł się zdradzony. Nie mógł się mylić. Rozpoznałby ten głos wszędzie. W jego głowie zaroilo się od pytań, lecz nie był to odpowiedni czas na szukanie odpowiedzi.

Stanął tuż za tą parą, kłaniając się lordowi Bainbrookowi. Zauważywszy skinienie głowy gospodarza, para odwróciła się. Oczy Daphne stały się okrągłe jak



spodki, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie, które jednak natychmiast zniknęło, więc zapewne nikt prócz Hunta go nie zauważył. Jej spojrzenie mówiło mu wiele i sprawiło niemałą satysfakcję. Była to pewna pociecha w bólu, jaki mu zadała. Barrett ostrożnie skinął głową.

- Witam, Lockwood. Dawno pana nie widziałem.

- Witaj, Barrett. Nie było mnie w Londynie. - Miał wrażenie, że w oczach Daphne kryje się niema prośba. Przeraził się.

- Nie poznałem chyba jeszcze dotąd pańskiej żony.

- Madame, przedstawiam ci Reginalda Huntera, hrabiego Lockwooda - zaczął prezentację Barrett. - Lordzie Lockwood, to jest moja żona, lady Elise Barrett.

Więc Daphne to Elise? - Uniósł do warg jej dłoń, wciąż szorstką od ciężkiej pracy. Czuł, że jej palce drżą. Przedłużył pocałunek i wyprostował się dopiero po ostrzegawczym chrząknięciu małżonka.

- Jest urocza - powiedział do wyraźnie poirytowanego Barretta, który był tylko wicehrabią. Hunt znacznie przewyższał go pozycją, nie spodziewał się więc, by Barrett otwarcie okazał mu niechęć, dopóki nie zacznie poczynać sobie bardziej zuchwale. - Gdzie się pani podziewała, madame?

Elise gwałtownie zaczerpnęła tchu. Lord Bainbrook i jego żona szybko odeszli pod byle pretekstem. Hunt uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Byłam...

- Przebywała poza Londynem, Lockwood - wyjaśnił Barrett, mierząc żonę karcącym spojrzeniem. Huntowi było jej żal... mimo wszystko.

- Poza Londynem... Czy mogę panią prosić do tańca?

- Ja...

- Moja żona nie lubi tańczyć, Lockwood. Hunt się uśmiechnął. Dobrze wiedział, że to nieprawda. Pamiętał, jak wdzięcznie wirowała z nim w walcu na przyjęciu u gubernatora. Popatrzył na Elise w nadziei, że zaprzeczy, jednak już skryła swe prawdziwe oblicze za maską obojętności.

- Wielka szkoda. Pozostaje mi mieć nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Ta niedwuznaczna sugestia osiągnęła zamierzony skutek. Barrett zgromił Hunta wzrokiem, zaś oczy Elise rozszerzyły się ze zdumienia. Owszem, będzie chciała zamienić z nim słówko, choćby po to, by poprosić go o zostawienie jej w spokoju.

Skłonił się głęboko i oddalił.

Nie podeszła już do niego na tym przyjęciu, choć zapewne nie z własnego wyboru. Barrett przez cały czas trzymał ją pod ramię, jakby w obawie, że żona znów mu ucieknie. Hunt nie dostrzegł jednak żadnych śladów buntu u Elise. Była dziwnie apatyczna, a prawdziwych emocji domyślił się jedynie po drzeniu ręki. Najwyraźniej bała się, że Hunt ją zdradzi. Nie wiedział jeszcze, jak powinien postąpić.

Powrócił do biblioteki Bainbrooka, nalał kolejną szklankę wybornej whisky i usiadł w skórzanym fotelu przed kominkiem. Nie lubił niewyjaśnionych spraw. Dlaczego Elise tak nagle i bez słowa wyjechała z St. Claire? Dlaczego nie wyjawiała mu swej prawdziwej tożsamości? Dlaczego tak cudownie mu się oddawała, skoro była mężatką? Czyżby jedynie z nim igrała, wiedząc, jak wiele dla niego znaczy? Wyszedł na durnia.

Popełnił mnóstwo haniebnych czynów w imię racji stanu. Zabijał, okradał i porywał wrogów jak człowiek pozbawiony sumienia. Podejmował się zadań, którymi brzydzili się inni i które odciskały piętno na jego duszy, jednak nigdy nie popełnił grzechu cudzołóstwa... nie uwodził cudzych żon... aż do chwili, gdy w jego życiu pojawiła się Elise.

Teraz złamał już wszystkie przykazania. Elise pozbawiła go resztek skrupułów. Wypił duszkiem whisky i zamknął oczy, ciesząc się miłym pieczeniem w gardle i ciepłem rozchodzącym się po całym ciele. Gdyby tak alkohol mógł wypalić gniew...

- Jesteś strasznie ponury, Lockwood.

Otworzywszy oczy, ujrzał Tristana Sinclaira, lorda Auberville'a, który

nalewał sobie brandy.

- Daj mi spokój, Sinclair.

- Mam cię zostawić, mimo że masz jakiś problem? Nie miałabym prawa mienić się twoim przyjacielem.

- Jesteś świetnym przyjacielem, ale nie wypada mi się przyznawać do tego, o czym myślę.

- A więc chodzi o kobietę. - Sinclair usiadł w fotelu naprzeciw Hunta. - Widzę, że to poważna sprawa.

- Wpadłem po uszy... Powiedz mi, co wiesz o lady Barrett... i nie pytaj, dlaczego.

- Hm... - Sinclair uniósł brwi. - Dobrze. Pięć, może sześć lat temu, tuż przed twoim powrotem z kontynentu, lord Barrett otrzymał cios w głowę. Jego żona uciekła, zabierając z sobą syna i rodowe klejnoty Barrettów. Chociaż wicehrabia nigdy się do niczego nie przyznał, przypuszczano, że żona miała już dość życia w jarzmie. Barrett zawsze starał się dbać o swoją reputację, jednak w towarzystwie nie ceniono go zbyt wysoko. Po tym, jak jego żona wróciła, i to z klejnotami, przypuszcza się, że pożałowała swego... uchybienia i podjęła rozsądną decyzję. Nic w tym nadzwyczajnego, pewnie codziennie na świecie dzieje się wiele takich rzeczy.

Podjęła rozsądną decyzję? - pomyślał Hunt. Czy to znaczy, że wołała Barretta niż jego? Nie powinien się temu dziwić. Jego grzechy były o wiele większe niż wicehrabiego, choć nie tak widoczne. Wszystko układało się w spójną całość, włącznie z diamentami otaczającymi jej smukłą szyję. Sinclair odchrząknął.

- Eastman mówił mi, że masz informacje dotyczące naszego zamorskiego kłopotu.

- Kłopotu? Żeby można było tak to nazwać... Mówił ci, że nie poczyniłem wielkich postępów?

- Mówił tylko, że wreszcie coś się ruszyło. Jeszcze nie możemy wszystkiego wyjaśnić, ale zmniejsza się liczba znaków zapytania.

Hunt popatrzył na drzwi i zniżył głos do szeptu.

- Ta sprawa sięga najwyższych szczebli, tak myślę. Odpowiedzi powinniśmy szukać w Londynie, a nie na Karaibach. - Przypomniał sobie, że podał Rodrigowi nazwisko Auberville'a. Pirat nie żył, jednak przed śmiercią mógł je komuś wyjawić.

- Tak czy owak, trzymaj się z dala od tamtych wód.

Sinclair ze zdziwieniem popatrzył na Hunta, lecz o nic nie zapytał.

- Powiedziałeś Eastmanowi o swych podejrzeniach?

- Nie. - Aha...

- Zamierzam sprawdzić dokumenty w towarzystwie ubezpieczeniowym Lloyda, konta bankowe, interesują mnie też inwestorzy - rzekł Hunt.

- Pieniądze są źródłem wszelkiego zła. - Sinclair uniósł kieliszek. - Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać.

## *Rozdział trzynasty*

Następnego popołudnia Hunt zawitał w swym biurze przy Bow Street. Spodziewał się, że gabinet został przyznany komuś innemu, złożył przecież rezygnację tuż przed przyjęciem zlecenia od Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- O! Jednak to ty. Howe mówił, że widział, jak tu wchodzisz, ale mu nie uwierzyłem. Nie powinieneś być teraz w Indiach Zachodnich?

Hunt uśmiechnął się do swego szwagra. Biuro Ethana znajdowało się w tym samym korytarzu.

- Wróciłem wczoraj. Jak się masz, Ethan?

- Doskonale, podobnie jak Sarah. Nie poznasz naszej córki. Twoja siostra poczuje się urażona, jeśli nie przyjdiesz dziś na kolację. Na pewno chciałaby

wysłuchać twych opowieści z podróży.

- Niestety, musiałbym pominąć wiele szczegółów.

- Jak ci się tam wiodło?

- Tak jak się spodziewałem. Nie była to kompletna strata czasu, jednak nie mogę pochwalić się wielkimi osiągnięciami. Czyżby nikt nie przeczytał mojego podania o zwolnienie, skoro wciąż mam swoje biuro? Ethan Travis uśmiechnął się i usiadł na krześle naprzeciwko Hunta.

- Zjrzyj do szuflady.

Leżało w niej podanie zaadresowane do ministra.

- Jak to możliwe?

- Kazał to odłożyć i nie nadawać biegu sprawie. Ma nadzieję, że po powrocie zmienisz zdanie. Mówiłem, że podjąłeś nieodwołalną decyzję, ale...

- Miał rację, Ethan. Zmieniłem zdanie.

- O... Mogę zapytać, z jakiego powodu?

- Możliwe, że będę musiał kogoś zabić, i wolałbym to zrobić jako pracownik ministerstwa do zadań specjalnych, a nie jako prywatny człowiek.

Ethan zaniemówił na dłuższą chwilę.

- Ty nie żartujesz. Mogę ci jakoś pomóc?

- Chyba że chcesz zostać mordercą. Dziękuję, ale chciałbym to załatwić jak najszybciej, a potem złożyć rezygnację.

- To bardzo ucieszy Sarah. Ostrzegam, że chce przedstawić ci wiele pięknych panien. Uważa, że przynajmniej jeden z jej braci powinien być żonaty, a ty idziesz na pierwszy ogień.

- Uśmiechnął się. - Raczej się nie wywiniesz.

Hunt otworzył inną szufladę. Wciąż była w niej butelka brandy. Nalał dwa kieliszki i wznosił toast:

- Za piękne panie, których nie zamierzam poznawać.

- Ejże... Moja żona bywa strasznie uparta, jak sobie coś wbije do głowy.

- Dobrze znam moją siostrzyczkę, ale ja nie nadaję się na męża. To Andrew będzie musiał spłodzić dziedzica. Powiedz Sarah... nie, sam jej to powiem. O której jest kolacja?

- O ósmej. - Ethan uważnie przyjrzał się szwagrowi. - Rozmawiałeś z Charliem?- Tylko przez chwilę. Mieliśmy się spotkać u niego, ale byłem zajęty i nie udało mi się go odwiedzić.

- Czyżbym słyszał moje imię? - Na progu stanął młodszy brat. Ujrawszy kieliszki, uśmiechnął się do Hunta. - Zostało coś dla mnie?

- Co ty tu robisz?

- Pracuję.

- Niemożliwe. - Hunt poczuł bolesny skurcz żołądka.

- Przepraszam, ale to prawda.

- Dlaczego podjąłeś tę decyzję? Charlie popatrzył prosto w oczy brata.

- Wolałbyś, żebym próżnował i wałęsał się po salonach?

- Co w tym złego?

- A to, że czułem się jak pasożyt. Wiem, że nie jesteś zadowolony, widząc mnie tutaj, ale już się stało.

Charlie uchodził za lekkoducha, lecz Hunt wiedział, że brat poważnie traktuje życie.

- Porozmawiamy o tym później, Charles. Będę musiał ustalić z ministrem zakres twoich obowiązków.

- Za późno. Zostałem przydzielony ci do pomocy.

Jak Hunt mógł zrobić to, co zamierzał, mając za plecami brata? Będzie musiał przydzielić mu inne, i z pewnością bezpieczne zadania.

- Nie możesz traktować mnie ulgowo - rzekł Charlie, jakby czytał w jego myślach. - Sądzisz, że nic nie wiem, Hunt? Myślisz, że nie słyszałem plotek o tobie, nie zauważyłem, że twoi koledzy czują się nieswojo w twoim towarzystwie? Już od dłuższego czasu wiem, co robisz... i z jakich pobudek.

Hunt popatrzył na Ethana.

- Powiedz mu...

- Przykro mi, ale on naprawdę wie. Hunt chciał, by Charlie stał się członkiem korpusu dyplomatycznego, było już jednak na to za późno. - Usiądź, Charlie. Powiem ci, co i jak.

Kim jest ta kobieta?

Elise patrzyła na swe odbicie w lustrze toaletki. Oczy, usta, nos wydawały jej się znajome, jednak wyraz twarzy bardzo się zmienił. Stała się kobietą, którą udawała.

Zegar na biurku wybił siódmą. Zaczęła szczotkować włosy. Widziała w lustrze fotel, który tarasował wejście. Tak wyglądało teraz jej życie. Nie życzyła sobie nawet towarzystwa pokojówki. Dobrowolnie skazała się na więzienie bez krat, stała się zakładniczką bezpieczeństwa syna.

Zastanawiała się, co począć. Nie była w stanie myśleć, jeść ani spać. Po nużącej podróży popędziła z portu do swego domu w Mayfair, zostawiając na pokładzie bagaże, które miały zostać odebrane później. Niestety, w domu nie zastała Williama, natomiast czekał na nią Barrett.

Był pewien jej przyjazdu. Nie musiał jej szukać. Wystarczyło, że zabrał Williama, a list dyrektora dopełnił reszty. Najgorsze było to, że Barrettowi wcale nie zależało ani na niej, ani na synu. Zadał sobie trud odszukania Williama, gdyż głęboko uraziła jego dumę. Mężczyzna opuszczony przez żonę był wystawiony na pośmiewisko, tymczasem on chciał popisywać się męską władzą i korzystać ze swych „praw”. Z pewnością pragnął też odzyskać pozycję w towarzystwie. Nie zadał sobie trudu, by odebrać jej bagaż od kapitana Gilberta, dopóki nie wyznała, że przywiozła rodową biżuterię.

Popatrzyła na fotel u drzwi. Nie dała Barrettowi prawa wstępu do łóża. Mimo iż przystał na to, każdej nocy pukał do jej sypialni. Potem odchodził, by nie narażać

się na plotki służby. Zbliżał się jednak dzień prawdziwej próby. Barrett nie był w stanie długo żyć ze świadomością odtrącenia.

Najbardziej żał jej było Lockwooda. Gdyby nie poznała smaku rozkoszy, być może zdołałaby znieść dotyk męża. Łzy napłynęły jej do oczu, lecz szybko je otarła. Minionego wieczoru, gdy na nią krzyczał, miała ochotę umrzeć. Niestety, nie nie mogło zmienić faktu, że była żoną lorda Barretta i pozostanie nią tak długo, dopóki William pozostanie w jego rękach.

Lockwood musiał ją znienawidzić. Patrzył na nią z pogardą. Jego wzrok mówił, że miłość przeminęła i pozostał mu po niej jedynie ból. Tymczasem Elise zawsze będzie go kochać.

Nawet Barrett wyczuł niechęć Lockwooda.

- Nie wiem, kogo z nas Lockwood nie cierpi bardziej, madame, a przecież nie zrobiliśmy mu nic złego. A może jest coś, o czym nie wiem, Elise? Może potajemnie z nim się spotykałaś?

Lockwood ją opuścił. Nie chciała uznać, że miał do tego prawo. Stawała się przebiegłą lisicą. Cudzołożyła, kłamała, kradła, gotowa była zabić... czy istniał jakiś grzech, którego nie popełniła dla dobra syna lub z miłości?

Uznawszy, że uzalanie się nad sobą nie ma sensu, włożyła aksamitną śliwkową suknię i wygładziła ją na biodrach. Barrett zapewne każe jej tym razem założyć biżuterię z ametystów, by śmietanka towarzyska Londynu zobaczyła, że odzyskał wszystkie klejnoty. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że będzie musiał otworzyć swój sejf w bibliotece. Nie ufał jej i nie pozwalał, by trzymała biżuterię w swym pokoju.

Usłyszała odgłos przekręcanej gałki u drzwi. Przeniknął ją zimny dreszcz, gdy drzwi nieznacznie się uchyliły, jednak po chwili usłyszała kroki odchodzącego Barretta.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, dopiero teraz uświadamiając sobie, że dotąd wstrzymywała oddech. Nie miała złudzeń. Jego wizyta w jej sypialni była już tylko kwestią czasu.



Elise stała samotnie przy kominku w sali balowej. Po powrocie z Karaibów trudno jej było się przyzwyczać do niskich zimowych temperatur. Gdyby nie mróz, najchętniej wyszłaby do ogrodu lorda Carlina, by zobaczyć słynne lodowe rzeźby.

Niestety Barrett domagał się, by stale była w jego polu widzenia. Pogrążony w rozmowie z dwoma mężczyznami, w pewnej chwili popatrzył na Elise i roześmiał się. Znajomi zawtórowali mu śmiechem. Poczula, że się rumieni. Nie miała pojęcia, co im powiedział. Wszystko jedno, najważniejsze, że nie musiała znosić jego towarzystwa.

Rozejrzała się po pokoju, na próżno starając się wypatrzeć w tłumie choć jedną przyjazną twarz. Barrett przedstawił ją tylko gospodarzom przyjęcia i nikt nie próbował zabawić jej rozmową. Gdzie podzieli się jej dawni przyjaciele? Było ich zresztą niewiele, gdyż Barrett od dnia ślubu izolował ją od ludzi.

Szczelniej otuliła się kaszmirową chustą. Zegar na kominku wybił jedenastą. Było jej zimno. Jak długo jeszcze będzie musiała tu tkwić? Orkiestra zaczęła grać kolejny kawałek. Elise ruszyła w stronę holu. Miała ochotę skryć się w gotowalni.

Usłyszała radosny śmiech w korytarzu. Z drugiej strony nadchodziła spora grupa gości, wśród których dostrzegła Lockwooda. Odwróciła się, lecz było już za późno.

- Madame! - zawołał.

Odwróciła się, udając zaskoczenie. Miała nadzieję, że nie zamierza przyprawiać jej o zakłopotanie.

- Dobry wieczór, lordzie Lockwood. Uśmiechnął się. Wiedział, że jest na niego wściekła.

- Dobry wieczór, lady Barrett. Pozostali z zainteresowaniem patrzyli na tę scenkę. Jeśli Lockwood nie przedstawi jej znajomych, Elise uzna to za zniewagę. Odczekał dobrą chwilę.

- Madame, przedstawiam pani mojego brata, Charlesa Huntera, oraz moją siostrę i jej męża, lorda Ethana i lady Sarah Travis.

Panowie skłonili się, a lady Sarah, urodziwa, szczupła kobieta o fiołkowych oczach, podała rękę Elise.

- Miło mi panią poznać, madame.

Było to pierwsze szczere powitanie od czasu powrotu Elise do Londynu. Być może lady Sarah nie słyszała jeszcze plotek o lady Barrett.

- Mnie również, lady Sarah.

Można było odnieść wrażenie, że Lockwood żałuje, iż dokonał prezentacji.

- Idźcie na salę - powiedział. - Dołączę do was za parę minut. Przez chwilę Elise i Hunt stali w milczeniu.

- Nareszcie jesteśmy sami, Daphne - powiedział. Pomyślała, że użył jej przybranego imienia, by ją zranić.

- Przypuszczam, że nie wystarczą ci moje przeprosiny?

- Nie mylisz się - odpowiedział ironicznie, lecz jego twarz pozostała nieprzenikniona.

- Niestety nie mogę obiecać poprawy. Przesunął palcem wzdłuż jej ramienia.

- A w mojej głowie aż się roi od różnych pomysłów. Poczula miękkość w kolanach.

- Przecież wiesz, że nie mogę...

- Wcześniej nie miałaś podobnych skrupułów. Dlaczego udajesz świętoszkę? Czy grzeszenie w Londynie to coś innego niż grzeszenie na St. Claire?

- Nie wiedziałam, że Barrett... - urwała, nie zamierzając wyznać mu prawdy. Niczego by to nie zmieniło, a tylko spotęgowało ból - ...mnie znajdzie.

- Zrobiłaś ze mnie cudzołożnika, Elise. To był jedyny grzech, którego dotąd nie popełniłem. Powiedz, czy śmiałaś się w duchu, kiedy prosiłem cię o rękę? - zapytał głosem pełnym goryczy.

- Lepiej już o tym nie mówmy.

- Nie dam się tak łatwo zbyć. - Położył rękę na jej ramieniu. - Mam prawo do rekompensaty. Myślę, że pomału, krok po kroku, będę sięgał po swoje.

- Barrett...

- To nędzny łajdak - dokończył. - Nie jest w stanie w niczym mi przeszkodzić.

Nie pomyślał o tym, że Barrett wyładuje swą złość na niej. Najwyraźniej było mu to obojętne. Zamierzała udzielić mu ciętej odpowiedzi, gdy wtem usłyszeli:

- Proszę, proszę! Co ja widzę! Wspominają państwo St. Claire? Poczwała ulgę, lecz zaraz potem ogarnął ją strach.

- Panie Doyle, miło pana widzieć.

- Doyle, co pan tu robi? - zapytał Lockwood.

- Tu, to znaczy w Anglii? - zapytał z uśmiechem. - Nasza dzielna mała ciastkarczka panu nie powiedziała? Przy płynęliśmy jednym statkiem, a wiosną wybieram się do Indii.

- Podróżowali państwo razem? - Lockwood popatrzył na Daphne z wyraźnym obrzydzeniem, zapewne przypuszczając, że sypiała z Doyle'em.

Pokręciła głową, mając nadzieję, że zrozumie jej gest.

- Tak - odparł Doyle, najwyraźniej nie dopatrując się w tym pytaniu żadnych podtekstów. - Gdyby nie pani, zanudziłbym się na śmierć. Jako jedyna osoba na pokładzie doskonale grała w wista. Nietrudno wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy wyznała mi, że w istocie jest lady Barrett.- Powiedziała panu o tym?

- Nie było sensu dłużej utrzymywać tego w tajemnicy, skoro wracałam do domu. - Elise omal nie zadławiła się swymi słowami. - Pan Doyle okazał się na tyle uprzejmy, że nie musiałam całymi dniami nudzić się w swej kabinie.

- Miała pani szczęście, że pan Doyle zapewnił pani rozrywkę - rzekł Lockwood.

Doyle przeniósł wzrok z Elise na Lockwooda i zapytał:

- Czyżbym przeszkodził państwu w rozmowie?

- Nic podobnego. Już ją skończyliśmy - odpowiedział Hunt.

- Co za diabeł w niego wstąpił? - zapytał Doyle, gdy Lockwood wszedł do

sali balowej. - Obraził się? Co ja takiego powiedziałem?

- Nic. To nie pana wina. Obawiam się, że to ja uraziłam lorda Lockwooda.

- Pani? Niemożliwe. Nie mówmy jednak o Lockwoodzie. Jestem ciekaw, jak się pani wie. Wiem, że myślała pani, iż mąż nie żyje. Musiał panią zaskoczyć jego widok. Jak panią przyjął?

- Spodziewał się mojego przyjazdu, panie Doyle. Wcześniej przywiózł przecież do Anglii mego syna.

- A jak się miewa William? Martwiła się pani o jego zdrowie.

- William czuje się dobrze, a Barrett przyjął mnie z powrotem.

- A więc wszystko pani wybaczył. Uważam, że byłby głupcem, nie przyjmując pani pod swój dach. Jest pani niezwykłą kobietą. Jestem tylko zaskoczony, że tak długo mieszkała pani z nami na St. Claire, a nikt się niczego nie domyślił. - Przyniósł się bliżej i powiedział szeptem: - Nikomu nie zdradziłam pani tajemnicy. Nigdy nie zdradzam kobiecych sekretów. - Gdy skwitowała uśmiechem jego wyznanie, dodał: - Przykro mi, że nie pożegnałam się z panią. Szukałam pani, ale kapitan Gilbert powiedział, że bardzo się pani śpieszyła i bez bagaży opuściła pokład, ledwie opuszczono trap.

- Barrett posłał po nie służkę - odpowiedziała, mgliście przypominając sobie, że jej walizka została wniesiona na strych zaraz po tym, jak Barrett wyjął z niej klejnoty. Nie mogła teraz korzystać z lekkich ubrań przywiezionych z wyspy. - Proszę powiedzieć mi coś o sobie. Wyjeżdża pan do Indii?

- Tak, do jednej z północnych prowincji. Po St. Claire to duży awans, więc bardzo się cieszę. Uczę się języka hindi, poznaję historię kraju i jego... ale to pani z pewnością nie interesuje. Po prostu przygotowuję się do nowego zadania.

- Jak pan sobie życzy. - Wolałaby, żeby Doyle nie wyjeżdżał. Był jej jedynym przyjacielem w Londynie.

- Pozwoli pani, że zaprowadzę ją na salę balową. Mogę mieć nadzieję na taniec?

Przeszył ją dreszcz na myśl o Barretcie.

- Mój mąż jest bardzo zazdrosny. Życzy sobie, żebym tańczyła tylko z nim.
- Rozumiem... Na jego miejscu też byłbym zazdrosny.
- Jest pan bardzo miły, panie Doyle. - Nazbyt miły, pomyślała.
- Wejdźmy na salę. Rad bym poznać pani męża.
- Obawiam się, że mógłby nie zrozumieć istoty naszej przyjaźni. Z

przyjemnością dokonam prezentacji, proszę jednak nie wspominać o tym, że płynęliśmy tym samym statkiem.

- Jak pani sobie życzy, madame...

## *Rozdział czternasty*

Hunt stał przy drzwiach sali balowej, mając ochotę znieczulić się alkoholem. Tkwił tu już od dobrej godziny. Ilekroć mijał go lokaj z tacą, sięgał po kolejny kieliszek wina. Po drugiej stronie pomieszczenia, przy kominku stała Daph... Elise. Przedstawiwszy Gavina Doyle'a mężowi, została sama.

Prezentowała się wspaniale w śliwkowej sukni, przypominającej kreację, którą nosiła na St. Claire. Haftowana jedwabna chusta mieniła się tęczą barw, doskonale komponujących się z kolorem sukni. Całości dopełniał naszyjnik z ametystów i ametystowe szpilki wpięte we włosy. Elise stała nieruchomo, jakby pozowała do portretu.

Hunt rozejrzał się po sali. Barrett krążył wśród gości, witając się z przyjaciółmi i wrogami. Huntowi robiło się niedobrze na samą myśl o Elise w łóżu Barretta. To było gorsze od wszystkiego, co wyobrażał sobie, gdy odkrył, że pod jego nieobecność Daphne... Elise wyjechała z St. Claire.

Olivia Herrera twierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie jest jej chlebowdawczyni. Przyznała jednak, że pani Hobbs była „jakaś inna” od czasu pojawienia się Hunta na wyspie. Oskarżała go o to, że zawrócił Daphne w głowie, narzucał się jej i wykorzystał jej niewinność. Hunt miał ochotę ją udusić.

Jeszcze trudniejsze okazało się spotkanie z panią Breton. Hannah nigdy już się nie dowie, co czuł do niej Layton. Hunt poczuł ściskanie w gardle. Pani Breton także nie miała pojęcia, dokąd wyjechała Daphne i z jakiego się to stało powodu, życzyła jej jednak jak najlepiej i miała nadzieję, że jeszcze się spotkają.

Kiedy dowiedział się, że „Gulf Stream” wypłynął z portu, ogarnęła go rozpacz. Daphne wyjechała, a on musiał czekać na następny statek do Anglii. Nie zmierzał jej szukać. Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że go nie chce.

Najbardziej bolało go to, że nie zostawiła żadnego listu, nie zdobyła się na napisanie choćby jednej linijki z wyjaśnieniem i przeprosinami. Zdążyła jednak złożyć wizytę u notariusza i przekazać swe nieruchomości gospodyni i przyjaciółce. Pamiętała też o spakowaniu woreczka z klejnotami do walizki, której pani Herrera nie doszukała się na strychu. Pomyślała o wszystkim, tylko nie o nim.

Czyżby „Och, mój jedyny... mój ukochany...” były słowami pożegnania? Nadal czuł jej smak, zapach orchidei we włosach i żar ciała. Od tego czasu minęły już dwa miesiące, jednak wciąż tęsknił do niej całym sobą. Dopił wino i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu lokaja. Najpierw jednak ujrzał Gavina Doyle'a.

- Podziwia pan naszą przyjaciółkę, Lockwood? Przyznaję, piękny widok.
- Przyjemny - odpowiedział Hunt. Nie zamierzał wdawać się w rozmowę na temat wicehrabiny.
- Trochę mi jej żal. Niby należy do towarzystwa, lecz wyraźnie nie czuje się tu dobrze. Hunt wzruszył ramionami.
- Z czasem przywyknie. Kiedy pan wrócił? Doyle zmarszczył czoło.
- Prawie dwa tygodnie temu. Płynęliśmy bardzo szybko. Kapitan Gilbert powiedział, że sprzyjały nam żywioły. Nie było sztormu i tylko raz spadł deszcz.

A więc Elise już od dwóch tygodni sypia w łóżu Barretta. Hunt musiał szybko zmienić temat rozmyślań. Bał się, że lada chwila podejdzie do wicehrabiego i wymierzy mu potężny cios.

- Słyszałem, że przydzielono panu inną placówkę.

- Tak, w Delhi.

- Kiedy pan wyjeżdża?

- Chciałby się pan mnie pozbyć? - Doyle spojrział na niego bacznie.

Hunt się uśmiechnął. Istotnie, nie wykazał się taktem, jednak ta sprawa intrygowała go od czasu rozmowy z gubernatorem Bascombe'em.

- Nic podobnego. Po prostu mam nadzieję, że zdoła pan nieco odetchnąć między jedną a drugą pracą.

- Trochę poddycham londyńskim powietrzem, nie przypuszczam bowiem, bym wyjechał przed nastaniem wiosny.

- Prosił pan o wyjazd do Indii, czy też żał panu St. Claire?

- Byłem zadowolony z pobytu na wyspie, jednak po jakimś czasie pewnie bym zaczął się nudzić. Poza tym dobrze jest zmieniać placówki, bo wtedy łatwiej awansować i wyrobić sobie nazwisko.

- Więc to pan poprosił o zmianę.

- Tak. Nie chciałem już tam siedzieć. Bascombe nieustannie się mną wysługiwał i przydzielał najtrudniejsze zadania.

Ciekawe. Bascombe twierdził, że to on prosił o odwołanie Doyle'a. Czyżby Hunt zyskał kolejny kawałek układanki?- A pan nie chciał się z nimi zmagać?

- Ależ chciałem! Jednak Bascombe zawsze wysuwał się na pierwszy plan i był chwalony za moje dokonania, a ja mam swoje ambicje i chcę pisać się w górę.

Bascombe i Doyle, dwie różne wersje, jeden zdrajca, pomyślał Hunt.

- Szczerze panu tego życzę.

- Dziękuję, milordzie. Do tego zawsze miałem wrażenie, że w pewien sposób przeszkadzam Bascombe'owi.

Wciąż pozostawały dwie możliwości. Gubernator mógł pozbyć się Doyle'a, by bez przeszkód prowadzić nielegalne interesy, albo też chciał uniemożliwić swemu charge d'affaires konszachty z piratami.

Miał więc zadanie dla policji. Nazajutrz zamierzał poprosić znajomego policjanta, by dowiedział się jak najwięcej na temat Gavina Doyle'a. Rad byłby poznać też zdanie Eastmana. W końcu to właśnie Eastman zasugerował możliwość przecieku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a teraz powinien wy badać, jak naprawdę wyglądała sprawa wysłania Doyle'a na inną placówkę - czy stało się to na prośbę Bascombe'a, czy Doyle'a.

- Niestety muszę trochę pokręcić się po sali - powiedział jakby z żalem Doyle.  
- Chciałbym odnowić kilka znajomości, a potem zamierzam spotkać się z przyjacielem w „Belmondzie”.

Hunt skinął głową. „Belmonde” było znaną jaskinią hazardu. Jeśli Doyle tam bywał, mógł wpaść w dług, bo pensja dyplomaty nie pozwalała na wielkie szaleństwa. Hunt i Charlie będą musieli wstąpić do „Belmonde'u” na partyjkę pokera. Wcześniej jednak Charlie mógł mu pomóc w innej sprawie. Elise wstrzymała oddech, gdy Charles Hunter poklepał Barretta po plecach i roześmiał się. W chwilę później mężczyźni przeszli do sali bilardowej. Cieszyła się, że będzie miała chwilę oddechu.

- Zamierza pani uciec, madame?

Lockwood! Popatrzyła na niego, cofnęła się i dygnęła. Miała nadzieję, że jej mąż nie widział hrabiego.

- Jesteś teraz bezpieczna - powiedział. - Nic ci nie grozi ze strony męża. Mój brat zaproponował mi partyjkę bilarda, więc mamy trochę czasu.

- Na co? Uśmiechnął się.

- Widziałaś galerię portretów lorda Carlina?

Pokręciła głową. W co bawił się tym razem? Czy tak miała wyglądać jego zemsta?

Chwycił ją za rękę i zaprowadził na piętro do wielkiego pomieszczenia na



końcu korytarza. W pokoju nie było świec, jedynym źródłem światła był księżyc zagładający przez wysokie okna. Na ścianach wisiały portrety przodków Carlina.

Hunt odwrócił ją ku sobie.

- Co to była za gra, Daphne?
- Elise.
- Mniejsza o to! Wiesz, o co chodzi.

Owszem, wiedziała. Pragnął odpowiedzi, a ona wciąż nie była gotowa wyznać mu prawdy. Zaslugiwał jednak na wyjaśnienia.

- To nie była żadna gra, Lockwood.
- Lockwood? Gdzie podział się Hunt?
- Nie powinnam się do ciebie tak zwracać. Zrobiłabym tym przykrość mojemu mężowi.

- A więc nie powiedziałaś mi, że spotkaliśmy się na St. Claire. Dlaczego, Elise? Jak sądzisz, co by zrobił, gdybym mu uświadomił, jak bardzo byliśmy sobie bliscy?

- Proszę, daj mi spokój.
- To nie powinno mieć dla niego znaczenia. Przecież zostawiłaś mnie, by być z nim. Byłem aż tak nieporadny?

- Przestań! Nie masz prawa mnie dręczyć.

- Nie spoczne, póki nie dowiem się prawdy. Dlaczego mi się oddałaś, wiedząc, że jesteś żoną innego? Dlaczego uciekłaś, kiedy nie było mnie w San Marco?

- Hunt... nie miałam wyboru. - Wciąż go nie miała. Była pewna, że Barrett gotów jest skrzywdzić Williama, gdyby wyznała komuś prawdę.

- Nie miałaś wyboru? Akurat. Miałaś mnie. Powiedziałem przecież, że ci pomogę, niezależnie od tego, co zrobiłaś. - Podszedł do okna.

Serce krajało się jej na widok jego ściągniętej bólem twarzy. Co mogła powiedzieć? Milczała.

- Dlaczego nie uszanowałaś moich uczuć i po prostu mi nie odmówiłaś, tylko

kłamałaś?

- Jakie kłamstwo masz na myśli?
- Powiedziałaś, że też mnie kochasz.

Łzy spływały jej z policzków. Nie kłamała. To wyznanie wciąż było i zawsze będzie prawdziwe.

- Jest mi bardzo przykro - szepnęła.
- Przykro? Wybacz, ale nie potrafię w to uwierzyć.
- Co mam powiedzieć? Co cię zadowoli? Miałam swoje powody, by nie

mówić ci, kim jestem.

- Chodzi ci o porwanie i kradzież? To naprawdę błahostki dla kogoś tak dwulicowego jak ty, Elise. Popełniłaś morderstwo? Zdradę?

- Jakie to ma znaczenie?- Dla ciebie pewnie żadne. Domyślałam się, że dbasz przede wszystkim o siebie.

I o ciebie, chciała dodać. I o Williama. Na St. Claire prowadziła tak cudownie proste i uczciwe życie. Opuściła wzrok, nie mogąc spokojnie patrzeć w oczy Hunta.

- Powiedz coś na swą obronę, Elise. - Chwycił ją za ramiona. - Podaj mi powody swych decyzji.

- Jest mi przykro. - Nie była w stanie wyznać niczego więcej.

- Przykro? - Przytulił ją. - Jak bardzo jest ci przykro, Elise? Tak? - Gdy nakrył jej wargi pocałunkiem, poddała mu się z całą siłą swej tęsknoty. Zdawało się jej, że muzycy grają ciszej, a śmiech gości dobiega z bardzo daleka. On zaś mówił dalej: - Przy tobie cały płonę, Elise. Zapominam o twoich kłamstwach i oszustwach, i potrafię myśleć tylko o twoim dotyku, smaku i zapachu. Dlaczego nie chcesz powiedzieć o nas Barrettowi?

- Bo mnie zabije. - Mnie i Williama, dodała w duchu.

- Nie przesadzasz, Elise? Przyjął cię z powrotem, przybrał w klejnoty, które ukradłaś, i wprowadził do towarzystwa, czym zaświadczył jednoznacznie, że ci wybacz. Tak postępuje kochający mężczyzna, a ty chcesz mi wmówić, że twój mąż

chce cię zabić? Może powinienem mu podziękować za to, że dzięki niemu uniknąłem popełnienia największego błędu w swoim życiu... - Usiłowała się wyrwać, jednak trzymał ją mocno. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Westchnęła, owładnięta miłosną gorączką. Uniósł jej spódnicę i rozpoczął najbardziej śmiałą z pieszczot. Zadrżała. - Twoje ciało nie kłamie, madame... - Jęknęła. Nienawidził jej i pragnął ją ukarać, jednak wciąż go pragnęła, gotowa błagać o pieszczoty. - Lecz to mi nie wystarcza, Daphne... - Trzymał ją przy ścianie, drżącą, niezaspokojoną w swym pożądaniu. Nagle ją puścił i podszedł do okna. - Twój mąż niedługo zacznie cię szukać.

Elise wróciła na salę balową przed Barrettem. Sprawiał wrażenie zadowolonego, lecz gdy podszedł do niej, skrzywił się i zapytał:

- Gdzie się podziewałaś?
- Przecież wiesz. A gdzie ty byłeś, Barrett?
- Grałem w bilard z Charliem Hunterem. Spuściłem mu tęgie lanie. Wygrałem dziesięć funtów.

Zdażyła już zapomnieć, że jej mąż uwielbiał hazard, namiętnie też zakładał się o najbliższe nawet sprawy. Musiała przyznać, że dopisywało mu szczęście. Zbudował swój majątek na pechu innych, a potem korzystał z pieniędzy, przekupując innych, w tym jej brata. Odwróciła wzrok.

- Wiem, że wyszłaś z sali, Elise. Gdzie jest twoja chusta? Galeria portretów!

Przeraziła się nie na żarty.

- Musiałam ją gdzieś zgubić.
- Gdzie? Zaczerwieniła się.
- Zaraz ją przyniosę. Pewnie spadła, kiedy byłam w toalecie.

Barrett się roześmiał.

- Następnym razem masz cały czas stać tam, gdzie cię zostawię. Nie opuściłem cię przecież na długo, mogłaś wytrzymać. - Gdy posłała mu gniewne

spojrzenie, dodał: - Więc mówisz, że chusta jest w toalecie? Zaraz tam pójdziemy.

Chwyił ją za łokieć i pociągnął w stronę korytarza. Wyrwała mu się i popatrzyła nań przez zmrużone oczy.

- To się musi skończyć, Barrett. Przeżyłam już wystarczająco wiele upokorzeń. To koszmar. Nie mogę nawet przez chwilę być sama, przywitać się ze znajomymi. Jeśli uważasz, że mnie w ten sposób ośmieszasz, jesteś w błędzie. To ty jesteś godzien pożałowania, tak niepewny swej wartości, że musisz kontrolować życie swej żony.

- Ty podła...

- Wystawiasz nas oboje na pośmiewisko. Udało ci się już pokazać wszystkim, że mi nie ufasz. Powinieneś pozwolić mi na chwilę samotności. Niedługo ludzie zaczną mi współczuć i rozumieją, jaki jesteś naprawdę.

Miała wrażenie, że wymierzy jej policzek, jednak zdecydowała się podjąć ryzyko, by zyskać odrobinę swobody i stworzyć sobie szansę na odszukanie Williama. Chociaż mówiła cichym głosem, ich rozmowa przyciągnęła uwagę kilku najbliższych stojących par. Barrettowi udało się opanować, choć skorzystał z okazji, by boleśnie wbić palce w jej ramię. Jednak szybko ją puścił i przywołał na twarz uśmiech.

- Jeśli mnie zawiedziesz, gorzko tego pożałujesz, Elise - powiedział po chwili przez zaciśnięte zęby.

Odetchnęła z ulgą, widząc zmierzającego w jej stronę Gavina Doyle'a. Miał ponurą minę, spodziewając się, iż stanie się świadkiem kłótni, lecz zobaczywszy, że sytuacja zmieniła się na korzyść, natychmiast uśmiechnął się promiennie. Oto zręczność dyplomaty, pomyślała.

- Czyżbym widział pana w bilardowym starciu z Charlesem Hunterem? Nie miałem pojęcia, że lubi pan gry, Barrett.

- A lubię, lubię.

- Nigdy nie byłem mistrzem bilarda, ale nieźle radzę sobie z kartami. Od wista

po oczko. Może zasiedlibyśmy razem do stolika? Właśnie wychodzę, by spotkać się z przyjaciółmi w „Belmondzie”. Może by pan do nas dołączył?

- Nie dzisiaj, Doyle.- W takim razie przełożymy to na kiedy indziej. Jestem tam codziennie po północy. - Skłonił się Elise, mrużąc do niej oko, po czym skinął głową jej mężowi i się oddalił.

Gapie zaczęli się rozchodzić, przekonani, że najciekawsze mają już za sobą. Elise zauważyła Lockwooda, który niósł jej chustę. Idąc za przerażonym wzrokiem żony, Barrett poczerwieniał ze złości.

- Witam, Barrett. Madame. Chyba to pani miała na sobie tę chustę? - zapytał, wyraźnie z czegoś zadowolony.

- Owszem - powiedziała. Barrett wyrwał chustę Huntowi.

- Gdzie pan to znalazł? - zapytał groźnie. - Chyba nie w damskiej toalecie?

- Nie. - Hunt uśmiechnął się do Elise. Milczenie przedłużało się. W końcu Barrett zrozumiał, że hrabia nie ma ochoty udzielić odpowiedzi.

- Gdzie leżała ta chusta? - zapytał ponownie.

- Na podłodze.

- A dokładnie, do diabła? Hunt spochmurniał.

- Proszę się opanować. Nie chodzi o królewskie klejnoty. Elise przymknęła oczy.

- Chciałabym już stąd wyjść. Zabierz mnie do domu, Barrett. Obaj wydawali się zaskoczeni jej słowami. Barrett okrył

chustą jej ramiona i poprowadził do holu. Hunt wyglądał jak chmura gradowa.

Miała nadzieję, że przestanie ją niepokoić. Bała się, co ją czeka z jego strony, jeśli nie powie mu prawdy.

## Rozdział piętnasty

Otuliwszy się ciężką wełnianą peleryną, Elise skręciła w Great George Street, by przejść przez Green Park. Zakupy zajęły jej więcej czasu, niż się spodziewała, a nie chciała narażać się na gniew męża już przy pierwszej wyprawie. Towarzyszyła jej służąca, która bez wątpienia zda relację Barrettowi.

- Możemy na chwilę zatrzymać się przy kanale i popatrzeć na łyżwiarzy, madame? - zapytała Anne.

Kiwnęła głową, osłoniła głowę kapturem i wsunęła dłonie w mufkę. Pomyślała, że jeśli zapewni pokojówce odrobinę rozrywki, być może Anne jej zaufa i nie będzie tak gorliwie informować o wszystkim Barretta. Wkroczyła na ścieżkę.

- Madame - wysapała Anne - proszę trochę zwolnić. Nie mogę za panią nadążyć.

Elise uśmiechnęła się i zaczęła na pokojówkę. Wzięła od niej jedną paczuszkę, by Anne mogła ogrzać dłonie. Kupiła kieszonkową układankę dla Williama.

Wzdłuż kanału zgromadziły się tłumy ludzi. Rozlegający się wokół śmiech przypomniał Elise, że kiedyś kochała Londyn. Kiedyś, zanim poznała Barretta.

Przystanąła. Mężczyźni i kobiety śmigali na łyżwach po zamrożonym kanale, nieco dalej chłopcy grali w curling, pracowicie omiatając szczoteczkami lód przed sunącym po tafli kolistym granitowym kamieniem.

- Och, madame, tak bym chciała pojeździć na łyżwach!  
- Mogę ci je wypożyczyć.  
- Niestety powinniśmy już wracać do domu.  
- W takim razie możemy tu wrócić jutro. - Elise za wszelką cenę chciała zyskać sympatię dziewczyny.

- To cudownie, madame.

Elise usłyszała śmiech gapiów. To pan Doyle gramolił się z lodu po spektakularnym upadku. Ucieszyła się z tego spotkania.

- Panie Doyle! - zawołała. Odwrócił się w jej stronę, lecz nie poznał jej, bo okryta była peleryną z kapturem. Pomachała mu ręką. - Pan Doyle jest przyjacielem mojego męża - powiedziała do Anne.

- Przystojny dżentelmen.

- Tak uważasz? Jakoś tego nie zauważyłam - droczyła się Elise.

Doyle wstał, otrzepał spodnie i podjechał w ich stronę.

- Dzień dobry, lady Barrett.

- Witam, panie Doyle. Co pan tu robi? Myślałam, że ślęczy pan nad księgami albo doskonalili hindi.

- Wybrałem się na spacer i widzi pani, dokąd zaszedłem.

- Mam wrażenie, że dobrze się pan bawi.

- To prawda. Umie pani jeździć na łyżwach?

- Nie jeżdżę od lat, ale kiedyś lubiłam.

- W takim razie spotkajmy się tu jutro po południu. Popatrzyła na Anne.

- Dziękuję za zaproszenie, panie Doyle, ale...

- Dziś wieczorem poproszę pani męża, by wyraził zgodę - powiedział, domyślając się powodu jej wahania. - Spotka się pan dzisiaj z moim mężem?

- Przysłał mi zaproszenie do „Belmonde'a". Myślę, że chce rozegrać ze mną partyjkę wista.

Elise spochmurniała. Zniżyła głos do szeptu, nie chcąc, by Anne słyszała jej słowa:

- Proszę uważać, panie Doyle. Barrett ma nieprawdopodobne szczęście. - Gdy roześmiał się, dodała: - Mówię poważnie. Barrett gromadzi cudze majątki tak jak inni zbierają szylingi. Nie chciałabym, by padł pan jego ofiarą.

Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Skoro są państwo jak papużki nierozłączki, spodziewam się ujrzeć panią dziś wieczorem. - Skłonił się z zamiarem powrotu na lód.

„Belmonde”? Wiedziała, że to osławiona jaskinia hazardu. Zastanawiała się, czy Barrett byłby skłonny zabrać ją w takie miejsce. Odwróciła się, lecz Doyle jeszcze ją przywołał:

- Och, lady Barrett, przypuszczam, że dotarła już do pani ta straszna wiadomość.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Serce zaczęło jej łomotać.

- Boże! W takim razie przykro mi, że muszę ją przekazać w takich okolicznościach.

Przerażona podeszła do niego. Miała nadzieję, że nie chodzi o Williama... albo Hunta.

- Proszę powiedzieć, co się stało. Niech pan mnie nie trzyma w niepewności.

- Chodzi o kapitana Gilberta. Nie żyje.

- Nie żyje? O Boże... - Jeszcze dwa tygodnie temu wyglądał doskonale, lecz mężczyzna w jego wieku... - Zmarł na serce?

Odniosła wrażenie, że Doyle, podobnie jak wielu innych, znajduje perwersyjną przyjemność w przekazywaniu złych wiadomości.- Nie. Został zamordowany.

- Zamordowany?! To... to chyba jakaś pomyłka. Kto mógłby życzyć śmierci takiemu człowiekowi?

- Jak dotąd nie ma podejrzanych. Policja sądzi, że najbardziej prawdopodobny jest motyw rabunkowy. Przeszukali jego kajutę. Nie miał przy sobie żadnych pieniędzy.

- Jacy „oni”?

- Policjanci z Bow Street, madame.

- Nie mogę w to uwierzyć... - Po jej policzkach pociekły łzy. - To był taki dobry człowiek. Zawsze przywoził mi gazety i był bardzo uprzejmy. Traktowałam go jak przyjaciela.



Doyle był wyraźnie zakłopotany. Wyjął z kieszeni surduta chustkę i włożył ją w rękę Elise.

- Nie chciałem przyprawić pani o łzy. Pomyślałem, że powinienem to pani powiedzieć. Chyba nie chciałaby pani dowiedzieć się o tym z gazet.

- Dziękuję...

- Wiem, że byliście państwo zaprzyjaźnieni. Widziałem, że często zapraszał panią do swej kajuty na kolację. Mam nadzieję, że pozostała pani po nim jakaś pamiątka.

- Chyba nie... Nie pamiętam. Przywoził mi gazety...

- Mniejsza o to. Wystarczy, że pozostaną pani miłe wspomnienia. Chyba powinna pani już wracać do domu. Filiżanka mocnej herbaty podniesie panią na duchu.

Filiżanka herbaty? Czyżby żartował? Zauważyła zniecierpliwienie na jego twarzy. Doyle, podobnie jak Barrett, nie rozumiał kobiet. Otarła łzy i podała mu chustkę.

Pokręcił głową.

- Odda mi ją pani innym razem.

Szybko ruszyły z Anne w stronę Piccadilly Street. Hunt podkręcił płomień lampy na biurku. Ślęczał nad księgą rachunkową, dostarczoną mu przez Charliego.

- Co o tym sądzisz, Charlie?

- Jeśli porównamy...

- Powiedz mi najpierw, jak udało ci się zdobyć tę księgę.

- Kiedy dyrektor Lloyda dowiedział się, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych szuka dowodów pirackiej działalności, wyraził gotowość do współpracy. Gdybym tylko zechciał, pewnie przydzieliliby mi osobny pokój.

- I co dalej?

- Pokazano mi księgi. Ciężko jest się w tym wszystkim zorientować. W głównym rejestrze znajduje się mnóstwo dodatkowych zapisów i odnośników. Lloyd

nie dokonuje ubezpieczeń, robią to liczne podlegające mu firmy i agenci. To oni ponoszą straty, ilekroć jakiś statek tonie.

- To samo mówił mi Eastman, kiedy zlecał misję na St. Claire.

- No właśnie. Weźmy na przykład takiego Auberville'a. Jest jednym z ubezpieczycieli. Kiedy zatonął „Empire”, poniósł wielkie straty, jednak powetował to sobie z nawiązką, gdy ubezpieczył „Natalie Jean”.

- Charlie, chyba nie korzystasz z tych ksiąg, by badać stan majątkowy naszych przyjaciół.

- Oczywiście, że tak, ale interesują mnie również nasi wrogowie. Jeśli jakieś nazwisko pojawia się na liście, nie spocznę, dopóki wszystkiego nie sprawdzę.

Wziąłem pod lupę wszystkich inwestorów, lordzie Lockwood.

- Wolę „hrabio”, jeśli łaska. - Hunt parsknął śmiechem.

- Wedle życzenia... - Charlie też się uśmiechnął, zaraz jednak spoważniał. - Ubezpieczyciel ma zysk tylko wtedy, gdy statek bez szwanku kończy rejs. Natomiast inwestorzy zawsze czerpią zyski. Jeśli statek bezpiecznie wpływa do portu, inwestor ma zysk od przychodu z towarów. Jeśli statek tonie, ubezpieczyciel wypłaca odszkodowanie.

- W takim razie myliłem się, uważając, że w ten sposób możemy wykryć zdrajcę...

- Nie. - Wyraźnie ożywiony Charlie zdjął nogi z biurka. - Trzeba tylko wszystko dokładnie sprawdzić. Po pierwsze,

tych inwestorów, których statki nigdy nie zostały zaatakowane, po drugie tych, którzy swoje morskie transporty dodatkowo ubezpieczali.

- Wtedy zawsze wychodzą na swoje, czy tak?

- Owszem. Jeżeli ktoś pływa bez żadnych strat lub ponosi je tylko wtedy, gdy ładunek jest bardzo dobrze ubezpieczony...

- Tak, rozumiem... Zmowa z piratami.

- No właśnie. Ktoś musi z nimi współpracować z londyńskiego towarzystwa i

wraz z nimi czerpać zyski ze sprzedaży zrabowanych towarów, a do tego inwestuje w statki i je ubezpiecza, za co otrzymuje odszkodowanie. Piracko- dżentelmeńskie przymierze, a wyszło z tego zręczne oszustwo.

- Szatański spryt - podsumował Hunt.
- Wystarczy zmysł do interesów.
- Miałem na myśli twój spryt, Charlie.
- Nie pierwszy raz to słyszę.
- Ile ci zajmie przejrzenie tych papierów?
- Kilka dni, a potem wszystko będzie zależało od ciebie. Wytypuję kilkanaście osób, a ty ustalisz, kto jest zdrajcą. Nie mam pojęcia, kto mógłby wejść w konszachty z piratami.

- Daj mi nazwiska, Charlie, a ja dokonam reszty. Dzisiaj zamierzam cię wynagrodzić wycieczką do piekła. Co byś powiedział, gdybyśmy odwiedzili „U Thackery'ego" albo

„Belmonde'a"? - Przerwało im pukanie do drzwi. - Proszę! Do pokoju zajrzał szwagier, ubrany w szary płaszcz.

- Przyjdiesz na kolację? Sarah powiedziała, że twój kamerdyner nie zdążył jeszcze uporządkować twoich ubrań, a kucharz nie uzupełnił zapasów żywności.

- Sarah nie może dłużej zarządzać dwoma domami - powiedział Hunt. - Ma przecież dzieci.

- Sarah twierdzi, że przywykła do opieki nad braćmi.
- Jednak musi już mieć tego dość, bo za wszelką cenę chce nas wyswatać - powiedział Charlie. - Z radością oddałaby nas w dobre kobiece ręce.

- Powiedz jej, że przyjmuję zaproszenie, lecz pod jednym warunkiem: nie będzie u was żadnej miłej panny. Przyjdę z Charliem.

- Świetnie. Hunt, znałeś kapitana Gilberta?
- Płynąłem pod jego dowództwem na St. Claire. Dlaczego pytasz?
- Nie żyje. Został zamordowany - oznajmił Ethan.

- Gilbert? Kiedy to się stało? Kto to zrobił?

- W dniu, w którym zawinął do portu. Został znaleziony na pokładzie swego statku. Załoga była wtedy w mieście. Splądrowano kajutę, zniknęły wartościowe przedmioty. Zwykły rabunek, tak w każdym razie sugeruje policja.

- Jak zginął?

- Poderżnięto mu gardło. Dziwne, bo gdyby Gilbert walczył ze złodziejem, zostałyby pchnięty od przodu. Wygląda na to, że został zaskoczony od tyłu, a potem upozorowano rabunek.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Przeczucie... Policja bada oczywiste tropy, a mnie się zdaje, że nic tu nie jest oczywiste. Nie krwawo zakończony rabunek, tylko morderstwo z jakichś innych powodów. Tylko kto mógłby tak źle życzyć kapitanowi Gilbertowi? Hunt też czuł, że nie było to przypadkowe zabójstwo. Przypomniawszy sobie Rodriga i Lowe'a. Piraci znali jego nazwisko i wiedzieli o jego misji na St. Claire. Miał nadzieję, że kapitan Gilbert nie zginął przez niego. Nie był z nim w żaden sposób związany. Gdyby chciano się na nim zemścić, zabijając bliską osobę, ofiarą stałaby się raczej Elise.

Elise. Musiała bardzo przeżyć śmierć kapitana. Serdecznie jej współczuł. Widocznie nie udało mu się tak do końca jej znienawidzić.

Jak spodziewała się Elise, lokal „Belmonde” był wystawnie urządzonej domem gry. Właściciele dwoili się i troili, by klienci jak najdłużej pozostawali w ich murach. Spełniano wszystkie życzenia gości, przynoszono jedzenie i napoje, przydzielano osobne pokoje do gry. Barrett i Doyle weszli do jednego z takich pomieszczeń już ponad godzinę temu.

Barrett nakazał jej, by nie ruszała się z głównego salonu, a już w żadnym razie nie szła na piętro. Widząc, jak młody dandys prowadzi na górę jakąś kobietę, domyśliła się, jakie pokoje tam się znajdują. Tak, w „Belmondzie” robiono wszystko, by uszczęśliwić bywalców.

Usiadła na ławeczce w niszy i zajęła się obserwowaniem graczy. Miała już serdecznie dość nieustannego towarzyszenia Barrettowi. Była jednak gotowa znieść znacznie więcej, byle tylko znów ujrzeć Williama. Gdy go znajdzie, obmyśli sposób ucieczki od męża.

Kiedy Doyle i Barrett wrócili do salonu, udali się do sąsiedniej niszy i tam prowadzili szeptem jakąś rozmowę. Nie była w stanie rozróżnić słów do czasu, gdy Doyle powiedział nieco głośniej:

- Pańska żona miała rację. Ma pan niesamowite szczęście! Jestem splukany.- Niech pan trzyma się z dala od mojej żony. Słyszałem, że był pan uprzedzająco miły, gdy spotkaliście się państwo przy kanale. Ona jest moja, Doyle, i nie pozwolę, by ktoś mnie znieważał.

Elise zrobiło się przykro na myśl o tym, że Anne ją zdradziła i dokładnie opowiedziała o wszystkim Barrettowi. Nie była zaskoczona zaborczością Barretta, wiedziała jednak, że kieruje nim nie miłość, lecz zazdrość, a do tego chęć upokorzenia jej i skazania na osamotnienie.

Doyle odpowiedział jak przystało na dyplomatę:

- Zapewniam pana, że pańska żona nie darzy mnie żadnymi szczególnymi względami, również ja nie mam sobie nic do zarzucenia. Po prostu połączyła nas wspólna podróż.

- W takim razie proszę dać mi to, co jest mi pan winien. Nastąpiła chwila milczenia, po czym Elise znów usłyszała

głos Doyle'a:

- Proszę o szansę odegrania się, Barrett. Zapewniam, że dysponuję odpowiednimi środkami. - Zamknęła oczy. Z jego głosu wniosowała, że jest uzależniony od hazardu. Czeka go zguba. Potwierdziły to jego następne słowa:

- Mam inwestycje. Mógłbym dać panu udziały.

- Dlaczego miałbym ryzykować udziały, skoro mogę mieć gotówkę? - odparł Barrett.

- Nie wiąże się z tym żadne ryzyko, a gotówką zapłacę połowę tego, co jestem winien.

Zawstydzona postępowaniem męża, ogarnięta współczuciem dla pana Doyle'a, Elise nie była w stanie dłużej słuchać ich rozmowy. Podeszła do stolika z winem w odległym kącie salonu.

Jej uwagę przyciągnął męski śmiech dobiegający z holu. Do salonu wszedł szwagier Lockwooda w towarzystwie znajomo wyglądających mężczyzn. Za nimi w sali pojawili się Lockwood i jego brat Charles. Nic dziwnego, że wydali jej się znajomi. Bracia Hunta! Ci, których nie miała dotąd okazji poznać, byli równie przystojni jak Hunt i Charles. Odwróciła się, zdawszy sobie sprawę, że Ethan Travis nie przyprowadził żony. To nie było miejsce odpowiednie dla małżonek i najwyraźniej tylko Barrett miał na ten temat inne zdanie.

Zakłopotana, napełniła kieliszek i pomknęła do pustej niszy.

- Gdzie się wybierasz? - usłyszała gderliwy głos Barretta. Szybko ruszyła w stronę męża i Doyle'a, pragnąc odwrócić ich uwagę od Lockwooda.

Niestety, także Lockwood lubił wprawiać ją w zakłopotanie. Poprowadził swych braci w taki sposób, by przecięli jej drogę.

- Madame. - Wykonał głęboki ukłon

- Witam, lordzie Lockwood.

- Poznała już pani pana Trávisa i Charliego, a teraz chciałbym pani przedstawić pozostałych moich braci, Jamesa i Andrew. Chłopcy, to jest słynna lady Barrett.

James pierwszy postąpił ku niej, skłonił się i uniół jej dłoń do warg. Miał oczy bardzo podobne do oczu Lockwooda. Andrew nie był aż tak ładząco podobny.

- Jestem zachwycony, że panią poznałem, lady Barrett. Muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Wiele o pani słyszałem... Kto zresztą nie słyszał? Jednak nigdy nie spodziewałbym się, że jest pani taka...

- Urocza - podsunął cierpkim tonem Lockwood.
- Piękna - dokończył Andrew.

Elise znieruchomiała, gdy nawiązał do skandalu, wołała jednak taką szczerość niż dwuznaczne uśmieszki.

- Proszę wybaczyć Andrew, madame. W młodości nie został należycie dopilnowany. Odkrył w sobie niezwykły talent do unikania nauczycieli. Zamierzała zbyć tę uwagę żartem, lecz dołączyli do nich Barrett i Doyle.

- Tu jesteś! Nie mówiłem ci, że masz siedzieć w jednym miejscu?
- Poszłam nalać sobie wina.

Barrett był wściekły, nie chciał jednak urągać żonie w obecności licznych świadków. Była pewna, że nadrobi zaległości w powozie.

- Piękna kobieta nie powinna sama nalewać sobie wina. Z przyjemnością...
- Nie stwarzaj problemów, Andrew. - Lockwood popatrzył na Barretta, bojąc się, że lada chwila mąż Elise straci panowanie nad sobą.

Doyle stanął między nimi i położył dłoń na ramieniu Barretta.

- Właśnie zamierzaliśmy rozegrać kolejną partyjkę oczka. Proponuję grę w większym gronie.

Lord Ethan bez wahania przyjął zaproszenie.

- Proszę nas zaprowadzić do sali, Doyle. Ostrzegam, że jesteśmy wytrawnymi graczami.

Ruszyli, lecz Hunt pozostał w salonie.

- Nie idzie pan z nami? - zapytał Doyle.
- Zaraz do panów dołączę. Mam jeszcze coś do załatwienia.

## Rozdział szesnasty

Elise odwróciła się i szybko odeszła. Zdając sobie sprawę, że jest obserwowany, Hunt poszedł nalać sobie whisky. Musiał się napić po tym, jak zobaczył Barretta w roli domowego tyrana.

Zauważył, że Elise znika w nisy. Tego wieczoru lady Barrett miała na sobie suknię w kolorze lila, ozdobioną haftem. Był zadowolony, że los stwarza im okazję do rozmowy w cztery oczy. Chciał powiadomić ją o śmierci kapitana Gilberta.

Podszedł do niej. Sądząc z wyrazu jej twarzy, nie była tym zachwycona.

- Przepraszam za zachowanie Andrew. Nie zdążył się jeszcze nauczyć, że takie prowokacje nie popłacają.

- Prowokacje? Myślałam, że chciał się tylko podroczyć z Barrettem.

Hunt się roześmiał.

- Andrew nie jest wesółkiem. Musiał poczuć niechęć do twojego męża i starał się go sprowokować.

- Aha... W takim razie źle go zrozumiałam.

- Większość ludzi ma z tym trudności.

- Wydaje mi się jednak, że dobrze wyczuwam twoje zamiary, Lockwood.

Przyszedłeś tutaj, żeby przysporzyć mi problemów. Jeśli Barrett wróci.

- Nie obchodzi mnie, co sobie pomyśli twój mąż. Drgnęła.

- Tak przypuszczałam. Może jednak pomyślałbyś o tym, jak ja się czuję.

Czego chcesz? Dlaczego za mną łazisz?

- Chciałem ci powiedzieć, że twój przyjaciel, kapitan Gilbert, nie żyje.

Łzy napłynęły jej do oczu. .

- Wiem już o tym. To był taki wspaniały człowiek. Kto mógł go zamordować?

Wyjął chustkę i otarł oczy Elise. Nie protestowała.



- Przykro mi, naprawdę. Wiem, że był twoim przyjacielem. Skąd się o tym dowiedziałas? Nie było żadnej wzmianki w gazetach.

- Powiedział mi o tym dziś rano pan Doyle.

- Odwiedził cię?

- Spotkałam go, gdy wracałam ze sprawunkami. Jeździł na łyżwach na kanale. Hunta zaniepokoił fakt, że Doyle wiedział o tym wcześniej niż on. Nie podobała mu się także przyjaźń Elise z tym gładkim dyplomata.

- Czy twój mąż wie, że rozmawiałaś z Doyle'em? Mam wrażenie, że nie toleruje podobnych znajomości.

- Mój mąż i pan Doyle ostatnio bardzo się zaprzyjaźnili. To Barrett go tu dzisiaj zaprosił.

- A Doyle z radością na to przystał, dzięki czemu znalazł się także i w twoim towarzystwie. A co będzie ze mną, Elise? Jak mogę się do ciebie zbliżyć?

- Uspokój się, Lockwood. - Z przerażeniem popatrzyła na tłum gości w sali gier. - Ktoś nas może zobaczyć.

Zasunął aksamitną kotarę. - Teraz nikt niczego nie zobaczy.

- Niestety, nie wszystko jest takie proste jak zaciągnięcie tej zasłony. - Przyłożyła drżące ręce do skroni. - Czego ode mnie chcesz, Lockwood? Czekasz na odpowiedzi, których nie mogę ci udzielić? Mam się usprawiedliwiać? Wyrazić skruchę? Chcesz, żebym cierpiała?

- Niczego nie chcę, Daphne. - Kłamał. Pragnął, by powtórzyły się chwile, które przeżyli podczas burzliwej nocy. Marzył o tym, by Daphne wiała się w jego ramionach, wzywała jego imię, wydawała jęki rozkoszy. - Elise! Czy przyjechałaś tu, by mnie dręczyć? Powiedz mi, dlaczego wróciłaś do Barretta. Czemu mi o niczym nie powiedziałaś?

- Przez te wszystkie lata myślałam, że go zabiłam. Ilekroć zamykałam oczy, widziałam go, jak leży w kałuży krwi w mojej sypialni. Byłam pewna...

Czuł, że mówiła prawdę. Wierzyła, że jest wdową. To tłumaczyło jej niechęć

do powrotu do Anglii. Skoro uważała, że zabiła Barretta, postrzegała siebie jak zbrodniarkę.

- Dlaczego wróciłaś, skoro myślałaś, że Barrett nie żyje?
- List... - zaczęła, lecz zaraz zamknęła usta.
- Chciałaś go zabić, Elise, czy to był wypadek?

Jęknęła. Usiadł przy niej, nie zważając na to, co dzieje się po drugiej stronie kotary, i pocałował ją w usta.

- Nie zaczynaj, bo nie potrafię cię powstrzymać. - W jej głosie pobrzmiwały wielki ból i tęsknota.

Nie wstydził się swego postępowania. Pragnął wyrwać ją z apatii, uzmysłowić jej, jak wiele dla siebie znaczą.

- Elise... - wyszeptał. - Dlaczego nie zostawiłaś mi wtedy żadnej wiadomości?

- Nie wiedziałam, co mam napisać. Wciąż nie wiem, co powiedzieć. Podpowiedz mi, co może ukoić twoją duszę. Nie istniały takie słowa, nie mieli przed sobą przyszłości. Chciał pogłaskać ją po policzku, lecz cofnął rękę. Nie miał prawa nawet jej dotykać.

Wstał, skłonił się i odciągnął zasłonę. Elise została sama.

Patrzyła z okna biblioteki na brudny śnieg topniejący w porannym słońcu. Zdążyła zapomnieć, że Londyn jest niebezpiecznym miastem, co uświadomiła jej śmierć kapitana Gilberta. Gdy poprzedniej nocy wrócili do domu, zobaczyli, że ktoś się włamał i czegoś szukał. Służący mocno spali. Złodziej uciekł, gdy kamerdyner usłyszał hałas i poszedł sprawdzić, co się dzieje.

Popatrzyła na siedzącego za biurkiem męża. Przeglądał papiery, porównując spis rzeczy z zawartością schowka. Wszystko było na swoim miejscu. Zapewne złodziej nie mógł otworzyć sejfu.

- Czy czegoś brakuje? - zapytała.

- Pieniędzy. W szufladzie biurka miałem około pięćdziesięciu funtów. Smythe musiał wystraszyć złodzieja, zanim zdążył dobrać się do reszty.

Nie były to pocieszające wieści. Dobrze, że nie było ich w domu. Poczula ściskanie w żołądku.

- Londyn jest zimą taki ponury, Barrett. Może byśmy wyjechali do naszej posiadłości?

Uniósł wzrok znad księgi rachunkowej i uśmiechnął się z odcieniem satysfakcji.

- Zamierzam kupić kolejną posiadłość, a to dzięki Doyle'owi, który tak lubi przegrywać. Gdzieś na północy. Kiedy się tobą znudzę, wyślę cię do Northumberlandu. - Roześmiał się, gdy ujrzał na jej twarzy nadzieję. - Nie potrafisz skrywać swych uczuć, Elise. Wiem, że chciałabyś wyjechać, lecz wcale nie z powodu włamania. Pragniesz uniknąć konieczności bywania w towarzystwie, masz dość wścibskich, nieprzychylnych spojrzeń. No cóż, jak kto sobie pościele, tak się wyśpi, moja droga żonko.

Wstał i roześmiał się, zadowolony, że zgrabnie udało mu się wpleść przysłowie do swej przemowy. Podeszedł do Elise i mocno uszczypnął ją w policzek. Trzasnęła go w rękę, wiedząc, że będzie musiała maskować kolejny siniec. Pomyślała, że gdyby zamieszkali na wsi, nic już nie powstrzymałoby Barretta od wyładowywania na niej swej złości.

Odwróciła się, słysząc pukanie do drzwi. To Smythe przyniósł zalakowany Ust na srebrnej tacy.

- Milordzie. - Skłonił się uniznienie.

Barrett złamał pieczęć i rozłożył kartkę. Przeczytawszy wiadomość, podejrzliwie zmrużył oczy.

- Dlaczego lady Sarah Travis zaprasza cię na herbatę dziś po południu?

Siostra Lockwooda? Elise uniosła brwi. Zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Barrett otwiera jej listy, a niektóre od razu pali. Podejrzewała, że niszczył przede

wszystkim listy od Williama. Nie przyszło jej do głowy, że mogła otrzymywać również zaproszenia.

- Naprawdę nie wiem - powiedziała szczerze. - Spotkałam ją, ale zamieniłyśmy zaledwie kilka słów.

- Możesz iść - oznajmił.

- A jeśli nie chcę?

Barrett ostrzegawczo zmrużył oczy.

- Pójdiesz tam, madame, i o wszystkim mi opowiesz.

- O czym?

- Powiesz mi, o czym mówią i jakie zadają pytania. Wydaje mi się podejrzane, że ciągle wpadam na Lockwooda i jego rodzinę. Chcę wiedzieć, co knują. Będiesz moimi oczami i uszami.

Czyżby żartował? Nigdy mu się to nie zdarzało. Jeszcze raz zaprotestowała, choć wiedziała, że Barrett nie zmieni zdania. No cóż, powie mu, że było to tylko przyjęcie towarzyskie.

- Nie próbuj kłamać - dodał, jakby czytając w jej myślach - bo nasz drogi William poniesie tego konsekwencje.

Widząc obrzydzenie malujące się na twarzy męża, zadała pytanie, które cisnęło jej się na usta od narodzin Williama:

- Dlaczego tak go nienawidzisz, Barrett? Przecież jest naszym synem. W jego żyłach płynie twoja krew.

- Twoja, madame. Jest do ciebie bardzo podobny. Nie odnajduję w nim żadnych moich cech. To mięczak.

- Masz wątpliwości, czy jest twoim synem?

- Zastanawiam się nad tym, od kiedy tylko pojawił się na świecie. Nigdy nie zapomnę temu pijaczynie, twojemu bratu, że sprzedał mi używany towar. Jeśli nawet ten bachor jest mój, to pewnie piłaś jakąś miksturę, żeby pozbyć się mego nasienia ze swego łona i dlatego jest taki niewydarzony.

Czy Barrett oszalał?

- Mimo wszystko jest twoim synem.
- Bo w tej chwili nie mam innego. Poza tym dzięki niemu utrzymuję cię w ryzach.
- To się musi skończyć, Barrett. Dręczysz mnie od dnia, w którym znów trafiłam pod twój dach. Nawet nie pokazałeś mi Williama. Nie mam żadnej pewności, czy żyje. Po tym, co teraz usłyszałam, chcę mieć dowód. Pokaż mi Williama albo natychmiast cię opuszczę.

Roześmiał się.

- Widzę, że kociaczkowi wyrosły pazury. Dobrze. Jutro po południu przywiozę tu Williama. Dam ci dziesięć minut na upewnienie się, czy jest cały i zdrowy. To będzie ci musiało wystarczyć... do czasu, kiedy uznam, że mogę ci ufać.

- Jak mam zdobyć twoje zaufanie?

- Nie nadużywaj tej odrobiny wolności, którą możesz się cieszyć. I wpuść mnie do swej sypialni.

Boże. O ile mogła jeszcze jakoś zrozumieć jego chęć szpiegowania rodziny Lockwooda, nigdy nie pozwoli Barrettowi na zbliżenie, choćby zamarzło piekło, a słońce spadło z nieba. Mimo to skinęła głową.

Służąca zdjęła kapelusz i pelerynę Elise, po czym zaprowadziła Anne do kuchni. Elise stała w holu, zastanawiając się, czy ma szukać salonu, czy też zaczekać na pojawienie się innej służącej.

Zobaczyła zstępującą ze schodów panią domu. Lady Sarah obdarzyła Elise wdzięcznym uśmiechem.

- Słyszałam dzwonek, ale musiałam ułożyć dziecko w kołysce. Przepraszam, że musiała pani na mnie czekać.
- Nie ma za co przepraszać, lady Sarah...
- Może zrezygnujemy z oficjalnego tonu, madame? Wolałabym, żeby mówiła

pani do mnie po prostu Sarah, a ja byłabym wdzięczna, gdybym również mogła zwracać się do pani po imieniu.

- Oczywiście... Sarah.

Gospodyni ujęła ją pod ramię i poprowadziła w stronę niewielkiego pokoju za głównym salonem.

- Proszę, Elise, nie miej mi za złe, że zaprosiłam cię wcześniej niż pozostałych gości. Chciałam z tobą porozmawiać w cztery oczy.

- Jest mi bardzo miło. - Niespożyta energia Sarah nieco ją przerażała. - Później się przekonasz, że potrafię być subtelniejsza, ale nie mamy wiele czasu, więc nie będę niczego owijać w bawełnę.

- Nie wiem o czym pani... o czym mówisz, Sarah.

- Chodzi o mojego brata. - Usiadła na obitej niebieskim aksamitem sofie i wskazała Elise miejsce obok siebie. - Przyszedł do mnie dziś rano i powiedział, że jego zdaniem potrzebujesz przyjaciółki. Starłam się go wypytać o szczegóły, ale powiedział, że nie chcesz z nim rozmawiać i tylko ja mogę okazać się pomocna.

Elise poczuła, że się rumieni. Zdjęła rękawiczki i włożyła je do torebki.

- To bardzo miłe ze strony twojego brata, ale nie powinien był ci narzucać...

- Boże! Niejasno się wyraziłam. Nie wyświadczam żadnej przysługi bratu. Już po pierwszym spotkaniu chciałam zaprosić cię na herbatę i posłuchać opowieści o St. Claire. Mężczyźni nie potrafią dostrzec najbardziej interesujących szczegółów. Lecz zanim do tego dojdziemy... O Boże! Pewnie wydaję ci się wścibska.

- Po tym wstępie jestem przygotowana na wszystko - odparła z uśmiechem.

- Wydaje mi się, że nosisz w sobie wielki smutek To moje odczucie, a nie zdanie Hunta. Doszłam też do wniosku, że, niestety, nie jesteś szczęśliwa w małżeństwie.

Elise się roześmiała. Sarah ujęła to bardzo delikatnie.

- Masz rację w obu przypadkach.

- Jeśli tylko mogłabym ci pomóc, chętnie to zrobię.

- Nie da się na to nic poradzić.

- Nie byłbym tego taka pewna. Mogłabyś się zdziwić, ile da się zrobić, oczywiście jeśli bardzo się czegoś pragnie. Niektóre z moich przyjaciółek musiały wiele przejść, by osiągnąć swój cel. Gdybyś mi zaufała, mogłybyśmy znaleźć jakieś wyjście.

- Och... - Elise nie chciała robić sobie zbyt wielkich nadziei. Jak mogła komukolwiek zaufać, ryzykując tak wiele?

- Wiem, że masz syna. Elise kiwnęła głową.

- Pewnie stanowi dla ciebie pociechę w strapieniu.

Te serdeczne słowa sprawiły, że Elise wyciągnęła chusteczkę i otarła oczy.

- Nie widziałam się z Williamem od mojego powrotu do Anglii.

- Gdzie jest twój syn?

- Barrett mi tego nie powiedział - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. -

Obiecał, że pokaże mi Williama jutro po południu.

Gdy po chwili milczenia Elise uniosła wzrok, zauważyła, że Sarah głęboko się nad czymś zastanawia.

W holu zapanowało nagle poruszenie. Poszły tam, by przywitać się z gośćmi. Sarah przedstawiła Elise cztery młode kobiety.

- Lady Barrett, to są moje przyjaciółki, lady Auberville, pani Hawthorne, lady MacGregor i lady Morgan. Proszę, usiądźcie. Elise potrzebuje pomocy.

Hunt obudził się zlany potem. Znów miał sen, który dręczył go każdej nocy od powrotu z St. Claire. Stał na skałach nad zatoką w Blackpool. Z atramentowej toni wynurzała się twarz Laytona, przypominając Huntowi o jego karygodnym błędzie. Jak mógł pozostać obojętny na wszystkie sygnały - przybycie nowego statku, rozmowy przy barze, sposób, w jaki otoczono Laytona, gdy wychodził z tawerny? Layton zapłacił najwyższą cenę za jego zaniedbania, zginął zamiast niego... Zbyt długo już działał w swoim fachu. Jak dotąd miał nieprawdopodobne szczęście, które

musiało się kiedyś skończyć. Powinien był się wycofać, zanim ktoś inny zapłaci za jego błąd. Ta misja od początku nie zapowiadała się dobrze, wiedział jednak, że nie spocznie, dopóki nie rozwiąże wszystkich zagadek.

Zegar na kominku wybił północ. Hunt postanowił wstać z łóżka. Niepotrzebnie się łudził, że uda mu się zasnąć przed nastaniem świtu.

Włożył szlafrok i podszedł do kominka, by podtrzymać ogień. Do domu wdzierał się nocny chłód. Przez chwilę Hunt żałował, że nie jest na St. Claire. Nieustannie wracał myślami do swego pobytu na wyspie.

Sięgnął po butelkę brandy w nadziei, że alkohol ukoi jego nerwy i pomoże mu zasnąć. Nalał kieliszek i podszedł do okna. W żółtym świetle ulicznych latarni widać było padający śnieg. W nocy miasto wyglądało bajecznie, jednak w dzień śnieg topniał i tworzyła się błotnista breja.

Wrócił do sypialni, wyobrażając sobie, że w jego łóżku leży Elise, z gęstymi włosami rozsypanymi na poduszce i policzkami zarumienionymi od miłosnych doznań. Ogarnęła go bolesna tęsknota.

Przystanął przy biurku, dopił brandy i odstawił kieliszek. Przez chwilę wpatrywał się w muszlę, myśląc o cudownej nocy na St. Claire.

„Nie chcesz pozwolić sobie na marzenia, Daphne?”

Tamtej nocy to on pozwolił sobie na marzenia. Miał nadzieję, że nareszcie będzie mógł prowadzić normalne życie, że Daphne go pokocha mimo jego przeszłości. Wydawało mu się nawet, że może nadać nowy sens jej życiu. Że... Dość! Takie myśli doprowadzały go do obłądu. Powinien nauczyć się żyć bez nadziei. Zaniósł muszlę na stolik przy łóżku. Z jej wnętrza wypadła zaszuszone orchidea. Zapach kwiatu przypominał mu szum fal, grzmoty i błyskawice nad bezkresem oceanu.

Pogładził wnętrze muszli i zamknął oczy. Miał wrażenie, że pieści Elise. Już tylko myśl o niej utrzymywała go przy zdrowych zmysłach.



Elise zapakowała układankę w kolorowy papier i włożyła ją do woreczka z aksamitu wraz z kandyzowanymi śliwkami i figurkami z marcepanu. Nie będzie miała czasu, by zobaczyć, czy syn cieszy się z tych drobnych upominków.

Popatrzyła na duży zegar w salonie i zmusiła się do opanowania. Być może na ulicach był duży ruch i powóz ugrzązł w korku, a może Barrett źle ocenił odległość. Obawiała się, że mąż dał jej nadzieję tylko po to, by potem sycić się jej rozczarowaniem.

Pewnie chciał ją ukarać. Poprzedniego dnia aż poczerwieniał ze złości, gdy powiedziała mu, że lady Sarah zaprosiła swe przyjaciółki tylko i wyłącznie na herbatę. Konwencjonalna rozmowa, obiegowe plotki, nic więcej. Żadnych podchodów, sprytnych pytań, nic z tych rzeczy.

Uznała, że zabrzmiało to przekonująco.

W gruncie rzeczy nie była pewna, czy Sarah i jej przyjaciółki będą w stanie jej pomóc. Nie złożyły żadnych obietnic, jednak cierpliwie jej wysłuchały i dały nadzieję. Była im wdzięczna przede wszystkim za okazaną życzliwość. Po tym spotkaniu poczuła się silniejsza.

Przysunęła krzesło z ażurowym oparciem do kominka i usiadła, by ogrzać dłonie i stopy. Musiała istnieć jakaś przyczyna zwłoki Barretta. Zamierzała spokojnie i poprosić go, by zezwolił jej na cotygodniowe spotkania z Williamem. Czuli, że gdyby udało jej się zmusić do okazania choćby odrobiny uczucia mężowi, być może zezwoliliby nawet na dłuższy pobyt syna w domu.

Nie była pewna, czy będzie w stanie przyjąć Barretta w sypialni. Na samą myśl o współżyciu z mężem czuła mdłości. Bez dużej ilości alkoholu nie zniesie jego dotyku.

Przed domem zatrzymał się powóz. Podbiegła do okna. Barrett wysiadł pierwszy, a po chwili z powozu wyłonił się chudy, ciemnowłosy chłopiec. Elise wstrzymała oddech. William miał zapadnięte, podkrążone oczy i sprawiał wrażenie przestraszonego. Bała się, że odtrąci wyciągniętą ku niemu rękę Barretta.

Usiadła na kanapie, zmuszając się do opanowania. Nie chciała, by William domyślił się prawdziwego stanu jej ducha, poza tym nie należało dawać Barrettowi pretekstu, by odmówił jej prawa do widywania się z synem. Jeśli jednak jej plan się powiedzie, już wkrótce nie będzie musiała prosić męża o pozwolenie.

- Mama! Mama!

Wstała i postąpiła kilka kroków w stronę drzwi, które po chwili otworzyły się i do środka wbiegł William. Czując ściskanie w gardle, rozłożyła ręce w powitalnym geście.

William przytulił się mocno i objął ją w pasie.

- Mamo, gdzie byłaś? Myślałem, że mnie oddałaś. Popatrzyła karcąco na Barretta. Serce jej się krajało na myśl

o Williamie. Biedak myślał, że go opuściła. Może to właśnie powiedział mu bezduszny ojciec, by nakłonić go do wyjazdu z Charlestonu?

- Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy tak nie myśl, synku! Nikomu bym cię nie oddała. - Cofnęła się, by dokładnie mu się przyjrzeć. - Kocham cię i przyjadę do ciebie, gdy tylko będę mogła. Nawet nie wiesz, jak się o ciebie martwiłam. Dobrze się czujesz? Masz co jeść? Uczysz się? William popatrzył na Barretta.

- Papa powiedział, że mamy o tym nie rozmawiać. Postanowiła zaryzykować. Zniżyła głos do szeptu.

- Czy stryj Alfred dobrze cię traktuje?

Syn zmieszał się, jakby nie zrozumiał pytania. Czyżby się myliła i William nie przebywał w domu brata Barretta? Mąż podszedł do niej z szyderczym uśmiechem na twarzy.

- Ostrzegałem, żebyś nie była wścibska, Elise. Mówiłem ci, co się wtedy stanie.

Szeroko otworzyła oczy, udając zdumienie.

- Nazywasz to wścibstwem? Przecież ci powiedziałam, że muszę wiedzieć, czy William jest cały i zdrowy. - Zwróciła się do syna. - Masz co jeść? Jesteś bardzo

chudy.

- Dość tego, Elise - warknął Barrett.

Poczuła, że William drży pod cienkim wełnianym surdudem. Widać było, że boi się ojca. Wręczyła synowi woreczek z prezentami. Po chwili wzięła Williama w ramiona.

- Musisz być dzielny i silny - wyszeptała mu do ucha. - Pamiętaj, że cię kocham i znajdę sposób, żebyśmy znów mogli być razem.

W zielonych oczach Williama pojawiły się łzy. Barrett popchnął syna w stronę drzwi.

Ledwie wyszli z pokoju, Elise chwyciła pelerynę, szybko ją włożyła i wybiegła przed dom, by odprowadzić wzrokiem odjeżdżający powóz. Alfred mieszkał niedaleko i jeśli William przebywał u swego stryja, wkrótce się o tym dowie.

## *Rozdział siedemnasty*

Po raz kolejny w ciągu ostatnich dni Hunt wypatrzył Elise w tłumie gości. Jak w tej sytuacji mógł o niej zapomnieć? Znów wyglądała pięknie i kusząco. Tego wieczoru miała na sobie kremową suknię z głębokim dekoltem ozdobionym koronką, całości dopełniał wisior z szafirem. Rozejrzawszy się dookoła, Hunt zobaczył Barretta pogrążonego w prowadzonej ściszymi głosami rozmowie z dwoma mężczyznami. Zapewne umawiał się z nimi na partyjkę wista.

Hunt zostawił brata w bibliotece Horace'a Thayera. Udało mu się nakłonić Thayera do udostępnienia Charliemu bankowych rachunków i ksiąg handlowych. Charlie twierdził, że wkrótce będzie już mógł ograniczyć listę inwestorów i ubezpieczycieli do kilku kandydatów. Przekonywał, że znajdzie winnego. Thayer,

jeden z najpotężniejszych bankierów w Londynie, zgodził się im pomóc. Niestety przybyli w czasie wieczorku muzycznego i zostali zaproszeni. Nie mogli odmówić.

Na niewielkim podeście w końcu sali balowej panna Hortense Thayer grała na pianinie, a jej siostra Harriet śpiewała pięknym sopranem. Potem ktoś miał zagrać utwór Mozarta, czekano też na dalsze występy. Partyjka wista z Barrettem wydała się nagle Huntowi niezmiernie atrakcyjnym zajęciem.

Elise dopiła wino, odstawiła kieliszek i sięgnęła po następny. Czyżby chciała się upić? Trudno było mieć co do tego wątpliwości. Szybko wychyliła zawartość kieliszka i sięgnęła po trzeci, po czym przeszła w kąt pokoju. Hunt nie miał pojęcia, ile zdążyła już wypić przed jego wejściem na salę.

Podszedł bliżej, popatrzywszy uprzednio na Barretta. Nie życzył sobie kłopotów. Któryś z kompanów Barretta poczęstował swych kolegów cygarami. Mężczyźni wyszli na taras, przedtem jednak Barrett sprawdził, gdzie jest żona. Hunt wiedział, że po powrocie natychmiast będzie jej szukał.

Gdy rozległy się oklaski dla panien Thayer, stanął za Elise. Nie zauważyła go, czekając na pojawienie się kolejnego wykonawcy.

Kiedy rozległy się powolne takty utworu Pachelbela, Elise zamknęła oczy. Wydawało mu się, że dostrzega na jej powiekach łzy. Gdy nieznacznie przechyliła głowę, zobaczył czerwoną plamkę na jej szyi.

Delikatnie otoczył Elise ramieniem. Nie przestraszyła się, nie zaprotestowała.

- Dobry wieczór, lordzie Lockwood - powiedziała miękko.
- Skąd wiedziałas, że to ja?
- A któż inny by się ośmielił...

Uśmiechnął się, zadowolony z odpowiedzi. Wierzył jej. Nie widział, by Barrett kiedykolwiek okazywał jej czułość.

- Mogłaś być moja, Elise... - szepnął.
- Nie. Nigdy nie mogłam być twoja. Barrett...
- Tylko mi nie mów, że masz męża. To parodia małżeństwa. - Położył dłoń na

jej brzuchu i przycisnął ją do siebie.

Nie odwróciła się. Wypiła duszkiem wino.- Po dzisiejszej nocy moje małżeństwo nie będzie już fikcją, Lockwood.

- Dlaczego? - spytał, chłonąc zapach jej perfum.

- Zdecydowałam się... spełnić prośbę Barretta. Dzisiaj zamierzam... otworzyć drzwi mojej sypialni.

Znieruchomiał. Jej słowa mogły oznaczać tylko jedno, choć między wierszami wyczytał pocieszającą wiadomość, że od powrotu do Londynu nie sypiała z Barrettem.

- Dlatego chcesz się upić?

- Będzie mi łatwiej.

- Dlaczego chcesz to zrobić, jeśli czujesz do niego wstręt?

- To akt skruchy. Pokuta za moje grzechy. Zrobię to dla Williama. Nie mogłam go znaleźć, a mam już dość czekania. Poza tym być może to mi pozwoli zapomnieć o tobie.

Wyjął pusty kieliszek z jej ręki.

- Nigdy mnie nie zapomnisz, Elise.

- Czy to przekleństwo, czy błogosławieństwo? - Zachichotała i zaraz zakryła usta dłonią. - Cii.

Westchnął, przesuwał dłońmi po jej piersiach. Brodawki stwardniały, tworząc maleńkie wypukłości na staniku sukni. Marzył o tym, by obwodzić jej, sutki językiem, musiał jednak zadowolić się pieszczotami dłoni.

Jak dotąd nie przyciągnęli niczyjej uwagi, jednak lada chwila mógł wrócić Barrett. Jeszcze przed kilkoma dniami Hunt byłby nawet rad wprowadzić Elise w zakłopotanie, lecz jego gniew minął.

Do sali wszedł Charles. Dostrzegłszy Hunta, tylko się uśmiechnął. Hunt wiedział, że może liczyć na dyskrecję brata.

- Więc to z powodu tej damy tak interesujesz się Barrettem? - zapytał Charlie.  
Hunt zgromił go wzrokiem.- Czy Thayer udostępnił ci zestawy lokat bankowych, wpłat i wypłat?

- Tak, ale o tym szał. Ostrzegł, że gdyby ktoś się o tym dowiedział, ucierpiałoby na tym dobre imię banku. Zaczynam się czuć jak urzędnik. Całymi dniami przeglądam księgi, robię zestawienia, sprawdzam nazwiska i daty. -  
Westchnął przesadnie. - Nie taką pracę miałem na myśli, starając się o posadę w ministerstwie.

- Jeśli pragniesz mocniejszych wrażeń, mogę ci dać inne zlecenie.

- Mam nadzieję, że nie żartujesz. - Charles ożywił się. - Marzę o dreszczyku emocji.

Hunt popatrzył na Elise. Stała tam, gdzie ją zostawił, z kolejnym kieliszkiem wina w ręku.

- Barrett pali cygaro na tarasie. Kiedy tu wróci, podejdź do niego i udawaj wesołego hulakę. Powiedz, że chciałbyś się zabawić z panienkami z półświatka. Zagraj z nim w karty...

- Gotów uznać mnie za kompana. On ma nieprawdopodobne szczęście. Ogoli mnie do łysa.

- Pokryję wszelkie straty. Kup mu whisky i zabierz go do Alice. Ona chętnie spełni każdą jego zachciankę. Dopilnuj, żeby Barrett wrócił do domu dopiero rano.

- Nie zamierzasz chyba...

- Nie, ale nie chcę, by zrobił to Barrett. Ta dama w tej chwili nie jest w stanie rozsądnie myśleć.

- Spróbuję, ale nie jestem pewien, czy sprostim wyzwaniu.

- Znajdź Andrew. On ci pomoże. Zakasuj was. Charlie się roześmiał.

- A co będzie z tą damą?

- Koniecznie jedźcie powozem Barretta, a ja odwiozę ją do domu naszym powozem.- Co ty knujesz, braciszku?

- Chcę tylko dopilnować, by dama bezpiecznie dotarła do domu.

Hunt czekał po drugiej stronie ulicy, aż powóz wiozący Elise włączy się do ulicznego ruchu. Charlie i Barrett wsiedli do innego powozu i odjechali w przeciwnym kierunku. Dopiero wtedy Hunt skręcił w boczną uliczkę, gdzie zgodnie z ustaleniami czekał jego powóz. Szybko wskoczył na stopień.

- Okrąż Hyde Park, a potem powiem ci, gdzie masz jechać, Anderson - powiedział do stangreta, po czym wszedł do powozu. Uśmiechnął się na myśl o tym, że choć do tej pory trzymał się z dala od salonowych gier, stawał się prawdziwym mistrzem w tej sztuce.

Widząc Hunta, Elise szeroko otworzyła oczy, lecz zaraz się roześmiała.

- Wielkie nieba! A już zaczynałam mieć nadzieję, że spokojnie dojadę do domu.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Jak myślisz, co zamierzam teraz zrobić, madame?

- Nie mam pojęcia, ale wiem, że nic dobrego. Nie mogę zasnąć po naszych spotkaniach.

- Wypiłaś tyle wina, że będziesz spała jak dziecko.

- Wypiłam za mało. - Popatrzyła na Hunta. - Nie masz przypadkiem wina? Jestem spragniona.

Popatrzył na nią z pobłażliwym uśmiechem. Jego zdaniem była na tyle podchmielona, by mówić prawdę, i na tyle trzeźwa, by nie tracić panowania nad sobą.

- A ja mam ochotę wypić coś mocniejszego. Skoro wywołałaś ten temat, każe Andersonowi kupić wino i whisky w gospodzie. - Nie rób mu kłopotu. Zaraz dojedziemy do domu.

- Wcale nie tak zaraz.

- W takim razie chętnie napiję się wina. Nie chcę wytrzeźwieć.

- To jakiś nowy zwyczaj, madame, czy też praktykujesz go od dawna?

- Nowy, milordzie. Muszę przyznać, że bardzo mi się podoba. Przyda mi się na przyszłość.

- Chciałbym pomówić o przyszłości, ale najpierw coś ustalmy. Czy mam rację, podejrzewając, że po powrocie nie spełniasz małżeńskich obowiązków względem męża?

Pogroziła mu palcem.

- Ciszej, Lockwood. To moja sprawa.

- Mam rację?

- Tak. Nie powinno cię to dziwić, bo Barrett jest odrażający.

- A jednak jestem zaskoczony. Przypuszczałem, że musisz go lubić, skoro do niego wróciłaś.

Wzdrygnęła się.

- Gdzie jest to wino? Chyba trzeźwieję.

- A ja uważam, że dość już wypić.

- To mi nie wystarcza.

- Nie będziesz musiała się upijać dzisiejszej nocy, Elise. Popatrzyła w okienko powozu. Jej nastrój zmienił się gwałtownie, uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Chcę się upić do nieprzytomności. - Dlaczego?

- Barrett co noc próbuje wejść do mojej sypialni, aż wreszcie się włamie. Nie dam rady go powstrzymać, ale zanim to na mnie wymusi, chcę wejść z nim w układ i otrzymać coś w zamian za... moje wdzięki.

Boże. Elise musiała żyć w ciągłym strachu. Wszystko zaczynało mu się układać w logiczną całość.- Czy on cię szantażuje? Zamknęła oczy.

- Gdzie jest to wino?

- Wróciłaś tutaj, myśląc, że trafisz do więzienia. Co się stało? - Daj spokój...

Usiadł obok niej i chwycił ją za rękę.

- Nie, Elise. Skoro zamierzasz kupeńczyć swym ciałem, muszę wiedzieć, co cię do tego skłoniło.



Gdy otworzyła oczy, ujrzał w nich rozpacz.

- Kupczyk ciałem... - powtórzyła. - Tak, zawsze się bałam, że stanę się dziwką.

Nie chciał zadawać jej bólu, musiał jednak wreszcie poznać prawdę. Ujął jej twarz, i odgarnął włosy, odsłaniając blizny. Wiedział, jak doszło do powstania jednej z nich, lecz Elise nigdy nie wyjawiała prawdy o tej drugiej. Popatrzył na plamę na jej szyi i nagle wszystko zrozumiał. Dotknął starej blizny przy skroni.

- To sprawka Barretta? - Gdy kiwnęła głową, spytał: - Dlaczego to zrobił?

- Chciał skrzywdzić Williama, a ja starałam się go powstrzymać.

Hunt czuł narastającą wściekłość.

- Odejdź od niego. Wynajmę dla ciebie dom i będziesz mogła w nim mieszkać do uzyskania rozwodu.

- A na jakiej podstawie mam uzyskać rozwód, milordzie? Mój mąż ma prawo mnie bić. To ja jestem winowajczynią. Wiesz przecież, że próbowałam go zabić. Ukradłam rodowe klejnoty i porwałam Williama. Uciekłam od męża. Za każde z tych przewinień mogę trafić na szubienicę. Nie zapominaj też, że jestem cudzołożnicą.

- Elise, przecież nie wiedziałaś, że twój mąż żyje.- Nie to jest w tym wszystkim najgorsze. - Uniosła ku niemu twarz i popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Tak chciała, by ją zrozumiał. - Najgorsze jest to, że zrobiłabym to jeszcze raz... i być może to zrobię. Jednak wtedy upewnię się, że naprawdę nie żyje. Jestem dziwką, morderczynią i porywaczką, a do tego złodziejką.

Boże. Była gotowa obciążyć swe sumienie na resztę życia, iść na zatracenie. Nie mógł do tego dopuścić. Musi sam zabić Barretta.

- Zaczekaj parę dni, Elise. Wszystkim się zajmę. Zaopiekuję się tobą. Znajdę jakiś sposób.

- Nie! - Znieruchomiała. - Nie wolno ci nic robić. Obiecay mi to. - Zaczęła go szarpać za rękaw. - Jeśli coś się stanie Barrettwi, William...

William. Powiedziała, że nie może go znaleźć.

- Barrett cię szantażuje, przetrzymując gdzieś Williama?

- Odnalazł go w szkole w Charlestonie i przywiózł do Londynu. Wiedział, że przyjadę tu za Williamem. Zastawił na mnie pułapkę i wciąż trzyma mnie w szachu. Jak mogłabym się z nim rozwieść, skoro sąd przyzna mu opiekę nad Williamem?

Hunt nie znajdował żadnych argumentów, lecz nareszcie kawałki układanki złożyły się w całość. Wiedział już, dlaczego Elise wróciła do Barretta. Po prostu nie miała wyboru. .

Przytulił ją i zaczął namiętnie całować, szczęśliwy, że znów ma ją w ramionach.

- Hunt...

Rozpiął jej pelerynę. Nie znosił widoku klejnotów Barretta, dlatego odpiął wisior z szafirem i rzucił na podłogę. Potem szarpnął jej suknię, odsłaniając pełne piersi, i zaczął szybko obwodzić jej sutki językiem.

- Hunt... Hunt...Zastygła w oczekiwaniu. Odnalazł jej najczulsze miejsce, pieszcząc je dłonią tak długo, aż poczuł, że cała drży.

Nie mógł posunąć się dalej. Była żoną innego mężczyzny. Napierała na jego dłoń, wydając ciche jęki.

- Myśl o mnie - wyszeptał, potem schylił się, uniósł z podłogi wisior i wsunął w jej dłoń. - Smacznie śpij i nie rób tego, czego możesz później żałować. Bądź rozsądna, Elise. Na pewno będę w stanie ci pomóc.

Słyszając brzęk sztućców, Elise drgnęła. Siedzący naprzeciwko niej Barrett był jednak w znacznie gorszym stanie. Wodził po talerzu widelcem, lecz nawet nie tknął jedzenia. W końcu wypił tęgi łyk wina.

- Klin klinem, Barrett? - pozwoliła sobie na złośliwość.

- Powściągnij język, kobieto. Mężczyźni mogą używać do woli, ale ty wczoraj zrobiłaś z siebie widowisko. Byłaś pijana, kiedy pomagałem ci wsiąść do powozu.

- Przynajmniej weszłam na schody bez niczyjej pomocy. Gdzie się

podziewałaś tak długo?

Skrzywił się, przyłożył palce do skroni.

- Nie pamiętam. Najpierw odwiedziłem przybytek Thackery'ego, potem Alice... - Popatrzył na nią karcącym wzrokiem. - Nie poszedłbym do tej starej zdziry, gdybyś spełniała swoje małżeńskie obowiązki.

- O ile sobie dobrze przypominam, bywałaś u Alice jeszcze przed moją ucieczką. - Zmusiła się do zjedzenia kawałka mięsa. Nie przejmowała się tym, że mąż wini ją za swe eskapady. Wolała, by chodził do Alice, niż odwiedzał jej sypialnię. Zadrżała. Przypomniała sobie, że jeszcze wczoraj była gotowa się poddać. Teraz nie miała już tego zamiaru. Jak jednak miała znaleźć Williama? Zauważywszy, że przeniknął ją dreszcz, Barrett powiedział złośliwie:

- Lepiej coś zjedz. Idziemy dzisiaj do Argyle Rooms na przyjęcie wydane przez Trvisa.

- Męża lady Sarah?

- Nie inaczej. Wczoraj bawiłem się z braćmi Hunterami. Ci to mają energię!

- Wszyscy?

- Co do jednego. Charlie i James potrafią się bawić, ale ten Andrew... co za rozpustnik! Sam diabeł nie dałby mu rady. Potem dołączył do nas Lockwood. Ten to może wypić!

- Który z braci odwiózł cię do domu?

- Nie wiem, Lockwood albo Andrew. Przypominam sobie, że wnieśli mnie do powozu. Psiakrew! - Zaczął pocierać czoło. - Coś mi mówił. Chyba kazał mi iść prosto do łóżka.

Wielkie nieba! Lockwood starał się obronić ją przed nią samą.

- Słuchaj, co mówię, do cholery! - ryknął Barrett, podskakując na dźwięk swego głosu.

- Jakie przyjęcie wydaje Travis? - zapytała. - Czy to będzie jakaś maskarada?

- Cholera, zapomniałem. Chyba coś mówił o kostiumach. Nie wiem, dlaczego

dorośli ludzie chcą wyglądać jak idioci.

- Żadnych kostiumów - poparła go.

Wstała i odłożyła serwetkę na krzesło. Miała ochotę się położyć i zrobić zimny kompres na zaczerwienione oczy.

- Elise! - zawołał Barrett, gdy ruszyła ku schodom. - Postaraj się być miłą i czarująca. Mam już dość twojego wystawiania pod ścianami, jakbyś gardziła naszym towarzystwem.

Ugryzła się w język, by nie przypomnieć Barrettowi, czyj to był pomysł.

## *Rozdział osiemnasty*

Wystawność wewnątrz Argyle Rooms mogła zadziwić niejednego. Podając okrycie lokajowi, Elise czuła się niezręcznie. Rozejrzała się dookoła. Olśniły ją greckie kolumny, złocone freski, alkowy jeszcze liczniejsze niż w „Belmondzie”, miękkie dywany, lśniące boazerie i migotliwe kryształowe kandelabry. Chociaż sale otwarto w 1806 roku, do tej pory nie miała okazji w nich być. Natomiast jeśli sądzić po zachowaniu Barretta, czuł się jak u siebie w domu. Czyż nie tu odbywał się co roku Bal Cór Koryntu?

Barrett poprowadził ją kolejnymi imponującymi schodami i podał zaproszenie stojącemu w wyniosłej pozie osobnikowi, który skinieniem głowy wskazał dalszą drogę. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że żadna kobieta nie nosi kostiumu. Było to zwyczajne przyjęcie, jeśli przyjęcie można nazwać zwyczajnym.

Niepewnie dotknęła włosów. Anne upięła je w koronę, a spod klamry, którą zdobiła gałązką ostrokrzewu, wypuściła kilka kosmyków, aby swobodnie opadały. Barrett kazał jej włożyć rubiny, które dobrze pasowały do czerwonych jagódek

pozostałych na gałęzce. Gdy szła za mężem w poszukiwaniu gospodarza wieczoru, krótki tren ciemnozielonej aksamitnej sukni zamiatał dywan.

Lord Ethan i lady Sarah stali przy podwójnych drzwiach, ale nieco z boku, by uniknąć tarasowania przejścia przez gości składających wyrazy szacunku. Gdy Barrett z Elise podeszli, lady Sarah zrobiła krok naprzód i ucałowała Elise w policzek.

- Cieszę się, że udało ci się przyjść mimo tak krótkiego terminu - powiedziała.  
- Nawet nie wiem, kiedy wysłano zaproszenia, ale jest mi bardzo miło, że jesteś wśród gości.

Elise się uśmiechnęła. Wierzyła, że lady Sarah powiedziała to szczerze. Lord Ethan ujął ją za rękę i skłonił się.

- Lady Barrett, miło mi widzieć panią ponownie.  
- Wzajemnie, sir. - Wydawał się zaskakująco świeży jak na człowieka, który poprzedniego wieczoru hulał w towarzystwie jej męża. Jednak nie wszyscy byli tak pijani jak Barrett.

- Spotkamy się później - zapowiedziała lady Sarah. - Bardzo chciałabym odbyć z tobą małą pogawędkę.

- A ja zawsze pilnuję, żeby przynajmniej raz zatańczyć z każdą damą, która u nas gości - dodał lord Ethan. - Niech więc pani nie próbuje się ukrywać.

Elise zrobiło się bardzo przyjemnie. Nie wątpiła w szczerść tego powitania, choć nie umiała odgadnąć jego powodu.

Barrett wziął ją pod ramię i zaprowadził do stołu w miejsce, gdzie stała czara ponczu, a sam poczęstował się eggnogiem, gęstym koktajlem z dodatkiem utartych jajek i gałki muszkatołowej.

- O, widzę Charliego Huntera - powiedział. - O ile pamiętam, jest mi winien pieniądze. Zaraz wrócę.

Odetchnęła, gdy się oddalił. Zawsze czuła się swobodniej, gdy Barretta nie było w pobliżu. Ponieważ wciąż było jej chłodno, pomyślała, że poszuka czegoś

rozgrzewającego do picia. Kiedy podeszła do czary piwa z korzeniami, przystanąła. Unosił się nad nią lekki zapach alkoholu, ale na pewno nie taki mocny, jaki zapamiętała z poprzedniego wieczoru. Ucieszyła się, bo nie wydawało jej się, by szybko była gotowa na powtórkę tamtego doświadczenia.

Hunt pochylił się nad okrągłym stołem w saloniku na zapleczu sali balowej i gdy Charlie zakończył wstępne sprawozdanie, omiótł wzrokiem zebranych. Eastman wydawał się niewzruszony, Charlie wykazywał umiarkowany entuzjazm, Auberville siedział z przymrużonymi powiekami, jakby ważył uzyskane informacje, a Ethan podszedł do okna.

- Czyli w ten sposób mamy ująć zdrajcę? - zabrał głos Eastman. - Badając różne rozliczenia?

- Tak, sir - powiedział Charlie. - Dzięki temu uzyskamy listę podejrzanych, zawężymy ją do osób, które miały faktyczne możliwości, a potem odkryjemy, która z nich miała motyw.

- Bardzo bystro, chłopcze - stwierdził z uśmiechem Eastman. - Nie przyszło mi do głowy, że nasz zdrajca mógł wcale nie wyjeżdżać z kraju.

Hunt wzruszył ramionami.

- To się jeszcze okaże. Nie wiadomo, ilu ludzi będzie w to zamieszanych. Musi istnieć jakiś związek między Londynem a Saint Claire. Wciąż ustalamy kanał przekazu informacji.

- Co dalej?

- Zamierzam udać, że szczęście trochę się ode mnie odwróciło. Charlie pomaga mi, przegrywając pokaźne sumy do Barretta. Rozpuszczę pogłoskę, że szukam dobrze oprocentowanej inwestycji, aby zrekompensować sobie straty, i mało mnie obchodzi legalność przedsięwzięcia i ryzyko. Chodzi jedynie o wysoki zysk. Ciekawe, kto zgłosi się z propozycjami. Mam nadzieję, że zanim Charlie zakończy analizę ksiąg i rachunków, będę dysponował wiarygodną listą podejrzanych. A jeśli

pomysł się sprawdzi, to może zainwestuję w jakiś statek.

- Niech pan uważa, Lockwood. Chyba nie chce pan zyskać w towarzystwie reputacji utracjusza?

W ogóle go to nie obchodziło. Świetnie zdawał sobie sprawę, że i tak położył na szali swoją reputację, kiedy zaczął otaczać względami Elise.

- Jeśli chodzi o pana, lordzie Eastman, chciałbym prosić, aby zdradził pan mimochodem kilku osobom w ministerstwie, że jestem w trudnym położeniu, po prostu bliski bankructwa. Auberville i Ethan, wy również możecie o tym komuś wspomnieć. Zobaczymy, czy ktoś połknie przynętę. Aha, Ethan, jutro przeleję na twoje konto znaczną sumę. Chcę wyglądać jak biedak na wypadek, gdyby ktoś zainteresował się moimi zasobami.

Sarah ujęła Elise pod ramię i poprowadziła ją ku wolnym krzesłom.

- Tak cię cieszę, że przyszedłaś, Elise. Obawiałam się... że z jakiegoś powodu nie będziesz mogła tu się zjawić.

- Masz na myśli Barretta?

- Cóż... - Sarah na chwilę zamilkła, gdy zajmowały miejsca. - Wydaje mi się, że jego nie zawsze łatwo do czegoś przekonać. Dostyc jednak o mężach. Chciałam porozmawiać o sytuacji twojego syna.

Elise rozejrzała się uważnie, by upewnić się, że Barrett niczego nie usłyszy.

- Proszę, Sarah, mów dalej.

- Tamtego popołudnia, gdy nas opuściłaś, nadal rozważaliśmy twój dylemat. Chociaż nie zwróciłaś się do nas o pomoc, postanowiłyśmy sprawdzić, czy coś można w tej sprawie zrobić. Rozumiemy naturalnie, że sytuacja jest delikatna, ponieważ Barrett jest parem.

- Dziękuję bardzo za zainteresowanie. - Elise czuła, że pieką ją policzki. Sprawilo jej wielką ulgę, że mogła opowiedzieć o Williamie, ale nie oczekiwała pomocy.

- Nie ma za co, moja droga. Nie pierwszy raz interesujemy się sprawami przyjaciół.

- Naprawdę?

- Owszem, i zebrałyśmy sporo różnych doświadczeń, dlatego wynajęliśmy policjanta, żeby śledził powóz Barretta, kiedy wyjeżdżał z Londynu z chłopcem wczoraj po południu.

Elise jęknęła. A jeśli Barrett coś zauważył? Mąż mógł ją uderzyć, nawet nie podnosząc ręki. Wystarczało, że ukarze za jej winy Williama. Inna sprawa, że sama też próbowała śledzić powóz, ale straciła go z oczu po kilku przecznicach.

- Sarah, jeśli znajdziesz mojego syna, bardzo proszę zostawić go tam, gdzie teraz przebywa, póki nie wymyślę dla niego jakiejś kryjówki. Jeśli nie przygotuję wszystkiego zawczasu, Barrett zniweczy moje plany.

Sarah przykryła jej dłoń swoją.

- Barrett na nas patrzy. Uśmiechaj się, bo może się domyślić, że rozmawiamy o czymś ważnym.

Elise powściągnęła chęć spojrzenia w tamtą stronę i udało jej się nawet roześmiać.

- Jeśli Barrett zauważył, że był śledzony...

- Nie zauważył, Elise, i nie zauważy. Niestety, ostatnio nasz policjant nie był w stanie za nim wyruszyć. Powóz wyjechał z miasta przez Oxford Road. Pan Renquist upewnił się jednak, że William nie znajduje się w domu brata Barretta.

Elise z trudem tłumiała niepokój.

- Czyli nie jestem ani trochę dalej niż wczoraj?- Odrobinę dalej, moja droga. Wiemy, gdzie Williama nie ma. Może spróbujemy jeszcze raz?

- Jak?

- Jeśli przekonasz lorda Barretta, by przywiózł chłopca ponownie, pan Renquist może pojechać za powozem konno.

Przekonać Barretta? W tym celu musiałyby go czymś skusić. Popatrzyła na



niego z rosnącym obrzydzeniem. I znów zadała sobie pytanie, czy byłaby w stanie to zrobić.

- Dobrze, przekonam go. Przyślę ci liścik z informacją o dacie i godzinie wizyty Williama. Jeśli panu Renquistowi uda się ustalić, gdzie William jest przetrzymywany, proszę niezwłocznie dać mi znać, osobiście albo przez posłańca. Proszę nie pisać żadnych liścików, które mogą zostać przejęte.

- Rozumiem. Chcę też dodać, że myślimy o tym, jak poprawić twoją sytuację. Musimy jednak znaleźć sposób na rozmowę z twoim mężem w taki sposób, który w niczym ci nie zagrozi.

- Sarah, nie wiem, jak mam dziękować i tobie, i twoim przyjaciółkom. Przecież wy mnie prawie nie znacie. Jak spłacę ten dług wdzięczności?

- Coś wymyślimy. - Akurat podeszli do nich mąż lady Sarah ze szwagrem.

Lockwood pochwycił spojrzenie Elise i szeroko się uśmiechnął. Wiedziała, że pomyślał o poprzednim wieczorze. „Myśl o mnie”. Wielki Boże, jak mogła kiedykolwiek zapomnieć?

- Nigdy nie widziałam Lockwooda w takim stanie - szepnęła Sarah. - Ilekroć patrzy na ciebie, ma serce na dłoni. Dodałam dwa do dwóch, no i wyszło mi... dwa, a dokładniej wy dwoje. Rozumiem, że na St. Claire całkiem dobrze się znaliście.

- Czy to Lockwood poprosił, żeby mi pomogła?- Wielkie nieba, nie! On poprosił tylko, abym zaprosiła cię na herbatę. Nie ma zielonego pojęcia, co planujemy. Przecież znasz mężczyzn. Zaraz pomyśleliby, że muszą to ukrócić i wziąć sprawy w swoje ręce, żeby rozwiązać problem po męsku, czyli siłą.

Hunt stał na ulicy przed Argyle Rooms i patrzył, jak Andrew odjeżdża z Barrettem jego powozem, a Elise oddała się w drugą stronę powozem Barretta. Andrew z wielką gorliwością wykonywał swoje zadanie i powstrzymywał Barretta przed powrotem do domu o godziwej porze. Wreszcie był jakiś pożytek z szelmowskiego uśmieszku i hulaszczczej natury brata.

- Słyszałem, że szuka pan dobrej inwestycji, Lockwood - rozległ się za jego plecami głos Gavina Doyle'a.

Hunt się odwrócił.

- Owszem, owszem. Czy ma pan coś dla mnie?

- To możliwe. Muszę bliżej przyjrzeć się sprawie. Transport morski nie budzi pańskich sprzeciwów?

- Przeciwnie, jestem gotów zaryzykować w tej branży poważną sumę.

- Największy zysk przynoszą statki nieubezpieczone, to pan naturalnie wie, choć z drugiej strony ryzyko jest największe.

Hunt wzruszył ramionami. Czyżby wszystko miało się okazać tak dziecinnie łatwe?

- Nie mam nic przeciwko ryzyku. To oczywiste, że im bardziej potrzebuję pieniędzy, tym większe ryzyko jestem gotów podjąć.

- Znakomicie. Gdzie mogę pana znaleźć?

- W moim klubie. Można też przysłać posłańca do domu. Muszę jednak powiedzieć, że mnie pan zaskoczył. Nie wiedziałem, że zajmuje się pan inwestycjami.

- Dlaczego? - Doyle spojrzał na niego z urazą. - Myśli pan o moim niskim pochodzeniu? To tylko jeszcze jeden powód. Jeśli chce się iść do góry, trzeba mieć na to środki.

- Tak mówi człowiek, który wszystko zawdzięcza sobie - stwierdził Hunt pojednawczo. - To godne podziwu. W każdym razie słyszałem, że dobrym miejscem na zgromadzenie majątku są również Indie.

- Podobno. Niestety, zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek tam dotrę.

- Chyba nie zamierza pan zrezygnować z przydziału?

- Nie, ale rysują się inne możliwości.

- Mam nadzieję, że bliżej domu.

- Nadzieję zawsze warto mieć, prawda, Lockwood?

Gdy Elise wchodziła na kościelne schody, niebo miało prawie ten sam odcień co brudny od sadzy śnieg. Nigdy dotąd nie uczestniczyła w nabożeństwie żałobnym. Kiedy zmarł ojciec, uznano, że jest za mała.

Zdziwiło ją, że przyszło tak mało ludzi, przypomniała sobie jednak, że kapitan Gilbert był przede wszystkim wilkiem morskim i po śmierci żony stracił kontakt z większością dawnych przyjaciół. Trochę jednak zaniepokoił ją fakt, że jest jedyną kobietą.

Usiadła w jednej z ostatnich ław. Hebanowa trumna stała przed amboną. Elise trudno było pogodzić się z faktem, że znajduje się w niej kapitan, a właściwie jego doczesne szczątki. Coś ścisnęło ją za gardło, więc sięgnęła do torebki po chusteczkę.

Patrzyła na trumnę i mogła tylko wspominać, jak kapitan Gilbert klepał ją po ramieniu i odchodził bez pożegnania. Gdy dopłynęli do Anglii, pomachał do niej z pokładu i też nie zawołał niczego na pożegnanie. Smutno jej było, że już go nie zobaczy i nie będzie mogła się śmiać z jego żartów i dobrodusznym umizgów. Uniosła woalkę, aby osuszyć oczy. To straszne, że porządni ludzie, tacy jak Gilbert, padają ofiarą morderców i złodziei, podczas gdy ludzie pokroju jej męża znęcają się nad słabszymi od siebie i uchodzi im to na sucho.

Zmówiła własną modlitwę za spokój duszy kapitana Gilberta. Nie chciała czytać z modlitewnika, uważała, że należy mu się coś bardziej osobistego.

Nabożeństwo dobiegło końca. Duchowny oznajmił, że pogrzebu nie będzie, ponieważ kapitan wyraził wolę, aby pochowano go obok żony w Dover. Na wspomnienie o jego żonie Elise znowu musiała walczyć ze łzami. Modliła się z całej duszy, żeby kapitan połączył się z kochaną kobietą po tylu samotnych latach wierności.

Wstała i szybko wyszła na ulicę, żeby ktoś nie zdążył jej zaczepić.

- Lady Barrett!

Przystanąła, ale nie odwróciła się.

Pan Doyle podszedł do niej i skłonił się.

- Gdybym wiedział, że pani wybiera się do kościoła, przywiózłbym tu panią.

Zdjęła woalkę i zdecydowanym ruchem otarła oczy. Przez cały czas słyszała w głowie zrządzenie Barretta, że okazywanie emocji jest niestosowne. Odchrząknęła.

- Dopiero dziś rano przeczytałam nekrolog w „Timesie”, panie Doyle.

- Mimo wszystko bardzo mi przykro, że nie wiedziałem o pani zamiarze. Jeśli jednak pani sobie życzy, to zapraszam do powozu. Odwiozę panią do domu.

- Dziękuję bardzo, ale nie skorzystam. Spacer dobrze mi robi.

- Skoro pani tak uważa.- W takich chwilach lubię zostać sam na sam ze swoimi myślami.

- Koniecznie musimy w najbliższym czasie porozmawiać, szanowna pani. -

Uchylił kapelusza i ruszył do powozu.

Elise odetchnęła z ulgą. Wyrzuciła z myśli dziwaczne pożegnanie Doyle'a i ruszyła ulicą, wpatrując się w ziemię. Nie chciała patrzeć przechodniom w oczy ani widzieć oznak współczucia na widok jej łez, nie chciała jednak również zwracać na siebie uwagi czarną woalką.

Minęła kilka przecznic, gdy nagle zorientowała się, że zaczął padać mokry śnieg i że ktoś za nią idzie. W końcu przystanęła i odwróciła się.

Lockwood przystanął obok niej i powitał ukłonem.

- Witam panią. Czy wszystko w porządku?

- Czy pan za mną szedł, Lockwood?

- Tak. - Wcale nie wydawał się tym faktem skruszony.

- Po co?

- Zaniepokoiłem się, ale słyszałem, że chce pani być sama, więc nie chciałem zakłócić jej spokoju.

Rozejrzała się dookoła i zauważyła podjeżdżający powóz. Omal się nie uśmiechnęła na myśl, jak dziwacznie musiała wyglądać ta scena. Powóz jadący za Huntem, Hunt idący za nią, a ona wędrująca przed siebie z wzrokiem wbitym w

ziemię.

- Zamierzał pan tak iść za mną przez całą drogę?

- Liczyłem się też z taką możliwością, że pani się zmęczy. Uniosła rąbek sukni i pokazała przemoczone pantofelki.

- Zimno mi w nogi, Lockwood. Jeśli się pan nie rozmyślił, chętnie skorzystam z pańskiego powozu.

Skinął na stangreta, po chwili otworzył przed nią drzwi pojazdu. Nie podał jej jednak ręki, lecz po prostu uniósł Elise i wsadził do wnętrza, a potem szybko sam wskoczył. Usadowiła się na wygodnym miękkim siedzeniu i spróbowała trochę rozruszać przemarznięte palce u stóp. Lockwood usiadł obok i zabębnił w dach.

- Hertford Street, Anderson. Nie śpiesz się - zawołał i odwrócił się do niej. - Lady Barrett, czy mogę jeszcze w jakiś sposób pomóc?

- Co tak dworsko, Lockwood? Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek słyszałam, żeby był pan w równie opiekuńczym nastroju. - Zaczęła powątpiewać, czy postąpiła rozsądnie, przyjmując ofertę podwiezienia. Co powie Barrett, kiedy zobaczy ją wysiadającą z powozu oznaczonego herbem Lockwooda?

- Wątpię, proszę pani. To sprawa łąz. Mężczyźni są znani z takiej słabości, że nie potrafią znieść kobiecego płaczu.

- Niektórym kobiecie płacz na pewno nie przeszkadza. Przybrał gniewną minę. Zaczął na zmianę zaciskać i rozginać dłonie, jakby zamierzał kogoś uderzyć. Wcale nie chciała wywołać takiej reakcji, ale nie wiedziała, jak naprawić szkodę, która już się stała.

- Modłę się, żeby nie mierzyła pani wszystkich mężczyzn miarą swojego męża. Zaslugujemy na lepszą opinię.

Lockwood istotnie na nią zasługiwał, podobnie jak kapitan Gilbert, ale w jej doświadczeniach to oni byli wyjątkami od reguły. Jej ojciec, brat, a teraz również mąż w najlepszym razie okazywali jej obojętność, a często znęcali się nad nią.

- Czy nie ma pani nic do powiedzenia na ten temat?

- Proszę, Lockwood, niech pan da spokój. Nie mam dzisiaj nastroju do walki.  
Proszę mówić prosto z mostu.

- Czy pamięta pani, co powiedziała mi w powozie przedwczoraj wieczorem?

- Mgliście. - Miała nadzieję, że nie przypomni jej, jak rozpustnie się zachowała.- Powiedziała mi pani wszystko, Elise. Nie sądzę, żeby to było zamierzone, ale teraz już wiem, dlaczego pani tutaj wróciła. Wiem, w jaki sposób Barrett zmusił panią do tego, żeby z nim pozostała, i jaką ma nad panią władzę. Zdawało mi się przedtem, że poczuję się lepiej, jeśli poznam prawdę, ale się myliłem. W ostatecznym rozrachunku miała pani rację. To nie ma znaczenia. Wciąż należy pani do Barretta... tak jak konie, dom albo klejnoty.

Przez rękawiczkę obróciła na palcu złotą obrączkę i skinęła głową.

- Zdaję sobie z tego sprawę, milordzie, i nie jest to przyjemne.

- Nie mogę jednak znieść widoku pani z tym człowiekiem, nie mogę myśleć o tym, że jest ojcem pani dziecka, wyobrażać sobie, że robi w pani łożu to, co i my robiliśmy.

Jej szorstki śmiech odbił się echem w pudle powozu.

- Niech mi pan wierzy, Lockwood, jeśli ma to pana pocieszyć, że Barrett i ja nie robimy nic z tego, co my robiliśmy.

Poczuła delikatne muśnięcie warg. Słodkie, lecz zaprawione wielką goryczą pożegnania. Zarzuciła mu ramiona na szyję, domagając się powtórzenia pocałunku, a on nie dał się prosić dwa razy.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że powóz zwalnia i przystaje, dopóki stangret nie otworzył drzwi i głośno nie chrząknął.

## Rozdział dziewiętnasty

Charlie przyszedł ostatni, kiedy Hunt, Ethan i Auberville już siedzieli. Pchnął po blacie księgi w stronę Hunta i zajął ostatnie wolne miejsce.

- Przepraszam za spóźnienie, panowie.
- Oszczędź nam czasu, Charlie, i powiedz, co odkryłeś.

- Gdybym ja to wiedział na pewno... - powiedział z rozbajającym, młodzieńczym uśmiechem - ale popatrzcie. - Otworzył inną księgę i położył ją obok pierwszej. - Są tu pewne dość oczywiste powtórzenia. Myślę, że wiem, co to znaczy, ale chcę, żebyście sami wyciągnęli wnioski.

Hunt zerknął na tytuły i powiedział zebranym:

- Pierwsza księga to zestawienie strat poniesionych wskutek piractwa. Druga obejmuje wypłaty dla inwestorów ubezpieczonych statków. - Przebiegł palcem najpierw po pierwszej liście, a potem po drugiej. Charlie miał rację. W obu miejscach wybijały się dwa nazwiska: Langford i Doyle.

Po dłuższej analizie stwierdził, że jeszcze trzech inni mężczyźni odgrywają w księgach dużą rolę. Dwaj byli agentami Lloyda. Eastman pojawiał się na listach nieco rzadziej, ale kim był Langford? Hunt starał się skojarzyć to nazwisko. Wiedział, że je zna, tylko nie mógł sobie uświadomić, skąd.

- Pięciu ludzi - zastanawiał się głośno. - Z porównania list wynika, że pięciu ludzi czerpało zyski zarówno wtedy, gdy statek bezpiecznie dopływał do portu, jak wtedy, gdy napadali na niego piraci. Tylko który z nich wiedział o napadach, zanim jeszcze do nich doszło? Charlie, czy zacząłeś już badać rachunki bankowe?

- Nie miałem dotąd czasu, ale skoro znamy już nazwiska, to wkrótce się do tego wezmę. Sprawdzę księgi pod kątem wypłat i lokat. Powinno pasować, ale...

Auberville oparł się wygodniej.

- Kogo obstawiasz, Charlie?

- Trudno powiedzieć. Pozycja lorda Eastmana w Ministerstwie Spraw Zagranicznych sugeruje, że jest człowiekiem godnym zaufania, prawda? Agenci Lloyda wydają się dość podejrzani, ale nie potrafię pojąć, w jaki sposób mogliby wiedzieć z góry, który statek bezpiecznie dotrze do portu, a który padnie łupem piratów. To wymagałoby znajomości kursu statków i wiedzy o ich ładunkach. Prawdopodobnie również kontaktu z piratami, bo przecież trzeba było ich zawiadomić, które statki są warte ryzyka, a których nie warto atakować.

- Słusznie. - Hunt zwrócił się do Ethana i Auberville'a. Powiedziałem wam, że to bystry chłopak.

- Jak jednak możemy to udowodnić?

- Musi być ślad tych oszustw. Dowcip polega na tym, że trzeba wiedzieć, gdzie szukać. A teraz już wiemy, gdzie. - Wskazał palcem nazwiska w księgach.

- Ja bym obstawiał Doyle'a - stwierdził Ethan.

Hunt był tego samego zdania, ale były to tylko przeczucia.

- Dlaczego tak uważasz?- Przyglądałem mu się, kiedy włączyliśmy się z Barrettem. Doyle udaje, że pije i hula, ale zawsze uważnie wszystkich obserwuje. Myślę, że kalkuluje na zimno każde swoje posunięcie i każde słowo. Tylko człowiek mający coś do ukrycia zachowuje się w taki sposób.

Rozbawiony Auberville spojrział na Hunta.

- Sam pewnie niekoniecznie chce w tym uczestniczyć, ale za to bardzo się stara, żebyśmy czuli się swobodnie. Może liczy, że nas na czymś przydybie. A skoro już o tym mowa, to dlaczego właściwie łazimy po różnych spelunkach z Barrettem, Hunt?

- Chcę, żeby Barrett był jak najrzadziej w domu.

- Zwłaszcza nocami - nie zdołał powstrzymać się od komentarza Charlie.

Hunt spiorunował go wzrokiem, ale z dyskretnego skinienia głowy brata wywnioskował, że rozwinięcia tematu nie będzie.



- Sarah powiedziała mi w zaufaniu, że jej zdaniem Barrett źle traktuje żonę - powiedział Ethan.

Huntowi znów przypomniał się siniec na ciele Elise. Sumienie go gryzło. Wiedział, że Barrett jest brutalem, ale nie wierzył w jego całkowity brak rozsądku. Chyba nie mógł znęcać się nad żoną na oczach całego Londynu. A jednak...

Przysięgłby, że tego ranka, kiedy odwiózł ją do domu, widział ruch zasłony w oknie. Ktoś musiał czekać na Elise. Miał nadzieję, że to nie był Barrett i że nie widział tego ostatniego pocałunku. To był naprawdę ostatni. Hunt nie mógł znieść tego, że jest intruzem i że nie ma do Elise najmniejszego prawa. Nie chciał dalej torturować się w ten sposób.

Mógł też zabić tego bydlaka. Zabijał przecież ludzi z błahszych powodów.

Napięte milczenie przerwał cichy głos Auberville'a: - Spokojnie, Hunt. Mogę zgadnąć, o czym myślisz. Zastanów się jednak dobrze, zanim pochopnie zrobisz coś nieodwracalnego. Co innego kochać kobietę, a co innego skompromitować ją, rzucając wyzwanie jej mężowi.

Czyżby tak marnie się maskował? Jeśli przyjaciele wszystko wiedzieli, to czy całe towarzystwo nie szepcze już o tym po kątach?

- Nie ma mowy o kompromitowaniu - odburknął. - Jest mężatką i nic na to nie poradzę, ale nie możecie chyba oczekiwać, że będę się beczynn timer przyglądał, jak on się nad nią znęca.

- Musisz - mruknął bez przekonania Ethan. Nawet Charlie skinął głową. Jednak ich twarze dowodziły, że myślą inaczej.

Elise zerknęła w sieni na swoje odbicie w lustrze. Dopięła brakujący szmaragdowy kolczyk i spojrzała na odbicie stojącego obok niej Barretta.

- Mogą być szmaragdy czy przyniosłeś coś innego?

- Myślisz, że to jest na pokaz, prawda? Moim zdaniem nie ma jednak nic złego w tym, jeśli pokażę całemu towarzystwu, że znowu jesteś moja, jak i klejnoty. -

Trącił kolczyk palcem.

- Bo jesteś moja, prawda, Elise?

Jego głos zabrzmiał bardzo nieprzyjemnie.

- Przecież jestem tutaj, prawda?

- Dałem ci trochę swobody i uważnie obserwowałem, moja droga.

Zauważyłem powóz Lockwooda odwożący cię pod dom, ale minęła jeszcze spora chwila, zanim wysiadłaś. I wtedy uświadomiłem sobie, co mnie tak niepokoi. Znasz go z St. Claire.

Skinęła głową i schowała chusteczkę do torebki. Miała nadzieję, że Barrett nie widział ich pocałunku.- Jak dobrze go znałaś?

- Przyjechał na St. Claire na tydzień przed moim wyjazdem.

- To nie jest odpowiedź, żono. - Obszedł ją dookoła, uważnie mierząc wzrokiem. - Najpierw wydawało mi się, że on cię nie lubi, teraz jednak zastanawiam się, czy nie chodzi o coś więcej. - Pochylił się nad jej uchem i położył dłonie na jej nagich ramionach - Czy miałaś go między nogami?

Ogarnęła ją panika. Tego chyba Barrett nie mógł wiedzieć. Dumnie uniosła głowę.

- Twoja wulgarność mnie zaskakuje, Barrett.

- A może to o Doyle'a powinienem się martwić? Przecież miał przydział na St. Claire przez dwa, a może nawet trzy lata.

- Zdaje się, że tak, ale nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Poznałam go dopiero na krótko przed wyjazdem.

- To prawdziwy zbieg okoliczności, że wracaliście tym samym rejsem. Czy miałaś dwuosobową kabinę?

- Dlaczego masz taką obsesję na punkcie mojej cnoty, a właściwie jej braku, Barret? Przecież mnie nie kochasz. Sądziłabym raczej, że niecierpliwie czekasz, aż wezmę sobie kochanka, żebym nie interesowała się twoimi hulankami.

- A interesujesz się, moja miła? - Uśmiechnął się drwiąco. - Może te hulanki

były błędem. Może powinienem spędzać więcej czasu w domu i poświęcać go mojej spragnionej miłości żonie?

- Jeśli ci życie miłe, to lepiej nie.

- Ciekawe. Zauważyłem, że unikasz odpowiedzi na moje pytania o Lockwooda i Doyle'a. Gdybym przekonał się, moja droga, że przypięłaś mi rogi, uduśliłbym cię gołymi rękami. - Zamknął dłonie na jej szyi i lekko zacisnął.

Elise stała nieruchomo. Uwielbiał ją w ten sposób straszyć, nie zamierzała jednak dać mu satysfakcji. Nie okaże lęku. To tylko wzmogłoby jego sadystyczne zapędy. Poczekała więc, aż rozluźni uścisk, i wtedy spytała:

- Skończyłeś, Barrett? Sądzę, że powóz już czeka.

Zsunął dłonie i zacisnął je z kolei na jej ramionach, a dopiero potem ją puścił.

- Myślisz, że jestem głupcem? Jeszcze zobaczymy, o kim z nas dwojga można tak powiedzieć. Nie dbasz o swoje dobro? Trudno, w takim razie jest nas dwoje, tyle że ja wiem, co dla ciebie jest ważne. Ten smarkacz.

- Mów sobie, co chcesz, Barrett, ale nie wierzę, byś zabił swojego dziedzica. To wzbudziłoby zbyt wiele pytań i zbyt wiele plotek. Jako par ponosisz bezpośrednią odpowiedzialność przed królem, a mnie zmęczyło już słuchanie twoich absurdalnych gróźb.

Zmrużył oczy.

- Jeszcze zobaczymy, droga żono. Zastanawiam się, czy nie sprowadzić tego szczeniaka tutaj. Wtedy zobaczyłabyś, co potrafię.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że William może być bezpieczniejszy tam, gdzie trzymano go jako zakładnika, niż we własnym domu. Ta myśl była dla niej trzeźwiąca. I przerażająca.

- Wtedy po prostu byś wyjechała, prawda? Po odzyskaniu smarkacza nie miałabyś już powodu, żeby tu przebywać.

Okryła ramiona podbitą futrem narzutką i spróbowała przejąć inicjatywę w tej grze.

- Uprzedź mnie o następnej wizycie Williama, Barrett, bo będę coraz bardziej zajęta. W środy chodzę na spotkania kółka literackiego lady Sarah, postanowiłam też zgłosić się do pomocy w szpitalu dla sierot.

- Byle tylko nie siedzieć w domu? To bardzo sprytne, moja droga. A gdybym przywoził Williama codziennie?

- Zrobiłbyś wszystko, byle tylko mi dokuczyć.

- Przywiozę go jutro, droga żono. I lepiej bądź w domu, bo inaczej więcej wizyt nie będzie.

Gdy Barrett wsiadł już do powozu, a Elise czekała, aż stangret pomoże jej wejść na stopnie, zmówiła w milczeniu krótką modlitwę dziękczynną. Postanowiła jak najszybciej wysłać liścik do Sarah.

W holu „U Thackery'ego” Hunt podał płaszcz służącemu i przystanął, czekając, aż Andrew zrobi to samo. Przez cały wieczór rozglądali się za Doyle'em. Teraz, gdy krąg podejrzanych w śledztwie zawęził się do kilku osób, chciał mieć je wszystkie na oku. Eastman spędzał większość wieczorów w domu, Charlie próbował ustalić, kim jest Langford, a do śledzenia dwóch agentów Lloyda Hunt zaangażował policję. Pozostawał Doyle. Hunt zamierzał więc zainteresować się propozycją inwestycji, którą kusił go charge d'affaires.

Andrew wyglądził rękawy i podszedł do Hunta.

- Ethan i Auberville postanowili dziś wieczorem dotrzymać towarzystwa swym żonom. Muszę powiedzieć, że trochę stracili zapal do rozrywek od czasu, gdy byli kawalerami.

Hunt roześmiał się z przytyku. Andrew jako młodszy syn pozwalał sobie na wiele. Nie musiał dbać o dobre imię rodziny ani o swoją reputację, a do roli czarnej owcy podszedł z wielkim zaangażowaniem. „Ktoś musi”, mawiał często.

Hunt omiótł wzrokiem stoliki, a potem zerknął w górę, żeby sprawdzić, czy ktoś nie przygląda im się z antresoli.

- Duży tu dzisiaj ruch - stwierdził.

- Tak, mnóstwo ludzi. Alkowy w głębi zajmuje po dwóch mężczyzn, gdzieś widziałem nawet trzech. Otwarto dyskretne pokoje na piętrze, żeby wszystkich pomieścić. Czyli ma być Doyle, tak? - spytał, biorąc kieliszek wina od przechodzącego lokaja. - A co z Barrettem? Wydawało mi się, że to ta mała wesz nas interesuje. Niby na swój sposób zabawny typ, ale szybko można się nim zmęczyć. Muszę jednak oddać mu sprawiedliwość, że stara się żyć na poziomie.

- Dzisiaj interesuje mnie Doyle. Gdybyśmy natknęli się na Barretta, jest twój.

- Natkniemy się niechybnie. Widziałem jego powóz w kolejce na dworze. - Andrew zmrużył oczy, jakby pomagało mu to przeniknąć wzrokiem półmrok. Inaczej niż w mieniącym się blaskiem jasnym wnętrzu domu gry „Belmonde”, w królestwie Thackery'ego rządziły półmrok i tajemniczość.

Hunt nie potrafił powściągnąć ciekawości.

- O czym rozmawia Barrett? Co zajmuje jego myśli?

- Myśli? A on ma w ogóle jakieś myśli? - Andrew uśmiechnął się półgębkiem.

- Zdawało mi się, że ma jedynie piękną żonę.

- Andrew...

- Już dobrze, dobrze. Nie jestem taki tępy, żeby nie zauważyć, w jakim kierunku zmierzają twoje zainteresowania, Hunt. Muszę jednak powiedzieć, że mnie dziwisz. To nie w twoim stylu adorować mężatki. Nie mam nic przeciwko temu, żeby trochę go zająć w czasie, gdy pozwalasz sobie na amory, ale któregoś dnia będziesz musiał mi się odwzajemnić w ten sam sposób.

- Nie... - Hunt ugryzł się w język. To nie byłaby prawda. Przecież pozwalał sobie na amory. - Nie chodzi o to, żeby mi nie przeszkadzał, tylko żeby nie miał czasu dla niej.

Andrew na wszelki wypadek wrócił do pierwotnego pytania.

- Ciekawi cię, co zajmuje jego myśli? Hm, niewiele, poza rozpustą. Akurat w tej dziedzinie wykazuje się sporą pomysłowością. Córy Koryntu ciągną losy, która

ma mu dogodzić. Wniosek z tego, że musi je traktować dosyć brutalnie.

Huntowi przypomniało się ciche pytanie Elise podczas burzy. „Czy nie zrobisz mi krzywdy?” Znowu naszła go ochota, żeby solidnie wygarbować Barrettowi skórę.

- Jaki więc mam wyciągnąć wniosek, kiedy widzę, że panienki garną się do ciebie całymi stadami, Andrew?

- Że dobrze płacę, dobrze zabawiam albo przynajmniej jestem zabawny.

- Pewnie chodzi o pieniądze.

- Będę o tym pamiętał, zabawiając Barretta. O, właśnie o wilku mowa...

Hunt podążył wzrokiem za bratem. Barrett stał przy stoliku, gdzie grano w ruletkę, i emocjonował się kolejnymi numerami, natomiast Elise wydawała się przebywać we własnym świecie. Stojąc obok, gładziła lśniący naszyjnik ozdobiony wspaniałym szmaragdem w kształcie łyży. Nagle Hunt zrozumiał, dlaczego Barrett każe jej nosić te klejnoty. To było piętno, znak jego własności.

Ruszył w ich stronę, ale zdążył zrobić ledwie dwa kroki, kiedy Andrew dyskretnie chwycił go za ramię.

- Niech Barrett sam do nas podejdzie. W ten sposób będzie miał problem do przemyślenia.

- A jeśli nie podejdzie?

- Podejdzie. Jemu się zdaje, że może mnie pobić w mojej grze. Nie omieszka spróbować.

- W twojej grze, Andrew? Ciekawe, czy odważę się spytać o szczegóły.

- To mogłoby być nierozsądne, Hunt. Chodźmy lepiej na górę. Barrett już nas zauważył i wkrótce nas tam znajdzie. Hunt był skłonny przychylić się do tej opinii. Pokoje na antresoli były przeznaczone do gier o niezwykle wysokie stawki, a salonik przy schodach stanowił królestwo elity półświatka. Należało sądzić, że Barrett nie oprze się takiej pokusie.

Gdy doszli do podnóża schodów, rozległo się wołanie:

- Lockwood! Andrew!

Odwrócili się i ujrzeli idącego ku nim Gavina Doyle'a. Łup sam wpadał im w ręce.

- Witamy, Doyle. Przyłączy się pan do nas? Właśnie szliśmy na górę.

- Trochę później, Lockwood. Muszę najpierw znaleźć Barretta. Miałem spotkać się z nim tutaj godzinę temu, ale zatrzymały mnie sprawy.

Hunt ruszył za Andrew po schodach. Wszystkie pokoje oczywiście były pozamykane, antresola ciągnęła się jednak dookoła, mogli więc popatrzeć z góry na dolną salę, a obchód zakończyli wejściem do saloniku dla królów półświatka, skąd dobiegały głośne objawy wesołości.

Z punktu obserwacyjnego na obrzeżu saloniku, Hunt wyraźnie widział Barretta i Elise. Właśnie im się przyglądał, gdy dołączył do nich Doyle. Akurat w tej chwili Barrett z całej siły wbił palce w ramię żony, gdy ta nieco się od niego odsunęła. Elise zachowała jednak kamienny spokój. Wielki Boże! Barrett po prostu wysysał z niej życie!

Gdy znów odwrócił się do stolika, Elise zerknęła w górę i pochwyciła spojrzenie Lockwooda. Przez chwilę mógł rozkoszować się ogniem widocznym spod uchylonej maski chłodu, zaraz jednak maska wróciła na swoje miejsce. Skinął jej głową, a ona odpowiedziała tym samym, tak jak należało odpowiedzieć przypadkiem spotkanemu znajomemu.

- Nie zniżaj się nad sobą, Hunt - powiedział cicho Andrew.- Ona jest piękna, ale dziesiątki kobiet lepiej nadają się na lady Lockwood. Znam cię dobrze i wiem, że nigdy nie zadowolilibyś się drugim miejscem za innym mężczyzną. Poza tym swoje znaczenie ma również to, że ona jest mężatką.

- Tylko jeśli Barretta można nazwać mężem.

- Bez względu na to.

- Zaraz wracam. - Hunt odwrócił się i odszedł. Brat miał rację, ale to nie była przyjemna prawda.

Powietrze na antresoli było ciężkie od perfum, dymu i seksu. Panienki

zachowywały się bardzo śmiało. Rudowłosa piękność zatrzymała wzrok na Huncie i Andrew i uśmiechnęła się do nich szeroko.

- Lockwood! - zawołała schrypniętym głosem.

- Przy Betty krew zaczyna krążyć o wiele szybciej, nie sądzisz? - powiedział Andrew, nie zważając na jęk brata.

Betty już była przy nich, już ujęła Hunta za ramię.

- Przyszli panowie zagrać w ruletkę? Czy może w coś innego?

Andrew rozejrzał się po saloniku ze znudzoną miną.

- To się jeszcze okaże, Betty.

- Wiecie, gdzie mnie szukać, chłopcy. - Pochyliła się nad Andrew, aby mógł obejrzeć w pełnej krasie jej obfite kobiece wdzięki, po czym odeszła.

- To był zły pomysł - szepnął Hunt. - Barrett nie zostawi żony, żeby tutaj przyjść.

- Skoro tak, to nie odwracaj się teraz, bracie.

## Rozdział dwudziesty

- A, tu pan jest, Lockwood!

Słyszając powitanie Doyle'a, Hunt odwrócił się i stwierdził, że obok charge d'affaires stoi też Barrett.

- Cieszę się, że mógł pan *się* do nas przyłączyć. I pan też, Barrett. -

Ostentacyjnie spojrzał mu przez ramię. - A gdzież podziała się pańska urocza żona? Zdawało mi się, że są państwo nierozłączni.

- Dziękuję, Lockwood, że zawsze wykazuje pan tyle troski o moją żonę.

Opowiedziała mi o waszej... przyjaźni na St. Claire. Teraz jednak, kiedy wróciła do



Londynu, już nie musi pan się nią opiekować.

- Przynajmniej dopóki opiekuje się nią kto inny - odparł beznamiętnie. Chciał sprowokować Barretta, żeby przestał się bezczelnie uśmiechać, ale poczuł dłoń Andrew na ramieniu.

Barrett skrzywił się, nie zareagował jednak na zaczepkę, tylko zwrócił się do Andrew:

- Co pan wymyślił dla nas na wieczór, Hunter?

- Zawsze mamy miłe kobiety. - Andrew znacząco skinął głową we właściwym kierunku. - Są też walki kogutów w Whitechapel, ale jeśli macie ochotę na coś bardziej egzotycznego, to słyszałem o czarnej mszy na cmentarzu w Clerkenwell. Wybór należy do was, panowie.

- Zostajemy - powiedział Doyle, wędrując wzrokiem ku Betty w drugim końcu saloniku.

Barrett miał inną koncepcję.

- Clerkenwell - powiedział głosem zdradzającym mroczną żądzę.

Andrew zerknął na Hunta, czekając na jego opinię.

- Clerkenwell - potwierdził Hunt. W ten sposób miał szansę zająć Barretta aż do świtu.

- No, no, Hunt. Nie podejrzewałem cię o takie skłonności - zdziwił się Andrew.

- Takie czasy...

Andrew zaraz jednak pojął intencje brata, stanął między Doyle'em a Barrettem i opiekuńczym gestem otoczył ich ramionami.

- Chodźcie więc, moje owieczki. Najpierw zaspokoimy głód strawy z tego świata, a potem wyruszymy do Clerkenwell, by poznać Księcia Ciemności. Mamy czas. Szatańskie dzieło zaczyna się po północy.

Hunt powoli kierował się ku wyjściu z saloniku. Elise bez opieki mogła napytać sobie Bóg wie jakich kłopotów. „U Thackery'ego” to nie „Belmonde”, gdzie

kobieta swobodnie krążyła między stolikami. Gdy jej mąż udał się na górę, ona zapewne próbowała utrzymać na dystans jakiegoś natrętnego zalotnika.

Sytuację przewidział całkiem trafnie, podszedł więc do Elise i ujął ją za ramię.

- Przepraszam, że zostawiłem panią na tak długo. - Przeszył chłodnym spojrzeniem żółtodzioba, który musiał dopiero co przyjechać z prowincji. Nie należało się zresztą spodziewać, by jego pobyt w Londynie trwał długo, jeśli nie nauczy się unikać takich miejsc jak „U Thackery'ego”.

Młodzieniec rozsądnie cofnął się, wykonał ukłon przed Elise i niemal biegiem wrócił do swoich towarzyszy.

Elise popatrzyła na niego bardzo zielonymi i bardzo szeroko otwartymi oczami.

- On myślał, że ja... że jestem...

- Kobieta z półświatka? Owszem, kręci się tu takich mnóstwo. Barrett nie powinien był zostawić pani samej. - Przynajmniej zachował na tyle przytomności umysłu, że nie wziął jej na górę. Tam nawet nie zdążyłaby krzyknąć o pomoc i już ktoś zaciągnąłby ją do dyskretnego pokoju.

- Powinnam była tego się domyślić, kiedy spytał mnie, ile sobie życzę za swoje usługi.

Hunt zachichotał.

- Myślę, że drugi raz nie popełni tego samego błędu, szanowna pani.

Trochę się odprężyła.

- Jestem podobnego zdania. - Westchnęła. - Wyglądał pan bardzo groźnie.

- Bo jestem groźny. - Ujął ją za ramię i odciągnął od stolików. - Słyszałem od Barretta, że opowiedziała mu pani o naszej przyjaźni na St. Claire. Chyba nie był zachwycony tą wiadomością, prawda?

- Po co pan o tym wspomina?

- Barrett radził mi, żebym trzymał się od pani z dala.

- A jednak jest pan tutaj.

- Pani mąż był na tyle głupi, że zostawił ją samą. Pomyślałem, że pomoc może się przydać.

Byli już prawie na środku pomieszczenia, gdzie wielki kandelabr dawał dużo światła. Gdy Hunt odwrócił się do niej, zauważył siny ślad poniżej szyi. Ogarnęła go wściekłość. Przesunął wzrok na jej ramię. Blisko skraju rękawa dostrzegł kolejne sine znaki pozostawione przez palce Barretta.

- Niech pani poczeka na mnie w sieni, Elise.

- Nie... - Z jej oczu biło szczere przerażenie. - Proszę pana, Lockwood...

Było jednak za późno, a Barrett posunął się za daleko. Przesadzając po dwa stopnie, Hunt szybko znalazł się w saloniku na piętrze. Swego przeciwnika dostrzegł w przeciwległym kącie.

Pierwszy zauważył go jednak Andrew, który natychmiast pojął, co się święci i odsunął się od Barretta. Kuso ubrana kobieta też wykazała się refleksem i postąpiła podobnie.

Zdumiony Barrett wykrzyknął:

- Co tu, się, do diabła...

Nie dokończył, bo Hunt chwycił go za fular i cisnął na ścianę. Potem, patrząc mu prosto w oczy, wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- Spróbuj dotknąć jej jeszcze raz, a odpowiesz mi za to, Barrett, rozumiesz? Wystarczy byle pretekst.

Barrett zdołał go trochę odsunąć.

- Możesz mieć lepszy tytuł, od mojego, Lockwood, ale do mojej sypialni wstępu nie masz. Elise należy do mnie i nic na to nie poradzisz.

- Zuchwałe słowa jak na tchórza znęcającego się nad kobietami. Mylisz się jednak. Mam na to radę. Mogę cię zabić. Wystarczy do tego całkiem błahy powód.

- Hunt - powiedział Andrew, kładąc mu rękę na ramieniu. - Uspokój się. Zwracasz na siebie uwagę.

Niechętnie wypuścił fular z dłoni.

- Zapamiętaj, Barrett, co ci powiedziałem. Nie ma takiego miejsca, w którym mógłbyś się przede mną ukryć. Barrett bez słowa zajął się poprawianiem fularu, natomiast Hunt odwrócił się i zaklął w duchu. Wszyscy wpatrywali się w niego i Barretta.

A potem w napiętej ciszy rozległ się przeraźliwy krzyk i głośny łoskot.

Chcąc uniknąć dalszych kłopotów z Barrettem, Elise stanęła w głównej sali z boku. Nie chciała czekać na Lockwooda w sieni, ponieważ nie mogła z nim wyjść, bo wtedy zapłaciłby za to William. Musiała to Lockwoodowi wytłumaczyć, kiedy zejdzie na dół.

Wydało jej się, że w pomieszczeniach na górze zapadła nienaturalna cisza. O Boże! Wkrótce wszyscy będą wiedzieć, co zrobił Barrett i jak przyjął to Lockwood... Nagle z góry doleciał ją dziwny zgrzyt. Poderwała głowę i ujrzała lecącą prosto na nią palmę w doniczce. Z krzykiem odskoczyła ku kolumnom podtrzymującym antresolę. Poczowała prąd powietrza na policzku i uderzenie w lewe ramię. Zatoczyła się i upadła. Obok rozległ się ogłuszający trzask. Ziemia z rozbitej doniczki rozsypała się na wszystkie strony.

Przez chwilę Elise leżała bez ruchu niepewna, czy nic więcej się nie zdarzy, uznawszy jednak, że niebezpieczeństwo minęło, usiadła. Zrobiło się wielkie zamieszanie, ludzie otoczyli ją kręgiem.

Ktoś z tyłu ujął ją pod łokcie i pomógł wstać. Ujrzała Lockwooda, na którego twarzy wściekłość mieszała się z troską.

- Czy coś się pani stało, Elise?

- Nie. - Nie miała czasu pomyśleć. W wianuszku mężczyzn dojrzała pana Doyle'a, Barretta i Andrew Huntera. Wszyscy próbowali coś powiedzieć jednocześnie, ale to głos Barretta usłyszała wyraźnie:

- I co tym razem sprokurowałaś?

- Nic. Tylko...

- Jeśli Elise stanie się jakakolwiek krzywdą, będę wiedział, że to twoja wina - warknął Lockwood, patrząc na Barretta.

Zrobiło jej się gorąco. Czowała się upokorzona tym, jak mąż traktuje ją publicznie, ale szczęście w tym nieszczęściu było takie, że miała obrońcę w Lockwoodzie.

- Nic mi się nie stało. Naprawdę - powiedziała błagalnie; Lockwood uważnie jej się przyjrzał, a potem omiótł wzrokiem tłumek

- Co się stało? - spytał.

- Usłyszałam dziwny chrzęst i zaraz potem spadła palma. Udało mi się odskoczyć. -

- Doniczki nie przeskakują przez poręcz. Ktoś musiał ją zrzucić, proszę pani. - Jego chłodne spojrzenie odbijało domysły, jakie właśnie snuł.

Wielkie nieba! On miał rację. Lecz czyja to była robota? Barrett był przez cały czas z Lockwoodem, a kto jeszcze mógłby chcieć ją skrzywdzić?

- Polecę lokajowi, aby podstawiono pani powóz - zwrócił się do niej Lockwood. - Powinna pani natychmiast pojechać do domu, a my bliżej się temu przyjrzymy.

- Zawiozę ją do domu - przerwał mu Barrett. - Pan...

- Jestem jej mężem, Lockwood. Niech pan o tym pamięta. Znowu zapadła znacząca cisza.

Elise nie mogła dopuścić do publicznego roztrząsania jej grzechów.

- Pójdę z Barrettem - powiedziała z nadzieją, że jej głos brzmi spokojnie.

Widziała, że Lockwood walczy z sobą, by zapanować nad gniewem, a Barrett z pewnością chciał go sprowokować. Dlatego chociaż za nic nie chciała zostać z mężem sam na sam, wiedziała, że musi ich rozdzielić, zanim stanie się coś nieodwracalnego. Nawet brat Lockwooda wydawał się głęboko zaniepokojony.

- Prześlę pani wiadomość o wynikach śledztwa - powiedział w końcu.

Skinęła głową, a Barrett ujął ją pod ramię i wyprowadził.

Hunt znalazł na poręczy ślady spychania doniczki. Stałaby się morderczym narzędziem, gdyby Elise nie wykazała się refleksem. Palma była wysokości człowieka i znakomicie maskowała tego, kto się za nią krył.

Andrew przepytał ludzi w dyskretnych pokojach, czy nie słyszeli czegoś podejrzanego, ale niczego się nie dowiedział. Z kolei Doyle przesłuchał lokajów i innych członków służby, wszyscy jednak zaprzeczyli, by mieli cokolwiek wspólnego z incydemtem.

- Czy to mógł być wypadek? - spytał Andrew. Hunt spojrział na niego jak na wariata.

- Nie chcę powiedzieć, że doniczka spadła przez przypadek, ale czy nie miała trafić w kogo innego niż lady Barrett? - poprawił się Andrew.

- Ją raczej trudno z kimkolwiek pomylić.

- Zatem kto mógłby chcieć ją skrzywdzić? Kiedy zabrzmiał krzyk, Barrett był z nami. Ilu wrogów może mieć ta dama?

To samo pytanie dręczyło Hunta. Gdyby Elise nie miała więcej sekretów, to nikt nie próbowałby jej zabić. Chyba że...

Chyba że incydent wiązał się z pobytem Elise na St. Claire i tym, co tam robiła. Hunt modlił się, żeby to nie on okazał się mimowolnym sprawcą tego zdarzenia. Ze śmiercią Laytona jakoś mógł się pogodzić, wszak tajny agent wiedział, co ryzykuje, a mimo to podjął się zadania. Lecz Elise? Ona była w tym wszystkim całkiem niewinna. Jak mógłby żyć ze świadomością, że ma jej śmierć na sumieniu?

- Niech pan da temu spokój, Lockwood - poradził Doyle. - Być może zanedto się tym emocjonujemy, zwłaszcza że wcale nie musiało chodzić o nią. Im więcej szumu wokół tego zrobimy, tym więcej będzie rozmów na ten temat przy śniadaniu. A jej już wystarczy niedobrej sławy, nie sądzi pan?

Doyle miał rację. Hunt ostatni raz omiół wzrokiem zebranych, wśród których krył się niedoszły morderca.

- Kto jedzie do Clerkenwell? - spytał Andrew.

- Nie ja. - Doyle poprawił ubranie. - Spędzę trochę czasu z Betty, a później wrócę do domu.

- Hunt?

Zaprzeczył ruchem głowy. Prawdę mówiąc, ani przez chwilę się tam nie wybierał.

- Skoro nie potrzebujecie już mojego towarzystwa, to ja ruszam - powiedział Andrew. - Spróbuję po drodze namówić Jamesa albo Charliego. Oni zawsze szukają nowych rozrywek.

Andrew poszedł swoją drogą, a Doyle wrócił na górę poszukać bujnie obdarowanej przez naturę Betty. Natomiast Hunt zażyczył sobie kieliszek wina, a potem stanął w pobliżu miejsca, gdzie rozbiła się doniczka. Służący w liberiach wciąż sprząтали pobojuwisko. Hunt zmierzył wzrokiem odległość między antresolą a parterem.

Trzeba było silnego człowieka, aby podnieść palmę, a dźwignięcie jej na poręcz wymagało jeszcze większej siły. Nie było wątpliwości, że ktoś chciał trafić w Elise.

Rigo nie żył, podobnie jak jego pomagier Lowe, co innego Saldon. Ten mógł łatwo przekazać informację komuś w San Marco. Ale dlaczego Elise? Przypomniał sobie incydent z procą na pikniku.

Piskliwy śmiech ponownie zwrócił jego uwagę na antresolę. Betty prowadziła za rękę Doyle'a. Kierowali się do jednego z dyskretnych pokoi.

Doyle nie był świadkiem jego konfrontacji z Barrettem.

Doyle? Tak, to możliwe... ale dlaczego Elise?

Hunt wiedział, że ktoś go śledzi, odkąd opuścił „U Thackery'ego”. Rabusie często czaili się na dżentelmenów opuszczających domy gry, nie było w tym niczego niezwykłego. O późnej porze, gdy zmysły były oteplone od alkoholu i rozkoszy, gra-

cze często padali ofiarą kieszonkowców lub bardziej brutalnych obwiesiów. Hunt skręcił za róg i szybko przywarł go muru, a jednocześnie dobył sztyletu zza cholewy buta.

Wnet zza rogu wyszedł żyłasty mężczyzna ubrany na czarno, z czapką nasuniętą na oczy. Chciał skryć się w ciemnym kącie zajęty przez Hunta, więc wpadł mu prosto w ręce Hunt zacisnął opryszkowi ramię wokół szyi, a drugą ręką przytknął sztylet do torsu.

- Czego sobie ode mnie życzysz, człowieku?
- Niczego, jaśnie wielmożny, całkiem niczego.
- To czemu mnie śledzisz?
- A kto powiedział, że śledzę?

Gdy Hunt mocniej przycisnął sztylet, obwieś zakwiczął jak zarzynana świnia.

- Ja powiedziałem, a ja się nigdy nie mylę.
- Bez urazy, jaśnie wielmożny. Taki jeden dał mi funta i kazał iść za wielmożnością. Czyżby jego życie było warte jednego funta? Huntowi ta cena wydawała się zawyżona.

- Tylko iść, he? - Przycisnął opryszka do muru, żeby nie próbował się wyrwać, obszukał go i wyciągnął pałkę spod płaszcza. Wypróbował ją na swoim więźniu i cisnął na ziemię. - A tak miałeś mi powiedzieć „dobry wieczór”, co?

- To pomyłka!
- A to? Wykałaczką, jak rozumiem?
- Wielmożny niczego mi nie dowiedzie.

Bez najmniejszych skrupułów Hunt wykonał błyskawiczny ruch sztyletem. Gdy kawałek ucha opadł bandycie na płaszcz, ten nawet nie krzyknął, bo nie miał dość powietrza.

- Nie zamierzam niczego dowodzić, dobry człowieku. Po prostu chcę dostać kilka odpowiedzi. Dasz radę?

Obwieś skinął głową, nie przestając żałośnie pojękiwać.



- Kto ci kazał mnie zabić?

- Nie wiem. Jakiś inny wielmożny. Nie powiedział, jak się nazywa.

Hunt przesunął mu ostrzem sztyletu po szyi w stronę drugiego ucha.

- Szkoda, że ta odpowiedź mi się nie podoba, ale przynajmniej będziesz miał podobne uszy.

- Nie! Chwileczkę, wielmożności... Przysięgam, że nie powiedział, jak się nazywa, ale powiedział, że jeśli się dobrze spiszę, będzie miał dla mnie więcej pracy. I że sam mnie znajdzie.

Zabrzmiało to sensownie.

- Opisz go.

- Dość wysoki. Nie tak jak wasza wielmożność, ale wysoki. I też solidny chłop. Twarzy dobrze nie widziałem. Miał nisko nasuniętą czapkę, a było ciemno. Teraz też pewnie powiedział prawdę. Tylko głupiec pozwoliłby się obejrzyć najmowanemu zbirowi.

- Za funta, powiadasz? Tani jesteś. A czy on będzie chciał dostać swoje pieniądze z powrotem?

- Nie da rady, wielmożny. Mnie nie znajdzie.

Hunt pociągnął go ku latarni. Postanowił przekazać tego bandziora patrolowi straży i polecić, aby go śledzono, kiedy zostanie wypuszczony. Jeśli zostanie wypuszczony.

Barrett miał posepną minę przez cały czas jazdy powozem i raz po raz nienawistnie zerkał na żonę. Jego milczenie przerażało ją jeszcze bardziej, niż gdyby głośno krzyczał. A ta eskorta w drodze do domu zapowiadała duże nieprzyjemności. Przecież nie dość, że wystawiła go na pośmiewisko, prowokując Lockwooda do konfrontacji, to w dodatku zepsuła mu wieczór.

Chociaż dla dobra Williama planowała dopuścić go do łóżka, nie mogła się zmusić, by myśleć o tym jak o akcie miłości, Zresztą tej nocy było to wykluczone. W

takim nastroju Barrett wyładowałby na niej cały swój zawód i gniew. Był brutalem nawet w dobrym humorze, więc lepiej nie myśleć o tym czego mógłby dokonać, gdy aż dusił się ze wściekłości.

Jej życie jeszcze bardziej się skomplikowało. Czyżby ktoś naprawdę próbował ją zabić? A może to była pomyłka, może chodziło o kogoś innego. Lockwood wydawał się taki pewny...

W domu otuliła się lekkim szlafrocikiem, powyciągała szpilki z włosów, usiadła przy toalecie i wzięła do ręki szczotkę. Zobaczyła swoje posiniaczone ciało, ale nie mogła skupić się na tym widoku, ponieważ zdawało jej się, że lustrzane odbicie czyni jej wyrzuty. Oglądanie w lustrze, jak wygląda kozioł ofiarny Barretta, sprawiało jej jeszcze więcej cierpienia niż przed laty, zanim próbowała od niego odejść. Wtedy nie знаła jeszcze smaku wolności, szacunku dla siebie, godności. Teraz jednak była gotowa poświęcić to wszystko, a nawet chętnie się na to godziła - dla bezpieczeństwa Williama.

W lustrze zobaczyła, że łóżko jest posłane. Anne szpiegowała dla Barretta, ale swoje obowiązki traktowała poważnie. To jednak wcale nie pokrzepiło Elise. Irytowało ją, że w konflikcie z Barrettem nie może liczyć na własną służącą.

Skończyła szczotkować włosy i wstała. Bardzo chciała położyć się w chłodnej pościeli pod dającym ciepło kocem i uciec w krainę snu, gdzie nie było Barretta. Tylko Lockwood. Tylko William.

Odgłos przekręcanej gałki u drzwi wyrwał ją z zamyślenia. Zerknęła ku drzwiom i zobaczyła, że się poruszają. Zmartwiała. Podstawione pod drzwi krzesło nie blokowało wejścia dokładnie i zaczęło się niebezpiecznie przechylać. Na bosaka podbiegła do drzwi i podparła krzesło.

- Wpuść mnie, Elise. - Głos miał stłumione brzmienie, jakby Barrett nie chciał, żeby ktoś go usłyszał..- Do diabła, to twój obowiązek.

Uniki, pretensje lub zwykła odmowa tylko by go jeszcze bardziej rozeźliły, więc milczała. Może Barrett uzna, że już się położyła i da jej spokój.

- Nie zmuszaj mnie do użycia siły, kobieto - szepnął przez szparę, którą udało mu się zrobić.

Zadrżała. Strach odebrał jej głos. Barrett jeszcze mocniej naparł na drzwi, lecz po chwili zrezygnował. Na korytarzu rozległ się słabnący odgłos kroków. Elise głośno odetchnęła i przez chwilę czekała, aż ustąpi paraliżujący skurcz mięśni. Potem usiadła skulona na łóżku.

Kroki, które już prawie ucichły, znów stały się głośniejsze, ale wydawało się, że dochodzą z innej strony. Natężyła słuch.

O Boże! On postanowił wejść przez pokój dziecięcy! Czy pamiętała, żeby zamknąć na klucz drzwi łączące go z garderobą? Wbiegła tam, ale za późno.

Drzwi właśnie się otworzyły i stanął w nich triumfujący Barrett. Wolno ruszył naprzód, a ona cofając się, w panice usiłowała wymyślić, jak go powstrzymać.

- To... to nie jest dobry dzień miesiąca, Barrett. Nie...

- Kłamiesz. Anne zna twoje kobiece tajemnice.

Boże, nie! Jeszcze niedawno zdawało jej się, że może dać mu to, czego od niej żąda, ale nie. Kiedy stała z nim twarzą w twarz, sama myśl o jego dotyku wydawała jej się obrzydliwa. Z trudem chwyciła powietrze. Bała się.

- Myślisz, że Lockwood wystarczy ci jako ochrona? Wniosę przeciwko niemu skargę do sądu, jeśli waży się mnie tknąć. Mam świadków na jego niekontrolowane wybuchy. Ten człowiek jest niezrównoważony. Właściwie co w tym dziwnego, skoro wziął cię za kochankę!

- Nie mieszaj do tego Lockwooda, Barrett. On nie jest niezrównoważony, tylko został wprowadzony w błąd.

- Nie udawaj naiwnej. Znasz mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że swoje cele osiągam zawsze, wszystko jedno czym i kim trzeba się posłużyć. Ani Lockwood, ani ten szczeniak, którego próbujesz przede mną chronić, odkąd przyszedł na świat, nic dla mnie nie znaczą. Zawsze wiem, czego chcę. A dzisiaj chcę mieć ciebie.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nienawidziła się za tę słabość. W duchu powtarzała

sobie jednak, że tym razem nie będzie słaba. Zrobi to dla Williama. Dla Lockwooda. Wytrzyma. Na pewno jest w stanie to wytrzymać. Przestała się cofać i tylko bezsilnie zacisnęła pięści.

Barrett uznał, że poddała się temu, co nieuniknione, i paskudnie się uśmiechnął.

- Tak lepiej, droga żono. Chciałbym móc powiedzieć, że będzie po wszystkim, zanim się obejrzysz, ale nie będzie. Nie zamierzam się śpieszyć. Za długo czekałem, moja droga. Mamy mnóstwo czasu do nadrobienia.

Powtarzała sobie, że potrafi stać nieruchomo. Potrafi zachować maskę na twarzy, jednak łez nie umiała powstrzymać. Płynęły obficie po policzkach i skapywały na strój nocny, kiedy Barrett rozwiązywał i zdejmował jej szlafroczek.

Kiedy została tylko w cienkiej koszuli, Barrett zarechotał.

- Taka z ciebie purytanka? Bez żartów. Wiem, że przed Lockwoodem odgrywałaś ladacznicę. Proszę mi więc pokazać, czym go tak urzekłaś. Słowo daję, że tego nie widzę. Chyba że...

Prowokował ją. Chciał obudzić w niej wściekłość albo ją upodlić. Wciąż go ignorowała, ale następne słowa wstrząsnęły nią do głębi.

- Chyba że znasz jakieś figielki. Znasz? Tak jak Alice? Czy wszystkie dziwki znają takie same figielki? A może wymyśliłaś coś niezwykłego? Coś takiego, że Lockwood wraca po więcej. Chyba zrozumiała, że chcę to zobaczyć. Dalej, Elise, pokaż mi swoje figielki. Jeśli mi się spodobają, to może pozwolę ci zobaczyć Williama.

Tym wreszcie przełamał jej milczenie.

- Przywieź Williama do domu. Przywieź go do mnie, Barrett, a zrobię wszystko, co tylko chcesz.

- Bez tego też to zrobisz. Czy tak trudno zrozumieć, że mnie nie wolno mówić „nie”? Dostaniesz, moja droga, tyle, ile zechcę ci dać. Dlatego warto się postarać.

Tysiące myśli przemykały jej przez głowę. Że nie ma już żadnej nadziei, że

straciła kartę przetargową, która dawała jej nadzieję na zobaczenie Williama, że Barrett w końcu zabije nie tylko jej ducha, lecz również ciało. Co najgorsze, uświadomiła sobie, że właściwie przez cały czas wiodła życie ofiary. Była grzeczną córką, przykładną siostrą, posłuszną żoną... dopóki nie uderzyła Barretta pogrzebaczem. Jednak nawet wtedy nie zamierzała zerwać z tą rolą, tylko chciała zyskać na czasie. Zdawało jej się, że poddając się Barrettowi, manifestuje siłę. Było to jednak złudzenie, które sama stworzyła i które było jej największą słabością.

- Więc ile chcesz dzisiaj zarobić? Jeszcze jedno krótkie odwiedziny? Może pół godziny? A może warto upaść na kolana i zasłużyć na pełną godzinę?

I w tej właśnie chwili definitywnie przestała być ofiarą. Dość miała grózb Barretta, jego fałszywych obietnic i kłamstw Nagle pojęła wszystko z zadziwiającą jasnością. Zdawało jej się, że chroni Williama, a tymczasem tylko przedłużała własne nieszczęście. I nic jej już nie obchodziło, jaki skandal wywoła publiczne ujawnienie brutalności Barretta. Niech się podlec wije i niech cała elita zadziera na jej widok te swoje długie arystokratyczne nosy. Barrett nie odważy się skrzywdzić Williama, kiedy będzie na ustach wszystkich.

Nie zastanawiając się, wymierzyła mu siarczysty policzek Wytrzeszczył na nią oczy, a potem odrażająco się uśmiechnął.

- Ach, więc lubisz ostre figielki, moja droga? Ja także, jak wiesz. - Chwycił ją za włosy, pchnął na kolana i zaczął rozpinać spodnie.

Przejechała mu paznokciami po ramieniu. Wzdrygnął się i mocnym szarpnięciem postawił ją na nogi, ale za to puścił włosy.

- Ostrzegałam, Barrett - syknęła, próbując się wycofać w stronę kominka. Słyszając jego rechot, przez chwilę sądziła, że oszalał, ale nagle zorientowała się, że pogrzebacz został stamtąd zabrany. Jak Anne mogła! Mocno pchnął ją na ścianę, potem chwycił za kołnierzyk koszuli nocnej i jednym mocnym szarpnięciem zdarł z niej ostatnią osłonę. Rozpaczliwie sięgnęła za gzyms kominka z nadzieją, że natrafi na jakiś przedmiot nadający się na oręż. Ironia losu była przerażająca. Oto skończyła

w punkcie wyjścia. Znowu musiała się bronić.

Zacisnęła palce na miniaturowym portrecie Williama, oprawnym w srebrną grawerowaną ramkę, i z całej siły uderzyła Barretta w głowę. Puścił ją, krew z rozciętej skóry prysnęła jej na twarz, a potem zaczęła ściekać wąską strużką po czole. Wykorzystując zaskoczenie, Elise pchnęła męża tak mocno, jak tylko potrafiła.

Barrett zatoczył się do tyłu, machając ramionami, i uderzył głową o nogę łoża. Na chwilę znieruchomiał, a potem bezwładnie osunął się na podłogę. Pochyliła się nad nim, uważając, by pozostać poza zasięgiem ramion. Oddychał. Widziała ruch jego klatki piersiowej i czuła wyraźny odór alkoholu.

Dokończ tym razem, podpowiadał jej wewnętrzny głos. Kurczowo zacisnęła dłoń na ramce i znów podniosła ją do ciosu. Nie mogła jednak tego zrobić. Poza tym nie było takiej potrzeby. Jeśli nawet Barrett jeszcze przed chwilą miał nad nią władzę, to już ją stracił. Znowu była panią samej siebie.

Odrzuciła miniaturę na ziemię i podeszła do szafy. Ubrała się w to, co wpadło jej w ręce. Nie traciła też czasu na szczotkowanie włosów i podobne zabiegi. Tam, dokąd szła, nie miało to znaczenia. I należało mieć nadzieję, że już nigdy nie będzie miało znaczenia.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Hunt nalał kieliszek sherry, czekając, aż Ethan wstanie z łóżka, nakłoniony do tego przez osobistego służącego. A już miał nadzieję, że tej nocy nie może się zdarzyć nic złego. Najpierw była konfrontacja z Barrettem w lokalu Thackery'ego, potem starcie z opryskiem, który chciał go zadźgać. Lecz kiedy wstąpił do biura, znalazł meldunek policjanta na temat Doyle'a. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Już zaczynał żałować, że wybrał się do szwagra i zażądał natychmiastowego spotkania, gdy drzwi biblioteki otworzyły się i wszedł Ethan w luźno ściągniętym szlafroku. Widząc jego nagi tors między połami odzienia, Hunt doszedł do wniosku, że siostra nie przykłaśnie tej późnej wizycie.

- Byłoby dla ciebie lepiej, żebyś miał naprawdę ważną sprawę - burknął Ethan, usiadłszy za biurkiem.

Hunt omal się nie uśmiechnął.

- Zdawało mi się, że mam, ale ponieważ zdażyłem ochłonąć i napić się twojego wybornego sherry, przestałem być już taki pewien.

- Gadaj, Hunt. Nie wierzę, że podniósłbyś taki raban bez powodu.- Doyle.

- Co z nim?

- To on może być źródłem przecieku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Dlaczego?

- Wstąpiłem dziś wieczorem do biura i znalazłem na biurku informację na jego temat. Czytałeś ją?

- Nie. Lepiej opowiedz mi, co cię tak wzburzyło, i postaraj się zachować w tym jakiś porządek.

- Doyle urodził się w Southampton w ubogiej rodzinie. Był dostatecznie

bystry, żeby wkraść się w łaski owdowiałej ciotki, która dostała duży spadek po mężu, więc ciotka opłacała mu naukę. W szkole zasłynął bardziej urokiem i dowcipem niż osiągnięciami. Od najmłodszych lat przejawiał skłonność do ataków złości, ale nauczył się nad nią panować albo przynajmniej dobrze ją ukrywać. W Cambridge grał w drużynie krykieta. Jego koledzy mieli o nim jak najlepsze zdanie, dopóki nie zdradził się z dziką bezwzględnością. Mawiano o nim, że jest gotów nieuczciwie wyeliminować innego gracza, byle tylko wygrać.

- To ciekawe, ale niekoniecznie świadczy o występności. Hunt upił łyk wina i skinął głową.

- To prawda, ale nie tym zraził do siebie przyjaciół, lecz kompletnym brakiem wyrzutów sumienia.

- Człowiek niezdolny do przeprosin?

- Przeciwnie. Zdarzało mu się przeproszać, tylko że tak naprawdę miał to w nosie. On wie, co powinien odczuwać, ale jest niezdolny do szczerego odczuwania. Poza tym chodziły o nim plotki, że jest hazardzistą nieudacznikiem. Zawsze miał długi u kolegów, aż wreszcie przestali mu pożyczać pieniądze. Mniej więcej w tym czasie jego ciotka nagle zmarła, a on przejął większą część spadku. Potem mozolnie pisał się w górę i dochrapał się stanowiska w dyplomacji. Stał się kimś niezastąpionym i dalej szedł w górę.

- Czyli zerwał z przeszłością?

- Tak to wygląda. Ostatnio dostał przydział do Indii, ale coś co niedawno powiedział, każe mi się zastanawiać, czy nie odmówi jego przyjęcia.

- Zamierza odmówić przyjęcia przydziału? To zakończy jego karierę.

- Dawał do zrozumienia, że kroi mu się coś ciekawszego. To możliwe, ale Eastman na pewno o tym nie wspominał.

Przez chwilę milczeli. Hunt zastanawiał się, czy szwagier podąża za tokiem jego myśli.

- To prawdziwy uśmiech losu, że jego ciotka umarła akurat wtedy, gdy



potrzebował pieniędzy, bo groziła mu całkowita kompromitacja w towarzystwie.

- Właśnie to samo zwróciło moją uwagę. - Hunt roześmiał się ponuro. -

Naturalnie zdajesz sobie sprawę z tego, że to tylko domysł?

- Na razie domysł...

Elise zupełnie nie wiedziała, od czego zacząć.

- Bardzo przepraszam, Sarah, że wyrwałam cię ze snu. Powinnam była poczekać do rana, ale... no, to nie byłoby rozsądne.

Sarah mocniej ściągnęła pasek szlafroka i usiadła obok niej.

- Jeszcze nie spałam. Powiedz jednak, co się stało? Nic ci nie jest?

- Czy podać herbatę, milady? - spytał lokaj o surowym wyrazie twarzy, który wpuścił Elise do domu.

Sarah z uwagą przyjrzała się niespodziewanemu gościowi.

- Nie. Proponuję coś mocniejszego, może brandy. Czy mógłbyś również zbudzić panią Grant i poprosić, żeby przygotowała pokój gościnny? Trzeba też podgrzać wody, żeby lady Barrett mogła się umyć.

Elise modliła się w duchu, żeby Sarah nadal chciała ją gościć, kiedy dowie się, co zaszło.

- Dziękuję - powiedziała, próbując zebrać myśli. Musiała przecież we względnie uporządkowany sposób wyjaśnić powód tego najścia.

- Nie ma o czym mówić, Elise. Odetchnij głęboko i opowiedz mi, co się stało.

- Przyszłam cię prosić, żebyś pomogła mi odszukać mojego syna. To sprawa niecierpiąca zwłoki. Zrobiłam coś, co może narazić go na niebezpieczeństwo, więc muszę jak najszybciej dowiedzieć się, gdzie przebywa.

- Rozumiem. Naturalnie podejmiemy wszystkie możliwe kroki tak szybko, jak to będzie możliwe. Czy mam rozumieć, że chcesz niezwłocznie zabrać Williama z miejsca, w którym jest teraz, bez względu na to, czy zdążysz przygotować dla niego coś innego?

- Właśnie. Muszę go odzyskać natychmiast. Obawiam się, że tam, gdzie teraz jest, może mu grozić większe niebezpieczeństwo, ponieważ odeszłam, od Barretta.

- Odeszłaś? - Sarah odetchnęła z ulgą. - Musisz więc mieć kogoś, kto będzie prowadził z nim rozmowy jako twój pełnomocnik. O ile wiem, Ethan zna dobrego adwokata i...

- Wielki Boże!

Na progu stanął Lockwood, a za jego plecami pojawił się Ethan. Elise aż się skuliła. W żadnym razie nie spodziewała się zobaczyć w tym miejscu Lockwooda o trzeciej nad ranem. Bo gdyby spodziewała się tego spotkania, na pewno nie przyszłaby do Sarah.

Lockwood i Ethan podeszli do niej. - Niech pani mi powie, że nic jej nie jest, Elise. - Hunt uklęknął i ujął jej dłoń.

- Nic mi nie jest. - Nagle przypomniała sobie, że przyszła tu z rozpuszczonymi włosami, a przed wybiegnięciem z domu nawet nie spojrzała do lustra.

- Co się stało?

Takiej stanowczości w jego głosie jeszcze nie słyszała.

- Pokłóciliśmy się z Barrettem. Opuściłam go.

- Pokłóciliście się... - Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Czyja to krew, Elise?

Krew? Przypomniała sobie jak przez mgłę, że uderzyła Barretta, a jego krew prysnęła na jej twarz i piersi. Zerknęła w dół i przekonała się, że krople krwi na jej dekolcie są wyraźnie widoczne.

- Barretta - odpowiedziała cicho.

Odetchnął z ulgą i uściśnął jej dłonie, a tymczasem Ethan wziął od kamerdynera tacę z karafką i dwiema szklaneczkami. Lockwood nalał do szklaneczki coś, co nie wyglądało na brandy, i polecił jej wypić. Poczowała palenie w przetyku, zakasłała, a oczy zaszyły jej łzami.

- To whisky - wyjaśnił Lockwood. - Niech pani trochę dojdzie do siebie, a potem proszę opowiedzieć, co się stało.

Zdradzieckie ciepło rozlewało się po jej wnętrzu, aż wreszcie odprężyła się na tyle, że mogła swobodnie odetchnąć. Lockwood przez cały czas niezłomnie się w nią wpatrywał. Poczula że udziela jej się jego siła. Była pewna, że nawet jeśli stało się coś bardzo złego, Lockwood zdoła wszystko naprawić.

- Barrett... - zaczęła, ale niebacznie spojrzała na Sarah i Ethana. Co też sobie o niej pomyślał? - Barrett siłą wszedł do mojego pokoju. Był wściekły i... i miał groźby. Zrozumiałam, że nigdy nie wypuści mnie ze swych rąk. Nigdy nie uwolni Williama. Nie pamiętam dokładnie, jak do tego doszło, ale zaczęliśmy się szamotać i... uderzyłam go portretem. Zaraz potem przyszedłam tutaj. Lockwood skinął głową.

- Czy podczas kłótni przysła służba? Czy ktokolwiek panią widział albo słyszał?

- Nie sądzę. Służba jest rozsądna i nie przychodzi w środku nocy, a Barrett na początku starał się zachowywać cicho. Podkraść się pod drzwi prawie bezszelestnie i dlatego mnie zaskoczył.

Zdawała sobie sprawę z tego, że Ethan i Sarah wymienili znaczące spojrzenia, ale wpatrywała się w twarz Hunta. A on skinął głową i z krzepiącym uśmiechem podał jej drugą szklaneczkę whisky.

- Niech pani idzie z Sarah, moja droga. Musi się pani umyć. W razie gdyby sen nie chciał przyjść, proszę wypić jeszcze jedną whisky. Przyjdę do pani rano. Proszę pamiętać, że wszystkim się zajmujemy.

- William...

- Proszę zostawić to mnie, Elise.

Hunt pchnął frontowe drzwi jednym palcem. Elise nie tylko zapomniała zamknąć je na klucz, lecz nawet ich nie zatrzasnęła. Absolutna cisza panująca w domu robiła złowieszcze wrażenie i Hunt nie mógł zapanować nad ogarniającym go

złym przeczuciem. Poruszał się cicho jak leśny drapieżnik. Nikt nie powinien się dowiedzieć o jego nocnej wizycie w domu wicehrabiego Barretta.

Podążając śladem wąskiej smugi światła, dotarł do biblioteki. Nikogo w niej nie było, ale na biurku stał dopity do połowy kieliszek porto, świadectwo rozmyślań Barretta przed wyprawą do sypialni Elise. Na podłodze leżały porozrzucane papiery, jakby Barrel czegoś szukał i po prostu odrzucał to, czego nie potrzebował. A może to Elise szukała klejnotów przed opuszczeniem domu. Raz już przecież tak postąpiła.

Barrett, ta gnida, pewnie zawlókł się do łóżka, to jedna nie onieśmieliło Hunta. Wszedł na schody i skierował się k uchylonym drzwiom pokoju, w którym paliło się światło.

Znalazł się jednak w sypialni Elise, a nie Barretta. Zrozumiał to natychmiast, widząc liczne koronkowe ozdoby, a przypuszczenie potwierdził zapach perfum. Zrobiwszy kilka kroków w głąb pokoju, znalazł podartą nocną koszulę. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy pomyślał o Elise zdanej na łaskę tego łajdaka. Nie mógł zrozumieć, skąd wzięła tyle siły, żeby skutecznie stawić mu opór.

Chwilę potem zauważył obutą nogę wystającą zza łóżka. Zbliżył się. Leżał tam Barrett z rogiem srebrnej ramy od obrazka wbitym w czoło. Hunt nie musiał nawet sprawdzać tętna, żeby upewnić się, że wicehrabia nie żyje. Szklane oczy patrzyły w górę.

Przykucnął obok ciała i zaczął oględziny miejsca zdarzenia. To, że Elise musiała znieść taki koszmar, budziło jego najwyższe przerażenie. W duchu przysiągł sobie, że dopilnuje, by już nigdy nic złego jej nie spotkało. Musiał jednak jakoś żyć ze świadomością, że ją zawiódł. Powinien był zabić Barretta za pierwszym razem, gdy zauważył go, jak ściska ramię Elise, albo gdy zobaczył u niej siniaki... Co tam, powinien był zabić Barretta po prostu dla zasady.

Niestety, nie zrobił tego, i teraz Elizabeth będzie musiał żyć z myślą, że jest morderczynią. Dzięki Bogu nie pójdzie jednak do więzienia i nie zawiśnie na szubienicy. Tego przynajmniej mógł jej oszczędzić. Podniósł strzępy koszuli z

podłogi i schował do kieszeni płaszcz. Potem zaczął zacierać ślady, mogące wskazywać na winę Elise. Odłożył szczotkę na toaletkę. Szlafrok odwiesił na kolek w garderobie. Ustawił przy stole krzesło, którym Elise usiłowała zaprzeć drzwi.

W końcu wrócił do ciała Barretta. Ran dostrzegł kilka: jedną wysoko na czole, poza tym ślad uderzenia z boku twarzy i śmiertelną ranę pośrodku czoła. Musiał dość mocno szarpnąć, aby wyciągnąć z czaszki miniaturę w srebrnej ramie. Czy to możliwe, żeby Elise uderzyła z taką siłą? Znane były przypadki, kiedy człowiek w sytuacji zagrożenia lub paniki zdobywał się na czyny znacznie ponad własne możliwości.

Oderwał kawałek z podartej koszuli nocnej i starannie wytarł ramę portretu syna Elise, chłopca, który uśmiechał się tak jak ona. Oczyszczoną miniaturę odstawił na stolik przy łóżku. Teraz wszystko wyglądało tak, jakby Elise wyszła, zanim jeszcze rozpoczęła się walka. Służba będzie co prawda wiedziała, że pani wróciła do domu, ale on będzie mógł zaświadczyć, że kiedy się zjawił, Elise już tam nie było.

Potem sam przyzna się do zamordowania Barretta. Przecież do rana połowa miasta będzie wiedziała o jego groźbach, które padły w domu gry „U Thackery'ego”, więc na mordercę wicehrabiego nadawał się doskonale. Zresztą właśnie po to przyszedł do tego domu, tyle że Elise go ubiegła.

Wrócił na dół i jak najciszej opuścił dom Barretta.

Hunt wpatrywał się w bladą twarz Elise. Sarah właśnie znalazła jakąś sprawę niecierpiącą zwłoki, przeprosiła ich i opuściła salonik.

Tego ranka Elise miała na sobie suknię pożyczoną od Sarah. Ciemnozielony kaszmir jeszcze bardziej podkreślał bladość cery i kruchość postaci. Hunt zaczął się poważnie obawiać o zdrowie Elise. Chciał ją objąć i pocieszyć, chciał ją chronić, ale najpierw powinni porozmawiać. Musiał dowiedzieć się, czy swoim postępowaniem w Londynie zniszczył już całe uczucie, jakim darzyła go na wyspie. Bo choć bardzo się tego wstydził, musiał przyznać, że czasem bywał niewiele lepszy od Barretta.

Pozwalał, by brały w nim górę najgorsze instynkty.

Gdy zostali sami, jej niepokój wyraźnie się nasilił. Nie dość, że miała przerażenie wymalowane na twarzy, to ledwie mogła utrzymać w dłoni filizankę, która niebezpiecznie grzechotała na spodeczku.

- Nie żyje? Boże... chyba nie mogłam... mogłam? Barrett nie żyje. Kiedy wychodziłam, oddychał, tego jestem pewna. A jednak nie żyje. Jak to możliwe?

- Spokojnie, Elise. Proszę kilka razy głęboko odetchnąć i zaraz o tym porozmawiamy. - Miał nadzieję, że nie napotka oporu.

- Ktoś inny to zrobił? Przecież był środek nocy. Kto mógł...?

Czyżby potworność tego zdarzenia spowodowała u niej zanik pamięci?

- Ty tak naprawdę nie wiesz, prawda?

Widać było, że panowała nad sobą resztkami woli.

- Czego mam nie wiedzieć? Powiedz mi, Hunt! Nie chodzi tylko o samą śmierć mojego męża, prawda?

Wstał i podszedł do kominka, wolał bowiem nie być zbyt blisko Elise. Nie mógł być blisko, ponieważ bardzo pragnął jej dotknąć, a wiedział, że gdy Elise usłyszy jego wyznanie, nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego. Zastanawiał się nawet, czy nie powiedzieć jej całej prawdy, uznał jednak, że te kłopoty z pamięcią to szczęśliwe zrządzenie losu. Gdyby Elise poznała prawdę, poczucie honoru nakazałoby jej wziąć winę na siebie, a na to nie mógł pozwolić.

- Co się ze mną dzieje? - spytała, wyłamując palce. - Barrett nie żyje, a ja mogę myśleć tylko o tym, że niedługo przyjdzie po mnie policja. I jeszcze o Williamie. Muszę niezwłocznie znaleźć Williama. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Wciąż wydaje mi się, że musi być ze mną coś nie tak, bo w ogóle nie żałuję śmierci Barretta. Współczuję tylko małemu chłopcu, który będzie dorastał bez ojca. I myślę jeszcze o tym... - Przytknęła palce do czoła, jakby miała na końcu języka jakieś straszne wyznanie. - Jeszcze o tym, że nie będę już musiała zapierać drzwi ani

wstrząsać się, kiedy ktoś mnie dotyka, ani maskować sińców i zadrapań, by udawać, że wszystko jest w porządku. - Stała przed nim. - Czy jestem potworem, że nie potrafię zmusić się do płaczu nad ojcem mojego syna?

Hunt odetchnął z ulgą. Zrozumiał, że Elise go nie znenawidzi.

- Nie jesteś potworem, Elise, ale są pewne komplikacje.

- Komplikacje? Przychodzą mi na myśl dziesiątki możliwych i żadna nie jest przyjemna. O jakich komplikacjach myślisz? Muszę to wiedzieć. Nie chodzi o Williama, prawda?

- Nie, nie o Williama. O nim mogę powiedzieć tylko tyle, że rozpocząłem poszukiwania. Chodzi o co innego. Wczoraj w nocy, kiedy stąd wyszedłem po naszym spotkaniu, poszedłem do twojego domu porozmawiać z Barrettem, ale...

- Stąd wiesz o jego śmierci? Dlaczego jednak dotąd nie przyszła po mnie policja?

- Nie zgłosiłem morderstwa. Pani służba zapewne dopiero teraz znalazła ciało. Zresztą policja nie przyjdzie po ciebie, tylko po mnie. Potrzeba było dłuższej chwili, by Elise w pełni zrozumiała te słowa.

- Nie, Lockwood, to niemożliwe. Powiedz, że nie...

Jego milczenie było jednak aż nadto wymowne. Długo wstrzymywane łzy wreszcie popłynęły jej po policzkach. Chwyliła go za rękaw.

- Do czego doprowadziłam!? Zrobiłam z ciebie mordercę!

- Pamiętaj, że mordercą jestem od dawna. Poza tym sam zdecydowałem i z własnej woli podjąłem taką a nie inną decyzję. Nie musisz odczuwać żalu ani wyrzutów sumienia.

- Nie możesz tego wziąć na siebie. Powiem, że to ja zabiłam Barretta i tutaj uciekłam. Jeśli nikt niczego nie widział, to nie sposób podważyć mojego zeznania. Przecież ponoszę za to odpowiedzialność, Lockwood. To ja ponoszę odpowiedzialność!

Wielki Boże, jak bardzo ją kochał! Dla ratowania go była gotowa poświęcić

swoją przyszłość. Objął ją i delikatnie przytulił, pamiętał bowiem, że na jej ciele mogą być jakieś rany, o których nie wiedział.

- Ani słowa więcej, proszę. Wina obciąża mnie i tylko mnie. A ze świadomością, że jesteś na wolności, chętnie stawię czoło wszystkiemu, co tylko może się zdarzyć.

Kiedy Hunt wrócił do swego biura po rozmowach z wysokimi urzędnikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zastał tam wszystkich swoich braci, a także szwagra i Auberville'a. Ledwie się pomieścili w ciasnym pokoiku.

- I co? - spytał Andrew.

Stanął za swoim biurkiem.

- Przez kilka najbliższych dni do aresztowania nie dojdzie. Charlie natychmiast się uśmiechnął.- To znaczy, że wycofałeś przyznanie się do winy.

- Nie, tego nie można uniknąć. Po prostu poprosiłem o kilka dni na uporządkowanie moich spraw. Z uwagi na moje zasługi dla kraju postanowiono wyświadczyć mi tę przysługę. Skoro zaś mowa o porządkowaniu spraw, to jak ci idzie sprawdzanie rachunków bankowych, Charlie?

- Ciekawe wiadomości. Ktoś dopytywał się o stan twoich finansów. Gavin Doyle.

- Tego się spodziewałem. Zaproponował mi korzystną inwestycję. Zobaczymy, czy połknie przynętę. Kiedy skończysz pracę?

- Do jutra, ale jeśli potrzebujesz więcej czasu, to mogę przeciągnąć przynajmniej o tydzień.

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Prawdę mówiąc, jest wręcz przeciwnie, potrzebuję wyników najszybciej, jak to tylko możliwe.

- Do diabła! - zaklął James. - Jak możesz być tak spokojny, będąc krok od szubienicy?

- Najpierw będzie proces - zwrócił uwagę Auberville. - A Barrettowi po



prostu się należało. Powinieneś Uczyć na zrozumienie ławy przysięgłych, Hunt, chociaż wątpię, czy wyjdiesz z tego bez szwanku.

- Czy plotki już krążą?

- O śmierci Barretta do tej pory nie słyhać ani słowa - stwierdził Ethan. - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych będzie wyciszać sprawę do chwili twojego aresztowania, ale długo się tego nie da robić. Niestety krąży aż nadto plotek o twoim starciu z Barrettem w lokalu Thackery'ego. A ukryć pogrzeb będzie cholernie trudno, prawda?

Hunt zignorował tę uwagę. Było stanowczo za późno, by przejmować się dyskrecją. - Na razie trzeba wykorzystać wszystkie źródła, jakie mamy do dyspozycji, żeby znaleźć syna Elise, Williama. To bardzo pilne. Wczoraj zleciłem to Harry'emu Richardsonowi, ale będzie potrzebował pomocy.

- Chłopiec zaginął? - spytał Auberville.

- Zaraz po powrocie do Anglii. - Hunt nie chciał wdawać się w szczegóły okrucieństwa i zaniedbań Barretta. - Dziękuję wam wszystkim, że przyszliście. Doceniam waszą troskę, teraz jednak muszę porozmawiać na osobności z Andrew.

Andrew zmarszczył czoło i Hunt zrozumiał, że brat wie, co nadchodzi. Począł, aż reszta opuścił biuro, otworzył szufladę biurka, wyjął z niej butelkę z dwiema szklaneczkami i napełnił je prawie po brzeg.

- Andrew, gdyby stało się najgorsze, dziedzicysz tytuł hrabiego Lockwooda. I...

- I tu przerwij! Nie jestem do tego przygotowany, doskonale o tym wiesz. Ty jesteś lordem Lockwoodem, a ja lordem libertynem. Nie planowałem nigdy, że zostanę twoim dziedzicem.

- Nawet nie sądziłem, że masz jakikolwiek plan. Jednak bez względu na to, czy ci się to podoba, nie mam męskiego następcy, więc jesteś moim dziedzicem i tytuł siłą rzeczy przechodzi na ciebie. Podobnie jak wynikające z niego obowiązki.

- Poczekaj. - Andrew wypił porto duszkiem, czego żaden człowiek w żadnych

okolicznościach robić nie powinien, po czym odstawił kieliszek na biurko. - Czy nie możesz stwierdzić, że działałeś w obronie własnej? Powiedzieć, że to Barrett cię zaatakował?

- Na miłość boską, Andrew. Byliśmy w domu Barretta, w sypialni pani domu. Niecałe dwie godziny wcześniej goście Thackery'ego słyszeli, jak mu groziłem. Jak mogę to wyjaśnić?- Jesteś ohydny kłamcą, Hunt, a ja chcę wiedzieć, dlaczego kłamiesz, chociaż podejrzewam, że już wiem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Ech, Hunt. Może nie zawsze jestem błyskotliwy, ale kłamstwo wyłapuję natychmiast. To mój jedyny prawdziwy talent. Jeśli chcesz, żeby inni wierzyli, że zabiłeś Barretta, twoja sprawa. Jeśli sądzisz, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak głęboko zaangażowałeś się w znajomość z lady Barrett, to znaczy, że sztukę samooszukiwania się opanowałeś perfekcyjnie. Skoro jednak występujesz wobec mnie z taką prośbą jak teraz, to jesteś mi winien prawdę.

Hunt odsunął kieliszek. Aby skutecznie chronić Elise, musiał opowiedzieć Andrew, co się stało. Brat miał rację.

- Niech ci będzie. Kiedy przyszedłem, Barrett już nie żył. Elise przyszła do Sarah roztrzęsiona. Nie pamięta chwili, kiedy go zabiła. Nie potrafię powiedzieć, czy Barrett jeszcze oddychał, kiedy opuszczała dom, w każdym razie ja go zastałem prawie sztywnego. Bezpośrednim sprawcą mogła być ona, ale Barrett poniósł śmierć z mojej winy. To ja pociągnąłem za wszystkie sznurki. Wpadł we wściekłość, bo publicznie go upokorzyłem, a mnie naiwnie się zdawało, że w ten sposób powstrzymam go przed następnymi podłymi czynami. Elise nie może cierpieć z tego powodu, Andrew.

- Jak to zrobiła?

- Barrett miał w czole róg srebrnej ramy od obrazka. Znalazłem. .. ślady świadczące o tym, że została napadnięta i broniła się przed nim.

- Wobec tego niech to ona będzie zabójczynią, która działała w obronie

własnej.

- Prawo nie daje jej możliwości powiedzenia mężowi „nie”. Pamiętaj też, że już wcześniej dopuściła się wobec niego aktu przemocy, a do Anglii wróciła dopiero niedawno. Nikt jej nie uwierzy.

- Prawda...

- Posłuchaj więc - ciągnął Hunt - o co muszę cię prosić. Opiekuj się nimi. Elise da sobie radę, ale musi żyć z poczuciem winy. Natomiast chłopak będzie potrzebował kogoś, kto się nim zajmie. Kto go nauczy, jak być dżentelmenem.

Andrew kaszlnął.

- Dżentelmenem? Chyba nie mówisz poważnie, kiedy chcesz mi powierzyć takie zadanie?

- Jesteś lepszym człowiekiem, niż ci się zdaje, Andrew. Możesz nie chcieć grać tej roli, ale wiesz, na czym polega. To jednak nie koniec. Jeśli nie zdołam doprowadzić do końca pewnej sprawy, musisz zrobić to za mnie.

- Słucham?

- Ktoś próbuje zabić Elise. Ten incydent z palmą nie był pierwszym zamachem na jej życie. Na St. Claire też była próba, a to wskazuje...

- Na Doyle'a - dokończył Andrew.

- Mam powody, by podejrzewać, że napaści na nią mają związek z moim śledztwem. Jeśli nikt nie będzie jej chronił, kolejna próba może zakończyć się powodzeniem.

Widział grę uczuć na twarzy brata i w napięciu czekał, czy Andrew przyjmie na siebie ten obowiązek. W każdym razie nie wydawał się zrezygnowany. Był wściekły, a to znaczyło, że jednak ma sumienie.

## Rozdział dwudziesty drugi

- Muszę przyznać, madame, że niełatwo było panią znaleźć. Kiedy usłyszałem nowinę, poszedłem prosto do pani domu, ale tam pani nie zastałem, a służba nie wiedziała, gdzie pani szukać.

Elise zamknęła drzwi salonu i podeszła do stołu. Bolała ją głowa. Żałowała, że zgodziła się przyjąć gościa.

- Zatem jak to się stało, że jednak mnie pan znalazł, panie Doyle?

- Przypadkiem wpadłem na Charliego Huntera i od niego się dowiedziałem, że mieszka pani u jego siostry. Swoją drogą, doskonały pomysł. Samotność nie jest dobra w takich chwilach. Wiadomo, kto to zrobił?

Czyżby naprawdę nie wiedział? Sama była tak oszołomiona wydarzeniami ostatniego wieczoru, że też do końca nie ogarniała sytuacji. Tak czy inaczej, nie miała zamiaru niczego wyjaśniać Doyle'owi.

- Nic jeszcze nie wiem.

- Doprawdy? Hm... współczuję pani, madame. Chociaż... - Tak?

Posłał jej chytre spojrzenie.- Może nie ma znów tak bardzo czego żałować? Zaskoczył ją swoją bezpośredniością. Co miała odpowiedzieć na takie pytanie? Bez słowa zajęła się nalewaniem herbaty.

- Cóż, mały William... przepraszam najmocniej, wicehrabia Barrett niewątpliwie będzie tęsknił za ojcem.

- Niewątpliwie - odpowiedziała spokojnie. Jak to się stało, że kiedyś lubiła towarzystwo Doyle'a, a teraz tak bardzo działało jej na nerwy?

- Rozumiem, że Lockwood zajmie wolne miejsce. Spojrzała na gościa ze zdziwieniem. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest nietaktowny?

- Przepraszam - rzucił pośpiesznie na widok jej miny. - Zauważyłem na St.

Claire, że zbliżyliście się do siebie. Teraz już nic nie będzie stało na przeszkodzie waszemu związkowi. Poza jego interesami, ma się rozumieć.

- Interesami? - Co Doyle mógł mieć na myśli?

- Chodzi mi o interesy, które przywiodły go na St. Claire, madame. To oczywiście sprawa ściśle poufna.

Elise nie bardzo nadążała za tokiem rozmowy. Dlaczego Doyle tak uparcie drażył ten niewygodny dla niej temat?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. I sędzę, że nie powinniśmy rozmawiać o Lockwoodzie.

- Och, znowu się zagalopowałem. Przysięgam, że nie pisnę nikomu ani słówka, ale w istocie to mogło stanowić dla Lockwooda doskonały motyw... och, przepraszam. - Dotknął jej ramienia. - Ma pani wszystko, czego potrzebuje, madame? Sytuacja jest trudna, więc gdybym mógł w jakiś sposób ulżyć pani w żałobie, uważałbym to za zaszczyt.

Jaką pomoc miał na myśli? Pieniądze? Przysługi? Wielkie nieba! Czyżby próbował jej się przypochlebiać? Planował ją uwodzić po tym, jak jej żałoba dobiegnie końca?- Musiała pani tu przyjechać nagle, nie mając czasu na pakowanie - mówił dalej. - Gdyby mi pani sporządziła listę, chętnie sprowadziłbym pani rzeczy. Wszystko, czego pani potrzebuje.

Elise odstawiła filiżankę, po czym zbliżyła się do okna i patrzyła na przejeżdżające ulicą powozy.

- Sarah była tak miła i pożyczyła mi trochę swoich ubrań. Jesteśmy podobnej postury, więc... - Poczula się bardzo zmęczona. Nie miała ochoty tłumaczyć się przed Doyle'em. - Nie, sir. Niczego mi nie trzeba. Gdyby coś się w tym względzie zmieniło, powiadomię pana albo sama o wszystko zadbam.

Przybrał minę, która miała wyrażać ubolewanie.

- Przesadziłem. Sama pani wie, że mam do tego skłonność. Wszystko dlatego, że pani dobro leży mi na sercu. Kiedy sobie wyobraziłem, że ma pani tylko suknie

wieczorowe i lekkie bawełniane ubrania, od razu przyszło mi do głowy, że przydałoby się pani coś cieplejszego. Chyba że zamówiła pani zimową odzież, a stroje noszone na wyspie odłożyła do lata?

Tak naprawdę potrzebowała paru rzeczy. Przedmiotów osobistych, takich jak grzebień, szczotka do włosów, szczoteczka do zębów, koszula nocna i szlafrok. Może Barrett miał jakąś gotówkę. Potrzebowała pieniędzy na drobne wydatki i po to, by zapłacić detektywowi, który szukał Williama. Potrzebny był jej także papier listowy i koperty. Musiała przekazać wiadomość o śmierci Barretta swojemu bratu. I bratu Barretta. Mimo to nie potrafiła się zmusić do tego, by skorzystać z pomocy Doyle'a. Z jakiegoś powodu nie chciała zaciągać wobec niego żadnych zobowiązań. Może byłoby łatwiej, gdyby po prostu wróciła do domu.

- Dziękuję panu. Jeśli coś mi przyjdzie do głowy...

Sarah energicznie weszła do salonu i napotkawszy błagalny wzrok Elise, w lot pojęła, że konieczna jest odsiecz.- Tu jesteś, moja droga. Panie Doyle, mam nadzieję, że pan nam wybaczy. Przybył wikary i chce omówić..., sprawy organizacyjne. Czujesz się na siłach, Elise?

- Oczywiście - odparła z wdzięcznością. Odwróciła się do Doyle'a z wyciągniętą dłonią. - Bardzo panu dziękuję za odwiedzin. W takich momentach poznaje się, kto jest prawdziwym przyjacielem.

- Nie ma za co, madame. Nie ma za co. Pozwolę sobie zajrzeć znów niebawem, żeby sprawdzić, jak się pani miewa.

Hunt dostrzegł Doyle'a wychodzącego głównymi drzwiami, kiedy sam zbliżał się do domu od strony stajen, gdzie zostawił konia. Czego on tu chciał? Chodziło mu o Elise? Po wczorajszym incydencie w lokalu Thackery'ego nie miał zamiaru pozwalać Doyle'owi do niej się zbliżać.

- Sarah? - zawołał.

- Jestem w salonie, Hunt - odkrzyknęła.

Zastał je obie, Sarah i Elise, przy oknie. Patrzyły, jak powóz Doyle'a oddala się ulicą. Sarah z zatroskaną miną odwróciła się do brata.

- Nalać ci herbaty? - Nie, ja...

- Elise właśnie mi powiedziała, że chce wracać do domu. Prosiłam, żeby została u nas, ale się upiera.

- Uważam, że powinna tu zostać. - Hunt przeniósł wzrok na Elise. - Nalegam, żeby pani pobyła jakiś czas tutaj.

- Przecież... - zaczęła Elise.

- Sarah, możesz nas zostawić? Muszę omówić kilka spraw z lady Barrett.

Skinąwszy poważnie głową, opuściła salon. Podszedł do Elise i wziął ją za rękę. - Istnieją ważne powody, dla których musisz tu zostać. Przede wszystkim to, co się zdarzyło ostatniego wieczoru.

- Chodzi ci o Barretta? On nie może mi już nic zrobić.

- Chodzi mi o to, co się stało w lokalu Thackery'ego. Ta donica nie spadła przypadkiem. Orientujesz się, kto mógłby ci źle życzyć?

Pokręciła głową, opadając z rezygnacją na sofę.

- Jedynie Barrett, a on był z tobą, prawda? Myślę, że to była pomyłka.

Miał pewien dylemat. Z jednej strony nie chciał jej przysparzać dalszych trosk, z drugiej jednak nie mógł pozwolić, by narażała się na niebezpieczeństwo. Usiał obok niej na sofie i znów wziął Elise za rękę.

- Wolałbym, żebyś na razie nikomu nie ufała. A już szczególnie Doyle'owi.

- Doyle'owi? Przecież to mój dobry znajomy. Przyszedł z wizytą i był gotów przywieźć moje rzeczy z domu Barretta.

- Jeśli czegoś potrzebujesz, sam to załatwię. Nie wiem, gdzie był Doyle ostatniej nocy, kiedy ta donica spadła z antresoli. A chwilę przedtem, gdy zostałaś trafiona kamieniem, zostawiliśmy go na pikniku u Grahamów. Ten zbieg okoliczności nakazuje zachować ostrożność.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego oczami wielkimi ze zdumienia.

Westchnął ciężko.

- Pojechałem na St. Claire, żeby sprawdzić pogłoski na temat istniejącej tam bazy pirackiej. Nasza zażyłość mogła ściągnąć na ciebie zagrożenie. Może ktoś uznał, że mi pomagasz albo że uderzając w ciebie, zdoła mnie powstrzymać. Nie jestem pewien, ale sądzę, że wypadki, które ci się przydarzyły, są związane z moją misją.- Aha... Więc o tych interesach wspominał Doyle, lecz to ja sprowadziłam na ciebie niebezpieczeństwo - stwierdziła ze złością. - Czyż nie popełniłeś zabójstwa z mojego powodu?

- Elise.

Pochyliła się ku niemu, ściskając jego dłonie.

- Musisz być ostrożny, Lockwood. Nie ryzykuj dla mnie więcej ani się za mną nie wstawiaj. Nie darowałabym sobie, gdyby ci się przeze mnie coś stało.

Wielki Boże. Próbował zachować powściągliwość, dać jej czas, żeby się otrząsnęła z szoku... Za nic nie chciał wykorzystywać jej bezbronności, ale nie było to łatwe, kiedy okazywała tak wzruszającą troskę o jego los. Mógł iść do więzienia czy nawet na stryczek, ale musiał się z nią przedtem pożegnać. Nie puszczając jej dłoni, nachylił się i pocałował Elise. Świadomy niestosowności takiego zachowania, chciał ją przeprosić, gdy z cichym westchnieniem zarzuciła mu ręce na szyję i zaborczo przywarła ustami do jego warg.

- Spokojnie, Elise - szepnął, przerwawszy pocałunek Środek dnia i salon jego siostry to nie był odpowiedni czas i miejsce.

Oblała się rumieńcem.

- Nie chciałam... się narzucać.

Wybuchnął śmiechem. Nie śmiał się tak serdecznie od czasu tamtych nocy, kiedy kochali się na St. Claire.

- Cierpliwości - odezwał się w końcu. - Na razie spisz mi wszystko, czego potrzebujesz z domu Barretta.



Hunt dopatrzył przesłania rzeczy Elise, nim wieczorem wrócił do swego biura, gdzie czekał na niego sir Henry Richardson. Sir Harry, bo pod takim imieniem go znano, chwilowo nie wykonywał żadnego zadania dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych i chętnie skorzystał z okazji, by uciec przed nudną beczynnością. Podjął się odszukać małego Williama, od niedawna wicehrabiego Barretta.

- Dobrze, że się spotkaliśmy, Lockwood/Właśnie miałem ci zostawić wiadomość i zająć się wieczornymi obowiązkami.

Hunt uśmiechnął się szeroko. Dobrze wiedział, jakie obowiązki Harry ma na myśli. Z pewnością nie wymagały zakładania wieczorowego... ani żadnego innego stroju.

- Masz coś dla mnie? - zapytał.

- Chyba znalazłem to twoje zaginione dziecko. Chudziutki malec. Ciemne włosy i szare oczy?

Hunt przypomniał sobie miniaturową podobiznę znaną z sypialni Elise. Pokiwał głową. To musiał być William.

- Tak szybko? - Był pod wrażeniem. - Spodziewałem się, że to zajmie więcej czasu.

Sir Harry ze śmiechem wzruszył ramionami.

- Nie mogę powiedzieć, żeby ta sprawa stanowiła specjalne wyzwanie czy była szczególnie tajemnicza. Właściwie od początku wszystko było jasne.

- Brat Barretta - domyślił się Hunt.

Sir Harry zaprzeczył ruchem głowy. Kładąc rękę na klawiszach, dał do zrozumienia, że bardzo się śpieszy do swoich „obowiązków”.

- Nie, ale blisko. Franklin Clarke. Jej brat.

- Brat Elise... to znaczy brat lady Barrett... ukrywał przed nią jej syna?!

- Owszem. Dziwny człowiek. Sprawia wrażenie, jakby przez cały czas był pijany albo regularnie odwiedzał pobliską palarnię opium.

Pieniądze. Hunt przypomniał sobie, jak Elise mówiła mu, że Barrett kupował

ludzi. Ją też kupił. Jej brat był tak zadłużony u Barretta, że zgodził się na ślub, a teraz nałóg kazał mu oszukiwać siostrę. Miał zamiar policzyć się z nim osobiście.

- Rozmawiałeś z nim?

- Otworzył drzwi. Przypuszczam, że służba dawno odeszła, bo dom przypomina chlew. Chłopiec stał za nim i wyglądał niewiele lepiej od swego wuja. Według mnie raczej nie odniósł żadnych obrażeń, ale jest bardzo zaniedbany.

- Jakiej wymówki użyłeś?

- Żadnej. Nie było potrzeby. Powiedziałem Clarke'owi, że Barrett nie żyje.

Chyba mu ulżyło, ale nie zdawał sobie sprawy, że przyszedłem po chłopca. Kiedy mu o tym powiedziałem, nie okazał większego zainteresowania, a potem zaproponował, że za opłatą może się nim opiekować.

- Mówił poważnie?

- Można tak przypuszczać. Kiedy mu powiedziałem, że matka chce odzyskać dziecko, roześmiał się i stwierdził, że chodzi jej' o pieniądze. Według niego porzuciła chłopca w obcym kraju. Wygląda na to, że Barrett umiał nieźle zmyślać.

- Gdzie teraz jest William? Przywiozłeś go do Londynu?

- Clarke by mi go nie oddał. Chłopiec przedstawia dla niego konkretną wartość, i to niemałą. Twierdzi, że gdyby oddał go lady Barrett, odniosłaby z tego korzyść. A nie widzi powodu, żeby samemu nie skorzystać. Uważa, że był kochającym i troskliwym opiekunem dla swojego siostrzeńca.

- Ile chce?

- Dziesięć tysięcy funtów.

Hunt mógł mieć taką sumę następnego ranka, kiedy otworzą banki.

- Zapłacę.

- To do ciebie niepodobne, Lockwood. Nie słyszałem, żebyś kiedykolwiek zgodził się zapłacić okup. Płacenie informatorom to co innego, ale szantaż.

Cóż innego mógł zrobić? Clarke był bratem Elise. Nie mógł go posłać do więzienia. I bez tego nie dało się uniknąć skandalu.

- Rozumiesz problem... - ciągnął sir Harry. - Lady Barrett może stanąć przed sądem, narażając się na plotki, albo może zapłacić bratu. Tak czy owak, kiepski wybór.

- Zapłacę - powtórzył Hunt. - I dopilnuję, żeby ta pijawka niczego więcej się nie domagała. Wierz mi, Richardson, że nie chodzi o szantaż. To jedyna i ostateczna propozycja. Przekaż mu to tak, żeby dobrze zrozumiał.

- Wedle życzenia, Hunt. Jak mam to rozegrać?

- Spotkajmy się tu rano. Będę miał pieniądze. Pamiętaj, żeby wziąć chłopca, zanim mu przekażesz gotówkę. Clarke ma ci dać pokwitowanie z wyraźnie określonym powodem zapłaty. A potem przywieź mi tu chłopca.

- Nie do matki?

- Muszę się upewnić, że nic mu nie jest i że to na pewno William. Nie chcę, żeby lady Barrett przeżyła kolejne rozczarowanie. Poza tym zamierzam poddać chłopca badaniom lekarskim, a potem uspokoić matkę, że jest cały i zdrowy.

- Wygląda na to, że pomyślałeś o wszystkim, Lockwood - powiedział sir Harry, zbierając się do wyjścia. - Jeśli chłopiec będzie w stanie podróżować, powinniśmy wrócić jutro o zmierzchu.

Hunt miał nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, jako że pozostało mu niewiele czasu do momentu, gdy będzie musiał się przyznać do zabicia Barretta.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Nawet po śmierci Barrett robił jej na złość!

Elise mocniej zastukała do drzwi Lockwooda. Szybki marsz do jego domu mimo zimowej pogody nie ostudził jej gniewu. Myśl o Lockwoodzie gnijącym w więzieniu czy idącym na szubienicę przyprawiała ją o furię. Życie Barretta nie było warte tak wysokiej ceny i nie zamierzała pozwolić, by Lockwood ją zapłacił.

W końcu w progu stanął lokaj o nieprzeniknionym obliczu.

- Madame?
- Chciałabym się widzieć z lordem Lockwoodem.
- Sprawdź, czy jego lordowska mość jest w domu. - Próbował jej zamknąć

drzwi przed nosem.

- Jest w domu - dobiegł zza jego pleców głos gospodarza.

Elise dostrzegła Lockwooda w głębi holu. Był w samej koszuli, w rękę trzymał plik papierów. Lokaj odsunął się na bok, żeby ją wpuścić.

- Dziękuję, Mott. Możesz odejść.

Służący skłonił się, zamknął drzwi i oddalił korytarzem na tyły domu.

Hunt gestem zaprosił ją do pokoju, który mógł pełnić funkcję biblioteki lub gabinetu. Książki wypełniały półki pod ścianami i piętrzyły się w stosach na niskim stoliku obok sofy przed kominkiem. Na biurku oświetlonym lampą leżały papiery i przybory do pisania.

- Przeszkodziłam ci - odezwała się Elise przepraszającym tonem.
- Właśnie porządkowałem swoje sprawy. Zechcesz usiąść? Może się czegoś napijesz? Porto? Sherry? Jadłaś już kolację?

Porządkował swoje sprawy? Spojrzała na niego z niepokojem.

- Nie, dziękuję... Marnujesz czas. Nie pozwolę ci wziąć odpowiedzialności za

śmierć Barretta.

Przez twarz Hunta przemknął cień żalu.

- Przypomniałaś sobie o czymś?

- Czy sobie przypomniałam? Co masz na myśli?

- Nieważne. - Odłożywszy papiery na biurko, wziął od niej płaszcz, odwiesił na oparcie krzesła i podprowadził ją do sofy.

- Miałem zamiar wstąpić później do Sarah. Chcę z tobą omówić pewne szczegóły.

- Niepotrzebnie. Nie chcę omawiać żadnych szczegółów, o ile nie dotyczą Williama.

- Williama? - Zmarszczył czoło. - A co on ma z tym wspólnego?

- Lockwood, nie mogę pozwolić, żebyś odpowiadał za śmierć Barretta.

Niezależnie od tego, kto naprawdę to zrobił, nie ponosisz winy. To ja jestem winna. Zamierzam rano pójść na policję i złożyć zeznanie. Jedyną rzeczą, jakiej muszę wcześniej dopilnować, to ustalenie opieki nad Williamem. Nie sądzę, żeby brat Barretta albo mój brat nadawali się do tego. Dlatego muszę cię prosić, żebyś się zwrócił do sądu o wyznaczenie neutralnego opiekuna. A jeśli sąd tego nie zrobi, żebyś się zwrócił do samego króla. - To nie będzie konieczne.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś znał Alfreda, brata Barretta. Wiem, że moja prośba stawia cię w niezręcznej sytuacji. Będą cię pytać, dlaczego się tym zajmujesz, ale nie znam nikogo innego, komu mogłabym powierzyć przyszłość mojego syna.

- To nie będzie konieczne, ponieważ nie złożysz żadnego zeznania. Może zechcesz mi powiedzieć, skąd ci to przyszło do głowy?

Była rozczarowana, że nie potraktował jej poważnie.

- Od początku nie podobał mi się pomysł, żebyś wziął na siebie winę. Gdybyś nie przyjechał na St. Claire, gdybym nie kłamała na temat tego, kim jestem, nie miałbyś z tą sprawą nic wspólnego. Barrett zasłużył na to, co go spotkało. Gdyby pożył jeszcze kilka dni dłużej, to ja bym go zabiła.

- Nigdy bym ci na to nie pozwolił. Zabójstwo... pozostawia plamę na duszy. Moja jest tak zbrukana, Elise, że śmierć Barretta niewiele zmieni. Lecz ty? Nie, nie mógłbym ci pozwolić z tym żyć.

- Za to z tym pozwolisz mi żyć? - Otworzyła dłoń, pokazując mu pojedynczą białą orchideę, dostarczoną wraz z jego wizytówką, na odwrocie której napisał: „Myśl o mnie...”. - Mam o tobie myśleć? O niczym innym nie myślę! Nie rozumiesz, że wolałabym umrzeć, niż żyć z poczuciem winy za twoją śmierć?

Rysy Lockwooda nagle stężały.

- Do diabła! Nie rób mi tego! Czyż i tak nie jest trudno? Próbowала wstać, ale pociągnął ją z powrotem na sofę.

- Już złożyłem zeznania. Elise, przyrzeknij, że niczego nie zrobisz.

- Nigdy! Wykrzyczę moją winę w sądzie, jeśli będę musiała, Nie jesteś w stanie mnie powstrzymać.- Właśnie że jestem! - Przyciągnął ją do siebie i całował, dopóki nie przestała mu się wrywać. - Pozwól mi to zrobić, Elise - wyszeptał. - Pozwól, bym odkupił moje grzechy, dając ci wolność. To może być jedyny ratunek dla mojej duszy.

Jak mogła mu odmówić? A zarazem jak mogła pozwolić mu odejść? Jeśli nie usłucha jej argumentów... Drżącymi dłońmi sięgnęła do jego krawata.

- Co robisz, Elise?

- Nie pozwolę ci pójść bez. Wstał, przyciągając ją do siebie.

- Boże, dopomóż... Wiem, że powinienem cię odesłać, ale nie mam w sobie aż tyle siły. - Zaczął jej rozpinać suknię.

Czarny jedwab z cichym szelestem osunął się na podłogę wokół jej stóp. Po chwili spoczęła tam koszula i reszta bielizny. Cofnął się, żeby objąć pełnym zachwytu wzrokiem jej nagie ciało. Czowała, że płonie pod jego spojrzeniem. Z napięcia ledwie była w stanie utrzymać się na nogach.

Spragniona i niecierpliwa, wyciągnęła do niego ręce. Nie mogła się doczekać, by dotknąć jego gładkiej, ciepłej skóry, pieścić go, rozpoznając każdy mięsień, każdą

bliznę.

Nie wiedzieć kiedy znaleźli się na sofie. Była gotowa przyjąć go w siebie, wiedziała jednak, że nie pozwoli jej się śpieszyć. Ogarnięta słodką bezwolnością poddała się jego ustom.

Kiedy pożądanie wezbrało w niej do tego stopnia, że była pewna, iż nie wytrzyma ani chwili dłużej, chwyciła go za włosy, odwróciła na plecy i usiadła na nim. Położył jej dłonie na biodrach i ani na moment nie spuszczał oczu z jej twarzy, naprowadził ją na siebie. Prawie natychmiast odnaleźli wspólny rytm i zespoleni w jedno podążali ku spełnieniu.

- Myśl o mnie... - wyszeptała, niesiona falą rozkoszy. Charlie wpadł jak burza do biura Hunta. Był roześmiany od ucha do ucha.

- Mam! Lista jest gotowa. Nie uwierzysz, co odkryłem.

- Usiądź, Charlie - powiedział spokojnie Hunt.

Charlie upuścił naręczę ksiąg rachunkowych na biurko i przysunął sobie krzesło.

- Przejrzyj to i zobacz, jak doszedłem do swego odkrycia. Myślałem, że zwariowałeś albo po prostu starasz się mnie pozbyć, kiedy mi kazałeś prześledzić sprawę pieniędzy, ale miałeś rację. Wszystko jest tutaj. - Postukał palcem w księgę na szczycie sterty.

- Przejrzę je później. Za godzinę mam spotkanie z lordem Eastmanem.

- Sądziłem, że to pilne.

- Owszem. Powiedz mi w skrócie, czego się dowiedziałeś, a księgi przejrę po powrocie. - Z westchnieniem odchylił się na oparcie fotela. Sądząc po minie, Charlie zamierzał zdać szczegółowy raport ze swoich poczynań. Hunt stłumił ziewnięcie. Ostatniej nocy w ogóle nie spał, z zachwytem odpowiadając na namietność Elise. Teraz jednak potrzebował filiżanki kawy, żeby opanować senność.

- Mam nazwiska, o które ci chodziło.

- Doyle - podsunął domyślnie Hunt.

Charlie przytaknął energicznym ruchem głowy. - I kilku innych. Cóż, może ciębie nie zaskoczą, ale mnie zaskoczyły.

- Na litość boską, Charlie! Mówże wreszcie.

- Wszystko zaczęło się wyjaśniać, kiedy porównałem sumy ubezpieczeń i inwestycji z wyciągami bankowymi. Większość nazwisk mogłem wyeliminować, jak na przykład Auberville'a. Hunt nigdy nie żywił wobec Auberville'a podejrzeń. Skinieniem ponaglił Charliego, żeby mówił dalej.

- Wykreśliłem też dwóch Lloydów i tym sposobem zostali nam Gavin Doyle, lord Eastman i Edward Langford.

Niemożliwe. Eastman? Hunt już wcześniej zastanawiał się nad taką możliwością, ale zawsze ją odrzucał. Gdyby Eastman był zamieszany w tę aferę, nie prosiłby o wyznaczenie agenta z zewnątrz do jej zbadania. Wiedział, że biorą pod lupę wyciągi bankowe, musiał więc też mieć świadomość, że dowiedzą się o depozytach. Czyżby zbyt pochopnie uznał, że to Doyle wynajął zabójcę? Czy mógł to być Eastman?

- Jesteś pewien, Charlie?

- Całkowicie. Według zapisów bankowych wpłaty następowały po odebraniu ubezpieczenia i inwestycje się zwracały. Jest coś jeszcze.

- Mów, na co czekasz...

- Korzystając z otrzymanej od Lloydów listy dat, kiedy napadnięto na te statki, dokonałem jeszcze jednego porównania. Tylko ludzie z tej listy wpłacali pieniądze za każdym razem, kiedy jakiś statek zostawał napadnięty... nawet jeśli to nie oni inwestowali czy ubezpieczali towar. Za każdym razem, Hunt. Jednak Eastman brał w tym udział tylko do września.

- To nie może być zbieg okoliczności - mruknął Hunt. - Czy ktoś o tym wie? - spytał, wskazując na księgi.

- Tylko my dwaj.

- Możesz wtajemniczyć Auberville'a i Ethana, ale nie mów nikomu innemu,



dopóki tego nie sprawdzę. Gdyby ktoś pytał, nadal pracujesz nad tą sprawą.

- Nadal zamierzasz się spotkać z lordem Eastmanem?

- Jak najbardziej - zapewnił go Hunt. Zaniepokojony odkryciem Charliego przyciągnął do siebie księgi i zaczął je przeglądać, wodząc palcem wzdłuż kolumn cyfr. Tak, Charlie miał rację. Wpłata było stanowczo za dużo, żeby zbieżność faktów mogła być przypadkowa. Charlie nie wspomniał o jednym: zasoby Doyle'a topniały. Od czasu powrotu do Londynu kilkakrotnie wypłacał duże sumy. Czyżby był szantażowany? Miał długi wynikające z hazardu?

Jeszcze raz przyjrzał się datom i zauważył, że wpłaty Eastmana zaczęły się niemal w tym samym dniu, kiedy Hunt wyjechał na St. Claire. Wciąż nie dawało mu spokoju nazwisko Langforda. Gdzie mógł je wcześniej słyszeć? A przecież była to najpewniej kluczowa postać tej afery.

Otworzył środkową szufladę biurka i wyjął akta dotyczące misji na wyspie. Panował w nich bałagan. Nazwiska, adresy, wskazówki oraz luźne zapiski poczynione na skrawkach papieru mieszały się z sobą, lecz mimo to udało mu się znaleźć notatki z pierwszego spotkania z Eastmanem.

I wreszcie znalazł to, czego szukał. Langford był asystentem Eastmana. Przypomniał sobie, jak Eastman mówił mu, by w razie pilnej potrzeby kontaktował się z nim przez Langforda. Odłożył akta z powrotem na miejsce i zamknął szufladę na klucz. Jeśli to Eastman był źródłem przecieku, to nie mogło być w ogóle mowy o żadnej tajności. Tylko po co miałyby zarządzać śledztwo przeciwko sobie samemu?

Sięgnął po płaszcz. Pozostało mu jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

Siedząc w tym samym klubie, gdzie niemal cztery miesiące wcześniej zaczęło się jego zadanie, Hunt odłożył na bok gazetę i pociągnął łyk mocnej kawy. Eastman się spóźniał.

Hunt już miał wychodzić, kiedy podsekretarz stanu wreszcie się zjawił. Był wyraźnie zgnębiony. Opadł na krzesło naprzeciwko Hunta i pochylony nad stolikiem

rozejrzał się niespokojnie, zanim zaczął mówić:

- Słyszał pan nowinę? Dobry Boże! Kiedy to się skończy?
- Kiedy co się skończy?
- Chodzi o Bascombe'a. Nie żyje.

Hunt mógł się spodziewać najróżniejszych rzeczy, ale nie tego. Gubernator miał się całkiem dobrze, kiedy go ostatnio widział, skoro jednak Eastman tak szybko usłyszał tę przygnębiającą wiadomość, to znaczyło, że Bascombe musiał umrzeć wkrótce po wyjeździe Hunta z wyspy.

- Apopleksja? - spytał, przypomniawszy sobie nienaturalnie rumiane oblicze gubernatora.

- Morderstwo.

Morderstwo. Czyżby Bascombe zdradził swoich partnerów? W takim razie dlaczego Eastman był tak przejęty wiadomością o jego śmierci?

- Wie pan, jak to się stało?

- Nikt nie wie. Asystent Bascombe'a zeznał, że znalazł go w holu jego posiadłości. Został zasztyletowany w środku nocy. Uważają, że wrócił późno i morderca na niego czekał. Albo sam otworzył drzwi, nie budząc służby.

- Tylko tyle pan słyszał?

Eastman pokręcił głową, wykonując przy tym niedbały ruch dłonią.

- Jakieś bzdury o statku z czarnymi żaglami cumującym o zmroku i odpływającym przed świtem. Brednie. Żałosna wymówka miejscowej policji, mająca zatuszować skandaliczną nieudolność.

Hunt spojrzał podsekretarzowi stanu prosto w oczy.

- Widziałem ten statek, Eastman. Nie po raz pierwszy cumował w San Marco. Przypuszczam, że miejscowym płacono za to, by nie widzieli, jak bierze zapasy. To ten Szkuner, który widziałem w Blackpool.

- Piraci? Bascombe został zabity przez piratów?
- To tylko jeden z tropów... - Trop był dobry i prowadził do kolejnego

pytania: Czym gubernator tak się naraził piratom, że zdecydowali się na ryzyko, wpływając do San Marco i wysyłając zabójcę do jego domu? I kto wydawał rozkazy, skoro Rodriga już nie było? - Kiedy pan dostanie następny raport?

- Następną przesyłka powinna przyjść za dwa tygodnie. Hunt nachylił się i ściszył głos.

- Kiedy zlecał mi pan to zadanie, powiedział pan, że nikt w Ministerstwie Spraw Zagranicznych o tym nie wie, ponieważ obawia się pan przecieków. Jednak mówił pan również, że w razie nagłej potrzeby mam się z panem kontaktować przez pańskiego urzędnika, niejakiego Langforda.

- Zgadza się - potwierdził Eastman.

- Zatem Langford wiedział o moim śledztwie? I o wszystkim innym, co przechodzi przez pańskie ręce?

- Cóż... - Eastman wyraźnie się zmieszał. - Nie o wszystkim. Huntowi to wystarczyło. W taki czy inny sposób Langford

i Eastman byli zamieszani. Tylko do jakiego stopnia? Wiedział, że dopóki nie rozwiąże, tej zagadki, nie może ufać nikomu. Eastman zamówił kieliszek sherry i szybko odprawił kelnera.

- Jeszcze jedno - powiedział szeptem. - Doyle zostanie mianowany gubernatorem i wysłany z powrotem na St. Claire.

- Kiedy wyjeżdża?

- Pojutrze.

Do licha! Musiał działać szybko.

Elise zwinęła nocną koszulę i włożyła do bielizniarki. Kufer z rzeczami, których listę dała Lockwoodowi, został dostarczony tego ranka. Pokojówka Sarah właśnie prasowała dla niej czarną żałobną suknię i kilka innych ubrań.

Elise czuła się trochę nieswojo. Skoro Barrett nie żył, powinna wrócić do domu. Lockwood z pewnością się mylił. Czego miałyby się obawiać, skoro ten, który

stanowił największe zagrożenie dla jej życia, leżał w trumnie?

Hunt. Chyba miała prawo tak o nim myśleć po ostatniej nocy? Na samo wspomnienie poczuła miękkość w kolanach. Co mogła zrobić? Już się przyznał do morderstwa, za które tak naprawdę ona była odpowiedzialna. Gdyby nie szukała pomocy u Sarah po ostatnim ataku Barretta, gdyby nie powiedziała Huntowi, co się stało... Wówczas wszystko by się powtórzyło. Hunt zapłacił wysoką cenę za jej wolność.

Zamrugnęła gwałtownie, żeby odegnać łzy. Nie mogła sobie pozwolić na okazywanie słabości. Niezależnie od tego, co powiedział Hunt, kiedy William będzie już bezpieczny i do sądu wpłynie jej petycja o ustanowienie dla niego opiekuna, przyzna się do morderstwa. Zezna, że Lockwood wziął na siebie winę, kierując się rycerskim honorem, podczas gdy to ona powinna ponieść karę.

A William będzie dorastał bez matki i ojca.

Żadna decyzja nie była dobra, ale mogła przynajmniej zachować godność. I uwolnić Hunta.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało ją z rozmyślań.

- Proszę! - zawołała.

- Milady, lord Lockwood jest na dole i życzy sobie pani towarzystwa - oznajmiła pokojówka.

Serce Elise zabiło mocniej, jak zawsze, kiedy miała zobaczyć Hunta. Poprawiła włosy, wygładziła spódnicę i niemal zbiegła po schodach do salonu.

Kiedy weszła, odwrócił się z uśmiechem od kominka. Natychmiast poczuła ciepło promieniujące od środka ciała. Bez wątpienia także pamiętał ostatnią noc. Pomyślała, że jeśli nie przestanie na nią patrzeć w taki sposób...

- Lordzie Lockwood - powitała go oficjalnym tonem. Odpowiedział jej wybuch śmiechu.

- Pokojówka sobie poszła, moja siostra także. - Wziął ją w ramiona. Wtuliła się w jego objęcia, zastanawiając się, czy będzie potrafiła żyć bez niego.

Pocałował ją w czubek głowy, a potem odsunął od siebie.

- Na razie nic z tych rzeczy, moja droga. Boję się, że mógłbym się zapomnieć w salonie mojej siostry. Jak byśmy znieśli taki skandal?

Elise próbowała sobie wyobrazić, na jakie docinki byłby narażony Hunt, gdyby ich zaskoczono w niestosownej sytuacji. Uśmiechając się pod nosem, usiadła na sofie.

- Obawiam się, że musimy znieść znacznie więcej niż drobną niedyskrecję w salonie twojej siostry, Hunt. Co jednak sprowadza cię tak nagle w środku dnia?

Usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Westchnęła, wiedząc, że ten gest nie wróży nic dobrego. W napięciu czekała na to, co miał jej do powiedzenia.

- Widziałem się rano z lordem Eastmanem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i dowiedziałem się od niego, że gubernator Bascombe został zamordowany.

Potrzebowała chwili, by sens wiadomości w pełni do niej dotarł. Nie знаła gubernatora zbyt dobrze, ale zawsze był dla niej miły.

- Kto to zrobił?

- Mamy powody przypuszczać, że ktoś z Blackpool. I jesteśmy pewni, że na rozkaz kogoś innego.

- Kogo?

- Elise, wiem, że go lubisz, ale...- Pan Doyle - domyśliła się, pamiętając, co Hunt o nim mówił. - Tak.

- Z pewnością się mylisz. Czemu pan Doyle miałby zlecić komuś tę zbrodnię? Nigdy nie słyszałam, żeby wyrażał się źle o gubernatorze, nigdy też nie widziałam żadnej wrogości.

- Daję głowę, że jest zamieszany w piracki proceder na wschodnich Karaibach. Doyle zabił Bascombe'a, żeby objąć ten urząd i teraz, kiedy zajął jego miejsce, będzie mógł robić na wyspie, co tylko zechce.

- Został gubernatorem? Zastanawiam się, czy właśnie to miał na myśli, kiedy

wspominał, że może jednak nie pojedzie do Indii, bo ma inne możliwości.

- Kiedy ci to powiedział, Elise?

Zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć. Przez ostatnie dni tak wiele się wydarzyło, że trudno jej było podać dokładną datę.

- Parę dni temu. Trzy? Cztery?

- Wiadomość dotarła do Londynu dopiero dziś rano - powiedział Hunt.

- Doyle? To niedorzeczne. - Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Zaraz jednak ogarnęły ją wątpliwości. - Do mojej cukierni przychodził pewien człowiek z Blackpool. Nazywał się Lowe. Kupując ciastka, zawsze powtarzał, że „boss” lubi słodczyce, ale mówił to ze śmiechem, więc już wtedy myślałam, że ma na myśli kogoś innego. Czy mogło mu chodzić o charge d'affaires?

- Żałuję, że tego nie wiedziałem, Elise. Tak, to możliwe. Co jeszcze pamiętasz?

Pamiętała gubernatora Bascombe'a, jak obiecywał jej, że dopilnuje przeniesienia aktów własności.

- Był dobrym człowiekiem. Szkoda, że bardziej się nie postarałam... - List! Wielkie nieba! Całkowicie o nim zapomniała. Była tak wstrząśnięta odkryciem, że Barrett żyje, a William zniknął, że zupełnie wyleciał jej z pamięci. - Chwileczkę. - Pośpiesznie opuściła salon.

W sypialni odszukała kasetkę z przyborami do pisania. Nie zdążyła jeszcze usunąć kurzu, jaki się na niej zebrał, gdy leżała na strychu. Sprawiała wrażenie nienaruszonej. Barretta z pewnością nie interesowało, co mogła napisać przed powrotem. Otworzyła kasetkę i uniosła podstawkę na pióra, wyciągając spod spodu zapieczętowaną brezentową paczuszkę. Przez chwilę przyglądała jej się z trwogą, że może zawierać coś, co mogłoby uratować gubernatorowi życie, gdyby na czas dostarczyła przesyłkę,

Wróciła do salonu i oddała list Huntowi.

- Skąd to masz? - spytał, rzuciwszy okiem na adres.

- Gubernator Bascombe poprosił mnie, żebym dostarczyła tę przesyłkę po powrocie do Londynu. A ja... zapomniałam.

- Dlaczego dał ją tobie, a nie kurierowi?

- Powiedział, że to osobista korespondencja i nie chce, żeby się poniewierała po urzędniczym biurku. Przyrzekłam, że od razu dostarczę ją lordowi Eastmanowi do rąk własnych. Zawiodłam go, Hunt. - Zgnębiona opadła na sofę, - A jeśli w środku jest coś, co mogło go uratować?

- Nic nie mogło go uratować, Elise. Doyle musiał wydać rozkaz zabicia Bascombe'a, zanim wsiadł na statek. Może nawet zanim Bascombe dał ci ten list.

Miała nadzieję, że rzeczywiście tak było. Nie mogłaby znieść kolejnej śmierci na swoim sumieniu.

- Według mnie będzie lepiej, jak w ogóle nie doręczysz tej przesyłki. - Z przepaszającą miną złamał pieczęć, otworzył kopertę i wyjął pojedynczy arkusz papieru. - Ale lord Eastman...

Dwukrotnie przebiegł wzrokiem treść. Kiedy skończył, twarz miał nieco pogodniejszą niż wcześniej.

- Sam mu zaniosę, Elise. Musi to zobaczyć. Masz mi do powiedzenia coś jeszcze?

- Od dnia, kiedy spotkałam Doyle'a jeżdżącego na łyżwach po kanale, wypytywał mnie o wszystko, co mogłam przywieźć z St. Claire. Pamiątki i inne tego rodzaju rzeczy. Myślałam, że to z powodu śmierci kapitana Gilberta... Doyle zabił Gilberta z powodu tego listu. Myślał, że gubernator dał go kapitanowi. Od tamtej pory go szuka. - Włamanie! Porozrzucane papiery Barretta. Czyżby to Doyle szukał paczuszki, która bezpiecznie spoczywała na strychu? - Kiedy wczoraj mnie odwiedził, pytał, czy dostarczyć mi coś z mojego domu. I znowu nawiązywał do rzeczy, które przywiozłam z wyspy.

- Posłuchaj, Elise - zaczął poważnie Hunt. - Jeśli on sądzi, że masz ten list, będzie gotów bez wahania cię zabić, byle tylko go dostać. W żadnym wypadku nie

pozostawaj z nim sam na sam. Odpraw go, jeśli znowu się zjawi. To ostatni element układanki. - Uniósł list. - Sądzę, że mamy wszystko, co trzeba, żeby postawić oskarżenie o zdradę. Muszę mieć jednak na to jeszcze kilka dni. Pójdę z tym listem do Eastmana. Wrócę tu wieczorem. Tymczasem...

- Tak?

Objął ją i pocałował, głęboko i namiętnie, tak jak to robił ostatniej nocy, przyprawiając ją o zawrót głowy.

- Myśl o mnie...

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

Hunt nigdy by nie przypuszczał, że w jego niewielkim biurze może się zmieścić aż tyle osób. Auberville, Travis, Charlie, Eastman i Andrew tłoczyli się pod ścianami, z uwagą słuchając jego opowieści.

Eastman wyciągnął rękę po list, który Hunt dopiero co odczytał na głos.

- Zatem Bascombe podejrzewał Doyle'a... Dlaczego, u licha, nic mi nie powiedział?

- Nie mógł przekazać takiej wiadomości przez kuriera. Wiedział, że Doyle jako charge d'affaires ma dostęp do poczty kurierskiej. Jedyne, co mógł zrobić, to prosić o przeniesienie dla swego podwładnego. Pewnie zakładał, że jeśli Doyle wyląduje w innej części świata, zapomni o piractwie. A kiedy zniknie z wyspy i przestanie przekazywać poufne informacje Rodrigowi, cały proceder upadnie i problem sam się rozwiąże.

- Więc Langford, jako mój asystent, mógł kopiować trasy i terminy kursów statków, dane na temat ładunków i różne inne użyteczne szczegóły. Wszystko trafiło



od Langforda przez Doyle'a do Rodriga. Niech ich diabli!

- To jeszcze nie koniec. Przypuszczam, że Doyle zaplanował całą operację przed laty, tuż po pierwszym pobycie na St. Claire. Dostrzegł możliwości i wykorzystał okazję. Byli gotowi pana szantażować - dodał Hunt z uśmiechem. - Omal nie dałem się nabrać. Kiedy Charlie pokazał mi zapis wpłat na pańskim koncju, to była pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy. Dopiero potem zauważyłem, że wszystkich wpłat dokonano niedawno. Rozumie pan, Doyle planował wrócić już od momentu, gdy się dowiedział, że zostanie odesłany do kraju. Zlecił zabójstwo Bascombe'a, a gdyby coś się stało Rodrigowi, Sieyes miał przejąć jego rolę. Nie miałyby to wielkiego wpływu na ich proceder.

Eastman sprawiał wrażenie porażonego.

- Stąd się wzięły te wpłaty? Myślałem, że to pomyłka, która zostanie sprostowana.

Hunt wziął od niego list.

- Chciałbym to na razie zatrzymać. Mam powody sądzić, że Doyle zabił kapitana Gilberta, szukając tego listu. Podejrzewam też, że to on dwukrotnie próbował zaatakować lady Barrett, na St. Claire i dwa dni temu w domu gry „U Thackery'ego”. To on musiał powiedzieć Rodrigowi, że Layton jest szpiegiem i że przyjeżdżamy do Blackpool. I najął w Londynie zabójcę, żeby się mnie pozbyć. Panowie, Doyle chce przejąć ten list, więc będzie musiał przyjść po niego do mnie.

- Dobra robota, Lockwood - pochwalił Eastman. - Idę aresztować Langforda.

- Jeszcze nie, z łaski swojej. Proszę go mieć na oku. Niech go ktoś śledzi, ale nie może się dowiedzieć, że przejrzelismy jego grę. Nie chcę, by Doyle się zorientował, że wzbudził naszą uwagę. Dopiero kiedy go znajdziemy, aresztujemy Langforda.

- Bądź ostrożny - ostrzegł Auberville. - Mam wrażenie, że zatrzymując ten list, malujesz sobie tarczę strzelniczą na piersi.- Taki właśnie mam plan - powiedział spokojnie Hunt. Rozległo się pukanie. Stojący najbliżej wyjścia Andrew

otworzył drzwi. W progu stał Harry Richardson z ładnym chłopczykiem u boku. Dziecko było tak podobne do Elise, że na jego widok Huntowi ścisnęło się serce.

- Widzisz, chłopcze? - odezwał się Harry z uśmiechem. - Mówiłem ci, że idziemy na przyjęcie.

- Już go mieliśmy - powiedziała Sarah z wyrazem troski na pięknej twarzy. - Wiedzieliśmy, gdzie się znajduje, a kiedy pan Renquist po niego poszedł, zapadł się jak kamień w wodę.

Elise westchnęła ciężko, przypominając sobie z lękiem wszystkie groźby Barretta. „Mój brat wie, gdzie on jest, i wie, co robić, gdyby mi się coś stało”.

- Gdzie on był, Sarah?

- Niedaleko za miastem.... U twojego brata.

U jej brata? Och, jak on mógł... Nie powinna mieć złudzeń. Dobrze wiedziała, do czego był zdolny dla pieniędzy. Dla Franklina Clarke'a wszystko miało wartość przeliczalną na gotówkę. Czy byłby jednak zdolny wyrządzić krzywdę Williamowi? Trudno było w to uwierzyć, nawet w przypadku Franklina.

- Domyślasz się, gdzie mógł go ukryć? Może znasz jakieś miejsce, gdzie mógłby go bezpiecznie zostawić?

- Nie... Powiedział coś?

Wyraźnie zakłopotana Sarah unikała jej wzroku.

- Powiedział: „Dobrze, że się go pozbyłem”.

Elise miała ochotę krzyknąć z rozpaczony albo wskrzesić Barretta, żeby jej powiedział, co zrobił z Williamem. Podeszła do okna, słysząc turkot zbliżającego się powozu. Modliła się, żeby to był Hunt. Potrzebowała go jak jeszcze nigdy dotąd, potrzebowała jego siły i niezachwianej pewności, że wszystko będzie dobrze.

Choć zapadł już zmierzch, w świetle ulicznej lampy widać było herb Lockwoodów na drzwiach pojazdu. Już miała się odwrócić od okna, żeby zejść na dół

do holu, gdy nagle dostrzegła, że Hunt sięga do wnętrza powozu i coś wyciąga.

Zaraz potem zobaczyła, jak Hunt przykłęka przed małym chłopcem, poprawia mu zmięte ubranko i przygląda niesforną ciemną czuprynę. Bezwiednie przytknęła dłoń do ust, żeby powstrzymać szloch. Chłopiec uważnie wysłuchał Hunta, a potem zarzucił mu ręce na szyję.

Elise patrzyła na nich przez łzy, czując, jak miłość dla nich obu wypełnia jej serce po brzegi.

Sarah uścisnęła ją serdecznie.

- Dzięki Bogu! Idź do nich, Elise.

Nie potrzebowała zachęty, biegiem pokonała schody.

- Mama! - zawołał William, rzucając jej się w ramiona. - Tak bardzo za tobą tęskniłem!

- Williamie! - Nie była w stanie wykrztusić nic więcej, więc podziękowała Huntowi spojrzeniem.

Uśmiechnięty, odpowiedział nieznacznym skinieniem.

- Mamo, Hunt mówi, że teraz z tobą zostanę. Mogę?

- Tak, Will, na zawsze.

Hunt objął ich oboje i pokierował do małego saloniku na tyłach domu.

Rozpromieniona Sarah podążyła za nimi.

- Mówi też, że jestem teraz lordem Barrettem.

- Owszem, jesteś - potwierdziła, zastanawiając się, co jeszcze Hunt mu powiedział. Nie musiała długo czekać, żeby się dowiedzieć.

- I że papa jest teraz z Bogiem? Po momencie wahania to także potwierdziła. - Tak, Williamie. Czy to cię smuci?

Spojrzał na nią z powagą niezwykłą u ośmiolatka.

- Myślę, że bez niego będzie nam lepiej. Nie był dla nas zbyt miły.

Odchrząknęła, żeby ukryć westchnienie ulgi.

- Hunt mówi, że nie wrócimy na St. Claire. I że jak pójdę się umyć, to dostanę

ciasteczka, ale nie takie dobre, jakie ty robiłaś.

Elise napotkała rozbawione spojrzenie Hunta.

- Wygląda na to, że powiedział ci bardzo wiele rzeczy.

- Tak, ale mam nikomu nie mówić. - Chłopiec uśmiechnął się porozumiewawczo do Hunta. - To niespodzianka.

- Sza... - Hunt położył palec na ustach. - Później. To moja siostra. - Wskazał Sarah. - Pokaże ci, gdzie masz się umyć, a potem zabierze cię do kuchni. Jesteś głodny?

- Tak, bardzo. Nie jadłem nic od rana. A gdzie ty będziesz, mam?

- Tutaj, Will. - Kiedy drzwi zamknęły się za chłopcem i Sarah, rzuciła się Huntowi na szyję. - Dziękuję, dziękuję... Nie wiem, jak ci się zdołam odwdziżyć.

- Mógłbym ci podsunąć jakiś pomysł. I to niejeden. A wszystkie zaczynają się od tego. - Pocałował ją namiętnie. - A teraz usiądź, żebym mógł się zastanowić.

Usłuchała go bez sprzeciwów, z rozmarzeniem myśląc o tym, jak chętnie i gorliwie będzie mu dziękować.

- Ty i William powinniście pójść jutro na pogrzeb Barretta. - Ale...

- Ani on nie jest zbyt młody, ani ty zbyt delikatna. To ważne, żeby ludzie zobaczyli was w żałobie. William powinien wiedzieć, że ten etap życia ma już za sobą. Musi się ostatecznie pożegnać z ojcem. To mądry chłopak i wiele rozumie. Hunt miał rację. Dlaczego sama o tym nie pomyślała?

- Naprawdę uważasz, że powinnam wziąć udział w pogrzebie?

- Będziesz towarzyszyć swojemu synowi. Ludzie rozumieją, że niezależnie od własnych uczuć, stawiasz obowiązek wobec dziecka na pierwszym miejscu.

Wszyscy moi bracia tam będą, żeby okazać ci wsparcie, podobnie jak ja.

- Nie musisz, Hunt. Wiesz, że już wcześniej stykałam się z ludzkim potępieniem.

- Niezasłużonym, moja droga. Dopilnuję, żeby więcej cię to nie spotkało.

Przez następne dwa dni chciałbym zrobić dla ciebie wszystko, co tylko będę w stanie.

- Dwa dni? - Och! Miał zamiar oddać się w ręce władz! Pokręciła głową. - Chciałam... chciałam cię prosić, żebyś mi przywiózł portret Williama, a ty przywiozłeś mi mojego synka. Niczego więcej nie potrzebuję. - Poza tobą, dodała w myślach.

Hunt zmarszczył czoło, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Portret? Masz na myśli ten, którym.

- Uderzyłam Barretta? Tak, właśnie ten.

Przez chwilę przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy, a potem spytał:

- Gdzie znajdował się ten portret, kiedy go ostatnio widziałas, Elise?

- Upuściłam go na podłogę. Zdaje mi się, że stałam wówczas przy kominku.

- Nie zostawiłaś go... przy Barretcie?

- Po tym, jak upadł, upuściłam portret i poszłam do mojej garderoby. Bałam się, że Barrett się ocknie, zanim wyjdę z domu. Pewnie by mnie zabił.

- Do diabła! To wszystko zmienia, Elise. Myślałem... zresztą nieważne, co myślałem. Doyle był Barrettwi winien pieniądze, prawda?

- Tak. Przypuszczam, że spłacił większość swoich długów, ale coś jeszcze mogło pozostać. Ostrzegałam go, żeby nie grał z Barrettem. Mój mąż nigdy nie odpuszczał.

- Czy mogłabyś przestać nazywać go swoim mężem, Elise?

- Mój zmarły mąż?

- Już lepiej. Znacznie lepiej. Ja go nie zabiłam, Elise. Poczula ulgę, która natychmiast ustąpiła miejsca lękowi.

- Och, w takim razie to ja...

- Ty też go nie zabiłaś. - Cmoknąwszy ją pośpiesznie w czubek głowy, ruszył do drzwi. - Mam pilną sprawę. Do zobaczenia jutro.

Elise wyczuwała, że William się nudzi. Wiercił się w ławce, co chwilę spoglądając w stronę Hunta i jego braci, którzy siedzieli kilka rzędów dalej. W

końcu, pochyliwszy się ku niej, powiedział szeptem:

- Hunt zabierze mnie na ryby w swojej posiadłości, jak nadejdzie wiosna.
- Cii... - Ścisnęła syna za rękę.

Po wyjściu z kościoła na ostre, podszyte mrozem powietrze, William przez chwilę stał obok matki, cierpliwie znosząc współczujące głaskanie po głowie, po czym przebiegł na cmentarz, żeby tam czekać na orszak z trumną. Elise miała nadzieję, że w ten sposób chłopiec daje upust tłumionej energii. W głębi duszy cieszyła się z jego młodzieńczej bez troski.

Stojąc przy cmentarnej bramie, przyjmowała kondolencje, które brzmiały dość dziwnie. Zwykle w takich okolicznościach padały zwroty w rodzaju: „będzie nam go brakowało” lub: „cóż za nieodżałowana strata”, tymczasem podchodzący do niej żałobnicy ograniczali się do uścisku dłoni i zdawkowego: „mam nadzieję, że jakoś się pani trzyma”.

Wyglądało na to, że Barrett miał bardzo wielu znajomych, ale żadnych przyjaciół. Zwyczaj kupowania ludzi i bezwzględne obdzieranie ze skóry ofiar, które miały nieszczęście przegrać z nim w karty, nie przysporzyły mu sympatii.

Bracia Hunterowie obserwowali ją czujnie na wypadek, gdyby Doyle chciał się do niej zbliżyć, wykorzystując publiczną okazję. Elise była przekonana, że ich przesadna ostrożność jest zupełnie nieuzasadniona. Sam Hunt, przejęty rolą bardziej niż pozostali, krążył w pobliżu. Można się było spodziewać, że jego obecność na pogrzebie zostanie skomentowana przy niejednej kolacji jeszcze tego wieczoru.

Poprzedzana przez pastora trumna została wyniesiona z kościoła, żałobnicy, uformowawszy orszak, w ciszy udali się na miejsce pochówku.

Nad rozkopanym grobem Elise rozejrzała się za Williamem. Uważała, że powinien stanąć u jej boku, ale nigdzie nie mogła go dostrzec.

Spojrząwszy na Hunta, upewniła się, że i on jest zaniepokojony nieobecnością chłopca. Oddzielił się od braci i gdzieś zniknął, gdy kapłan zaczął czytać modlitwę. Elise ledwie mogła się skupić, a kiedy po paru minutach Hunt pojawił się sam,

zaczęła wpadać w panikę.

- Amen - zakończył pastor.
- Amen - powtórzyli żałobnicy.

Elise rozglądała się gorączkowo. Uczestnicy pogrzebu zaczęli się rozchodzić. Nie zwracając uwagi na wyciągniętą do kondolencji dłoń pastora, podbiegła do Hunta.

- Gdzie on jest? - wyrzuciła z siebie bliska hysterii. Hunt chwycił ją za ramiona, jego bracia otoczyli ich ciasnym kręgiem.

- On nie skrzywdzi Williama, Elise. Nie ośmieli się.

- Do...Doyle? - wydukała z przerażeniem. Przytaknął, wciskając jej do ręki kawałek papieru.

*Droga lady Barrett!*

*Proszę mi wybaczyć brak grzecznościowych wstępów, ale najlepiej przejść od razu do rzeczy. Chcę dostać przesyłkę, którą powierzył pani gubernator Bascombe. Pani chce swojego syna. Proponuję wymianę. Proszę się ze mną spotkać na moście Black Friars dziś o północy. Ma pani przyjść sama i nie próbować żadnych sztuczek, bo inaczej chłopiec wyląduje w rzece. Umie pływać? A pani umie?*

Wiadomość nie była podpisana, ale osoba nadawcy nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Doyle. Elise popatrzyła bezradnie na Hunta. Ręka tak jej drżała, że kartka trzepotała w powietrzu.

- Nie trać ducha, Elise. Musisz wierzyć, że nam się uda.
- Nam? Idę tam sama.
- Jeszcze zobaczymy.

Elise weszła na most, trzymając się blisko balustrady. Pod wieczór temperatura spadła poniżej zera, unosząca się znad Tamizy mgła zmieszana z dymem z kominów tłumiała dźwięki i ograniczała pole widzenia. Powietrze było tak gęste, że ledwie słyszała swoje kroki.

Przytłaczająca cisza i zupełna pustka wokół jeszcze bardziej pogłębiały jej zdenerwowanie. Późną nocą, w dodatku przy tak paskudnej pogodzie, ludzie nie wychodzili z domów, więc Doyle nie musiał się obawiać przypadkowych świadków. Elise modliła się w duchu, żeby wypuścił Williama. Odruchowo dotknęła brezentowej paczuszki ukrytej pod płaszczem. Hunt próbował ją przekonać, że nie powinna się spotykać z mordercą sam na sam, ale nie ustąpiła. Nie miała zamiaru narażać życia Williama. W końcu rzucił jej przesyłkę na kolana i bez słowa opuścił dom Sarah. Jeszcze nigdy nie widziała go tak zagniewanego.

Gdzieś przed nią rozległ się odgłos przypominający szamotaninę. Przystanąła, ze strachu serce podeszło jej do gardła. Nie wiedziała, czy dotarła już do środka mostu.

- William? - Usłyszała kolejny stłumiony dźwięk, a potem śmiech. - William? - powtórzyła wołanie.

- Przyniosła pani, co trzeba? - dobiegł ją męski głos.

- A pan przyprowadził Williama?

Z mgły wyłoniła się niewyraźna ciemna sylwetka. Elise wyteżęła wzrok, sztywna z zimna i strachu.

- Jest tu ze mną, madame.

Rozpoznała głos Doyle'a, choć pobrzmiwała w nim nuta złości, której nigdy wcześniej u niego nie słyszała. Nagle sobie uświadomiła, jak bardzo jest bezbronna. Hunt miał rację, powinna była się zgodzić, by jej towarzyszył. A teraz było już za późno.

Wyteżając wzrok, dostrzegła Williama. Doyle popychał go przed sobą niczym tarczę. Zbliżyli się do niej na odległość kilku stóp. William miał zakneblowane usta i związane ręce. Na widok przerażenia w oczach synka, Elise miała ochotę zabić Doyle'a, tyle że, niestety, jedyną bronią, jakiej mogła użyć przeciwko niemu, był brezentowy pakiecik.

- Proszę go puścić - zażądała. - A list?



Rozchyliła płaszcz, wyjęła paczuszkę i pokazała mu ją, unosząc do góry.

- Mam go. Niech pan puści chłopca. Doyle przysunął się do kamiennej balustrady.

- Dajmy spokój z gierkami, madame. Proszę mi podać list albo pożegna się pani ze swoim małym wicehrabią.

Był wściekły. Słyszała to w jego głosie. Wyciągnęła przed siebie rękę z listem w taki sposób, by Doyle musiał odejść od krawędzi mostu, żeby go przejąć.

- Proszę. Niech pan mi odda Williama.

Doyle chwycił chłopca wpół, w wyraźnym zamiarem postawienia go na kamiennej poręczy.

- Ostrzegałem panią, żadnych gierek.

- Nie! - krzyknęła z rozpaczą Elise. - Niech pan tego nie robi, panie Doyle. Proszę! Oto list.

Hunt usłyszał głos Elise stłumiony przez gęstą mgłę. Brzmiał błagalnie. Do licha! Za późno, żeby ją powstrzymać, już spotkała się z Doyle'em.

Hunt zachowywał najwyższą ostrożność, żeby nie przestraszyć Doyle'a i nie dać mu, broń Boże, powodu do zrzucenia chłopca z mostu. Podejmował w życiu wiele niebezpiecznych działań i zrobił wiele paskudnych rzeczy, ale pierwszy raz miał do czynienia z sytuacją, w której zagrożone było życie dziecka.

Doyle był pozbawionym jakichkolwiek skrupułów zabójcą, do tego zaczynał tracić głowę. Mógł się posunąć do wszystkiego. William, Elise i Hunt byli dla niego jedynie przeszkodami na drodze do celu. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego nieuczciwe sprawy wyszły na jaw. Być może bez listu Bascombe'a trudno byłoby mu udowodnić winę przed sądem, ale...

Hunt odwrócił się i gestem ręki powstrzymał Auberville'a i Trvisa.

- Cofnijcie się, żeby was nie widział - szepnął. - Jeśli Doyle was zobaczy, będzie po wszystkim. Pokiwali głowami z milczeniem.

Hunt skradał się naprzód, aż w końcu dojrzał we mgle zarys pleców Elise. Bliska paniki, błagała Doyle'a o uwolnienie syna.

Po raz kolejny sobie uświadomił, jak bardzo jest mu bliska. Gdyby ją stracił, nie byłby w stanie dalej żyć. Los Williama równie głęboko leżał mu na sercu.

Podszedł jeszcze bliżej i od tyłu dotknął ramienia Elise. Obejrzała się gwałtownie i natychmiast powróciła wzrokiem do twarzy Doyle'a.

Nagle oboje zamarli z przerażenia, ponieważ Doyle postawił chłopca na krawędzi balustrady. Związany i zakneblowany William nie był w stanie samodzielnie utrzymać równowagi. Gdyby Doyle go puścił, utonąłby jak kamień w lodowatych wodach Tamizy.

- Zaczekaj, Doyle. Zastanów się. Wiemy już o tobie wszystko. Nie wywiniesz się od odpowiedzialności, a tylko pogorszysz swoją sytuację, jeśli zrobisz krzywdę dziecku.

Doyle popatrzył na Williama.

- Nic nie wiesz, Lockwood. Właśnie wydałeś wyrok na tego małego.  
- Owszem, wiem - powiedział szybko Hunt, starając się zająć uwagę Doyle'a.  
- Wiem, że to ty stoisz za piractwem na St. Claire. Wiem, że kazałeś zabić Bascombe'a, żeby wrócić na wyspę i kontynuować piracki proceder. Wiem, że Langford był twoją wtyczką w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Został już aresztowany. To koniec, Doyle.

William zachwiał się, kiedy Doyle wolną ręką wyszarpnął z kieszeni pistolet. W jego oczach pojawił się błysk szaleństwa.

- Nie wiesz nawet o połowie tego, co zrobiłem.

Hunt wysunął się przed Elise i wyciągając dłoń uspokajającym gestem, postąpił krok naprzód.- Wiem, że to ty ugodziłeś Elise kamieniem, kiedy starała się o zezwolenie dla Gilberta, bo w ten sposób traciłeś dostęp do kurierskiej poczty. Jak inaczej miałeś zdobywać potrzebne informacje? Potem doniosłeś Rodrigowi, że Layton jest szpiegiem. Zabili najpierw jego, ja miałem być następny, ale udało mi się

uciec.

Słyszał, jak za jego plecami Elise wstrzymuje oddech. Nie mógł jej dopuścić do słowa. Doyle niemal zapomniał o jej obecności. Hunt niepostrzeżenie wykonał następny krok. Brakowało jeszcze paru, by dosięgnąć Williama.

- I to ty zrzuciłeś na Elise donicę, bo chciałeś się jej pozbyć, zanim przypomniał sobie o liście Bascombe'a. Nie mówiąc już o tym, że wynająłeś jakiegoś zbira, żeby mnie zabił.

- Jesteś bystry, Lockwood. Wygląda na to, że wiesz prawie wszystko. Ale mam jeszcze parę sekretów. Nie zostanę gubernatorem, ale na szczęście mam dość środków, żeby się wygodnie urządzić gdzieś na kontynencie.

Hunt puścił mimo uszu ostatnią uwagę. Starał się za wszelką cenę skupić na sobie uwagę Doyle'a.

- Twoim najsprytniejszym posunięciem było jednak zabicie Barretta, po tym jak widziano mnie, kiedy mu groziłem. Cholernie sprytne, muszę przyznać. Za jednym zamachem posłać mnie do więzienia, przetrząsnąć dom Barretta w poszukiwaniu listu Bascombe'a i pozbyć się wierzyciela. To powinno się udać, a jednak się nie udało.

- Odebrałem swoje weksle, Lockwood. Mam też klejnoty Barretta. Nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu, kiedy znalazłem tego drania leżącego na podłodze. Właśnie zaczynał odzyskiwać przytomność, ale już jej nie odzyska. - Wybuchnął szaleńczym śmiechem, od którego Huntowi przebiegły ciarki po plecach. Wiedział, że może się po Doyle'u spodziewać wszystkiego najgorszego, a wciąż znajdował się w zbyt daleko od chłopca.

- Wiem nawet to, że zabiłeś swoją ciotkę, żeby zagarnąć jej majątek. - Hunt odniósł wrażenie, że ostatnie oskarżenie poruszyło Doyle'a bardziej niż wszystkie poprzednie. Wiedząc, że ma ostatnią szansę, rzucił się, żeby chwycić Williama.

Nie zdążył. Chłopiec zniknął we mgle.

Jednocześnie rozległ się huk wystrzału i przeraźliwy krzyk Elise. Hunt poczuł

pałący ból w lewym ramieniu. Kula wydarła dziurę w rękawie płaszcza i surduta. Usłyszał odgłos zbliżających się szybko kroków Trávisa i Auberville'a. Przyklękając na jednym kolanie, wyciągnął zza cholewki sztylet. Doyle zaczął uciekać, przekonany, że Hunt i Elise nie od razu dojdą do siebie na tyle, by go ścigać.

Elise. Myśląc o tym, że i ona mogła zostać ranna, Hunt z furią rzucił się za Doyle'em. Wiedział, że musi działać szybko, bo lewa ręka wkrótce odmówi mu posłuszeństwa. Ostatkiem sił skoczył na Doyle'a i przejechał ostrzem po jego szyi.

Dyszając ciężko, odwrócił się i zobaczył, że Elise wspina się na balustradę.

- Elise! Nie!

Zawahała się i to wystarczyło, by dopadł do niej, objął ją w pól i ściągnął z powrotem na ziemię. Wstrząsana szlochem, próbowała mu się wyrwać, dopóki nie wychylił się i nie zawołał w stronę wody:

- Charlie? Andrew?

- Mamy go! - odpowiedział Charlie. - Andrew owija go kocami. Spotkajmy się na brzegu.

- Łódź? - spytała półprzytomnie Elise. - Zaplanowałeś to wszystko?

- Chyba nie sądziłaś, że zdam się na przypadek - powiedział Hunt z uśmiechem.

Nagle dostrzegła krwawą plamę na jego rękawie. - Hunt...

- To tylko draśnięcie - uspokoił ją. - Każę je opatrzyć, jak tylko wrócimy do domu.

Auberville podniósł się znad leżącego Doyle'a.

- Nie żyje - stwierdził.

Hunt pokiwał głową. Dopiero teraz mógł być pewien, że ten łajdak już nigdy nikogo nie zabije. On też nie zamierzał już nikogo zabijać. Skończył z tym raz na zawsze. Nazajutrz złoży ostateczną rezygnację.

- Weź powóz, jedź po Charliego, Andrew i Williama, a potem wróć po nas - zwrócił się do Auberville'a. - Aha, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym,

żeby któryś z was poczekał przy ciebie na przybycie nocnej straży. - Kiedy zostali sami, objął Elise i pocałował ją w czubek głowy. - Dzięki Bogu, że Doyle nie zrobił ci krzywdy. Tego jednego nie mogłem być pewien, obmyślając swój plan.

Unosząc się na palcach, dotknęła ustami jego ust.

- Ale jesteś pewien mojej miłości? Bo kocham cię nad życie, Lockwood.

Przytulił ją. Mimo mroźnej nocy czuł w całym ciele przyjemne ciepło. Nie chciał się już nigdy z nią rozstawać. Ani na moment.

- Co powiesz na to, Elise, żebyśmy zapomnieli o konwenansach? Do diabła z żalobą. Wyjdź za mnie. Jutro. I niech się dzieje, co chce.

Zaśmiała się, a potem najczulej jak potrafiła wyraziła swą zgodę.

## *Epilog*

Przenikliwy i niepokojący odgłos dziecięcego płaczu niósł się długim korytarzem. Elise, uniósłszy rąbek spódnicy, wbiegła po schodach i skierowała się do pokoju, w którym spało niemowlę. Płacz dziecka zawsze ją przerażał.

Miała nadzieję, że zdoła uspokoić maleństwo, zanim hałas postawi na nogi cały dom. Sarah ostrzegała ją, że Violette często miewa kolkę, mimo to nie była przygotowana na zmierzenie się z taką sytuacją.

Płacz nagle ustał i wokół na powrót zapanowała cisza. Elise przystanęła, nasłuchując. Dlaczego Violette tak gwałtownie umilkła? Och! Chyba nie przestała oddychać? Elise jak burza wpadła do dziecięcego pokoju.

Serce podeszło jej do gardła na widok mężczyzny pochylonego nad kołyską. Odetchnęła, dopiero kiedy mężczyzna się odwrócił.

Hunt trzymał Violette na lewej ręce i pozwalał jej ssać kostkę swojej prawej dłoni, pomrukując przy tym uspokajająco.

- Ciii... - szepnął, spoglądając na Elise. - Prawie zasnęła. Potrzebowała jedynie utulenia.

W milczeniu pokiwała głową i podeszła bliżej. Twarz dziewczynki wykrzywił grymas, zapowiadający kolejny wybuch płaczu.

Elise wstrzymała oddech, podczas gdy Hunt z uśmiechem przytulił maleństwo do siebie. Mrugnął do niej, jakby odgadł, czego się bała. I w tym właśnie momencie Elise uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie się musiała bać dziecięcego płaczu. Nigdy.

- To dla nas niezła praktyka, nie sądzisz? - powiedział Hunt, opuszczając wzrok na niewielką wypukłość jej brzucha.

Przytaknęła skinieniem. Nie mogła się nadziwić, że ktoś taki jak Hunt, człowiek, który położył kres pirackim rozbojom, który miał w sobie dość siły, by wykonywać zadania, przed którymi inni się wzdragali, człowiek, który omal nie poświęcił własnej duszy, potrafi być tak cierpliwy i czuły. Ze wzruszenia oczy zaszczyły jej łzami.

Hunt ostrożnie włożył Violette do kołyski, otulił kocykiem, a potem wziął Elise na ręce i zaniósł z powrotem do ich wspólnego łóża.

Wtulona w ramiona męża myślała o tym, jak długą drogę pokonała przez ostatnie miesiące. Od samotności i lęku do oddanego grona przyjaciół. Od niepewności do poczucia bezpieczeństwa. I co najważniejsze, na końcu tej drogi znalazła miłość.